

TORILL T. HAUGER

**SIGURD
SYN WIKINGA**

TYTUŁ ORYGINAŁU: SIGURD DRAKEDREPEREN
PRZEKŁAD: ANNA MARCINIAKÓWNA



I

— Sigurd wyruszył, by zabić smoka — szeptał cichy głos przy łóżku.

Chłopiec zamknął oczy, ale mimo to wyraźnie odczuwał, że pokój jest ciemny i ciasny. Strach usadowił się w żołądku. Nie lubił słuchać o tym strasznym smoku. Zawsze potem miał dręczące sny.

— Mamo — powiedział, siadając na łóżku — ktoś mówił, że widziano dzisiaj okręty, daleko na morzu! Szły w naszą stronę. Czy myślisz...

Matka uciszyła go, nie przerywając opowiadania:

— Sigurd jechał konno przez wielkie bory, mijał zakłete góry i siedziby olbrzymów. Jechał przez pola okryte mgłą i wybrzeża w świetle księżyca. Ale nie bał się niczego. U pasa nosił ostry miecz, który nazywał się Gram.

Głos matki był coraz cichszy, a wieczorne ciemności coraz bardziej nieprzeniknione. Sigurd zatkał sobie uszy kołdrą, ale słowa i tak do niego docierały, a przez głowę przepływały straszne obrazy, choć z całej siły zaciskał oczy.

Sigurd podązał do Gnitaei. W stronę, gdzie nad górami widział niezwykle, bijące w niebo światło. Przemknął niepostrzeżenie w cieniu góry i ukrył się w głębokiej grocie, skąd mógł obserwować strasznego smoka Favne. Położył się i czekał.

Głos matki był teraz cichutki jak oddech. Chłopiec odrzucił kołdrę i leżał bez ruchu, z szeroko otwartymi oczami. Zawsze tak było, gdy matka doszła w opowiadaniu do tego miejsca. Tego musiał słuchać. Musiał wiedzieć, co było dalej.

— Sigurd czekał nadejścia nocy. Wtedy Favne wychodził z jamy. Grzmot niósł się nad wzgórzami, gdy smok z łoskotem odsuwał wielki głaz zamykający wejście.

Głosu matki prawie już nie było słychać. Cienie w pokoju stawały się coraz większe.

— I co dalej, mamó? Co się stało z Sigurdem?

Matka uśmiechała się w ciemności.

— Czekał, aż smok wypełźnie z jamy. Wtedy wyciągnął przed siebie Grama i wbił w potężne cielsko. Rozpruł je aż do pyska. Ziemia zadrżała i obrzydliwe charczenie rozległo się nad Gnitaei. Od tamtej chwili Sigurd nosi miano pogromcy smoka. Odważniejszego bohatera nie ma w świecie ludzi.

Matka usiadła i wygładziła suknię.

— Życzę ci dobrych snów, mój synu. Ty, który otrzymałeś imię na cześć pogromcy smoka, będziesz równie odważny jak on. I równie silny.

Chłopiec leżał z zamkniętymi oczyma i słuchał, jak podzwaniają klucze u pasa matki, jak skrzypią zawiasy u drzwi, słuchał oddalających się kroków.

Zmuszał się, by myśleć o czymś innym. O czymś, co by mu sprawiało radość. Jeśli to prawda, co słyszał na temat okrętów, to pewnie ojciec jest w drodze do domu. Całe lato czekał na tę chwilę, kiedy powrócą okręty. Czekał i tęsknił. Ojciec zwykle przywoził ze sobą tyle kosztowności, piękną broń, worki pachnących przypraw, mieniące się jedwabie i ozdoby ze złota, które nosi się na szyi i na rękach. I tak się zawsze cieszył, gdy wikingowie opowiadali, co przeżyli w obcych krajach!

Otworzył oczy, ale natychmiast znowu pojawił się strach. Pokój był pełen cieni. Wielkie i chybotliwe podchodziły aż do łóżka.

— Edda! — zawołał. — Edda!

Ubrana na szaro postać wsunęła się przez drzwi klapiąc bosymi stopami i umieściła u jego wezgłowia zapaloną świecę.

— Znowu się czegoś przestraszyłeś — powiedziała i pogłaskała go po włosach.

Chłopiec pluł w jej stronę. Syn jarła zawsze pluje na niewolnika.

Był czwartym z kolei synem jarla Håkona, jednego z najpotężniejszych panów w kraju. Jarl miał wielkie dwory i okręty. Należały do niego konie i dorodne krowy, i wielkie skrzynie pełne złota, zdobytego w zamorskich wyprawach. Siedzibą jarla był największy w tej części kraju dwór z wieloma zabudowaniami, małymi i wielkimi, z polami i ugorami, z pełnymi ryb rzekami i jeziorami, z terenami łowieckimi i górami. Potężny, rozłożony na wzgórzu, pano-
wał nad okolicą.

Ród jarla rządził tutaj od setek lat. Ba, może nawet od początku świata, powiadali ludzie. Był to ród potężny. Jeśli tylko mężowie nie ginęli od miecza, żyli bardzo długo. I byli piękni.

— Jasne włosy i przenikliwe jak u węży spojrzenia mają moi synowie — mówiła żona jarla. — Piękniejszych młodych høvdingów nie ma nigdzie na świecie.

I Sigurd sam wiedział, że to prawda. Høvdingowie i wielcy panowie byli zupełnie innymi ludźmi niż ci, którzy mieszkali w domkach z torfu i małych chałupkach na kamienistym wybrzeżu. Innymi niż włóczędzy i żebracy, przeważnie szpetni, wspierający się na kosturach i wyciągający ręce po kawałek chleba. Jarl miał zwyczaj ciskać w nich dzidą, gdy pojawiali się na drodze, którą zdążał jego orszak.

Jarl pozostawiał w spokoju tylko dziwną dziewczynę, którą ludzie nazywali Ravnejenta — Córka Kruków. Przypominała ona wielkiego, rannego ptaka. Była odrażająca, ale pociągająca zarazem. Jak niezwykła wróżka, w jakiś dziwny sposób przynależna do dworu.

— Przegońcie ją stąd! — syczała żona jarla, ilekroć ją zobaczyła, i kazała szczuć psami. — Nie chcę jej widzieć we dworze!

Zaś do swoich synów mawiała:

— Siedźcie prosto w siodle, moi piękni synowie. Pamiętajcie, że pochodzicie z rodu jarla!

Biedacy i niezamożni chłopci kłaniali się w pas, gdy synowie jarla mijali ich na koniach w pięknej uprzęży, dudniących kopytami.

Tak, Sigurd, syn jarla uczył się, że trzeba być dumnym.

Jarl miał wielu niewolników, którzy pracowali od wschodu słońca aż do chwili, gdy księżyc zaczynał świecić nad Straszną Górą. Mieszkali w niskim, kamiennym budynku, na najdalszym krańcu dworskiego dziedzińca, gdzie wieczorami unosiła się zimna mgła. Sigurdowi nie wolno było aż tak bardzo oddalać się od domu, toteż nigdy nawet się tam nie zbliżał.

— Nie zapominaj, że pochodzisz z rodu jarla — mówiła matka. — Trzymaj się z daleka od niewolniczej hołoty!

Niewolnicy należeli do dworu ojca tak samo jak bydło, świnie i inne zwierzęta. Byli jak wielkie grudy gliny. W szarych ubraniach, o szarych, wysmaganych wiatrem twarzach, poruszali się ciężko i nie było w nich radości. Stanowili część ładunku na okrętach, gdy wikingowie wracali jesienią ze swoich wypraw albo przybywali w orszakach kupców, którzy handlowali nimi tak jak innymi towarami. Zdarzało się także, że jakiś biedak przychodził do dworu i sam oddawał się w niewolę, gdyż w przeciwnym razie zmarłby z głodu w swojej lichej zagrodzie.

— Jeśli chcesz mieć dobrego niewolnika — mawiali wielcy panowie, siedząc nad rogami z piwem — to postaraj się o kogoś z dalekich krajów. Wtedy będziesz miał pewność, że ci nie ucieknie, choćbyś go nie wiem jak męczył robotą. Bacz tylko, by nie liczył mniej niż siedem lat i nie więcej niż dwadzieścia. I żeby nie miał jakichś wad!

Sigurd siedział przy nogach ojca i słuchał. W ten sposób uczył się okazywać pogardę tym, którzy stoją od niego niżej.

Jarl miał wielu wojowników. Długi szereg skrzyń wypełnionych ostrymi mieczami i toporami oraz własną kuźnię, w której wyrabiano broń.

— Na plac i walczyć, moi synowie! Baczcie zawsze, by broń była ostra! Umiesz władać

bronią, to zdobędziesz sławę i złoto, a także ludzi, którzy będą bronić twoich dworów. Tylko głupcy siedzą w domu i grzebią się w gnoju, kiedy w krajach zachodnich można zdobyć tyle złota.

Pewnego razu synowie jarla zostali wezwani do halli i ojciec zawiesił każdemu z nich na szyi srebrny medalion. Na medalionach widoczny był wizerunek potężnego wojownika z dwoma krukami.

— To jest Odyn — powiedział jarl, patrząc synom w oczy. — Odyn, bóg dzielnych wojowników. Gdy wiatr świszczę nad dachami waszego dworu to znak, że Odyn galopuje na swoim rumaku Sleipnirze. Odyn wie wszystko i może wszystko. Ma tylko jedno oko, ale wzrok kruków towarzyszących mu wszędzie jest przenikliwy. — Jarl uniósł głowę i mówił teraz do wszystkich zebranych w halli: — Odyn pobłogosławił mnie czterema synami i będziemy wojować wszyscy na jego chwałę. Ćwiczcie swoje ciała, moi synowie, i żeby wasze zmysły były jak stal.

W ten sposób uczył się Sigurd, że tylko wojna czyni z chłopca mężczyznę.

Ale najszybciej nauczył się odczuwać strach. Strach łopotał pod czaszką jak czarny ptak. Otaczał go jak mgła, jak gęste ciemności.

— Nie zapominajcie, że mamy złych wrogów — mówił jarl. — To cena, jaką musimy płacić za to, że jesteśmy potężni i bogaci. Wielu jest takich, co ostrzą pazury z nienawiści do nas. Chcieliby zagrabić nasze dwory i statki, złoto i broń. I gdyby mogli, wymordowaliby was, synów jarla.

Pierwsze wspomnienia Sigurda pochodziły z czasu, gdy miał około trzech zim. A może Edda opowiadała mu to wszystko, a jemu się wydawało, że pamięta? Trudno rozstrzygnąć. Ale wspomnienie pewnego bolesnego wydarzenia wryło mu się głęboko w pamięć.

Był wieczór. Sigurd wraz z wieloma innymi ludźmi znajdował się w halli. Matka i ojciec siedzieli na honorowych miejscach i rozmawiali o jakimś wędrownym rzemieślniku. Wszystko było tak jak powinno. Ogień trzeszczał i syczał na palenisku. Służba i niewolnicy kręcili się po halli, nalewali miód, roznosili chleb i świeżo pieczone mięso. Kilku najstarszych wojowników grało w szachy, a z odległego kąta dochodziły piękne tony fletu. Siedział tam stary Håvard, który na wikingińskiej wyprawie stracił rękę i teraz, poza granicami, niewiele więcej był w stanie zrobić.

Sigurd był śpiący i opierał się o miękki bok Eddy. Żołądek miał pełen mleka i smacznego chleba. Edda dała mu drewnianego konika do zabawy, kołysała go i nuciła wesołą piosenkę z kraju Franków. Chłopiec mrużył oczy i ziewał.

Nagle na zewnątrz rozległy się kroki i głośne wołanie. Sigurd, przestraszony i rozbudzony, usiadł na kolanach Eddy. Widział, jak ojciec zrywa się z honorowego miejsca i chwytą za broń. Niewolnice rozpierzchły się, gubiąc rogi z miodem; złoty napój pienistymi strumieniami spływał na podłogę.

A chwilę potem ciężkie, dębowe drzwi rozwarły się szeroko i weszło kilku drużynników ojca. Nieśli jakieś nieruchome ciało okryte narzutą.

Hallę wypełnił krzyk. Czy to matka tak krzyczała, czy też był to głos Eddy? Krzyk niósł się ku dachowym belkom i przez otwór dymny na zewnątrz, gdzie na ciemnym niebie migotały zimne gwiazdy.

Eirik! Brat Eirik nie żyje!

Na moment w halli zapanowała martwa cisza. Przeciął ją głos jarla:

— Do broni! Wyprowadzać konie! Za tym morderstwem kryją się Illugowie. Skręcimy kark Tordowi, jedynemu synowi Illuga!

Wkrótce mężczyźni byli gotowi, uzbrojeni w topory i oszczepy, ubrani w kurtki z twardej byczej skóry. Edda podbiegła do drzwi. Trzymała go mocno w ramionach, a on słyszał, że serce jej wali jak młotem. Na dziedzińcu płonęły pochodnie, oświetlając oszronionej ścia-

ny z bierwion i znieruchomiłe, białe drzewa. Jarl siedział wysoko na koniu, na czele drużyny wojowników. Uniósł rękę dając znak i końskie kopyta zatętniły po zmarzniętej ziemi.

Nim noc minęła, zabili pięciu wojowników Illuga, ale Tord Illugesson wciąż cieszył się życiem.

Nad Straszną Górą ponuro świecił księżyc.

Od tego czasu wojownicy zawsze trzymali straż przed budynkiem, w którym sypiała rodzina jarla. W napięciu wypatrywali na wodach fiordu wrogich okrętów. Czuwali ukryci pod lasem, skąd od czasu do czasu błyskało ostrze topora lub oszczepu. Nasłuchiwali, czy spomiędzy stojących ciasno obok siebie budynków nie doleci ich zamiast szumu wiatru — świst strzały. Nasłuchiwali i wypatrywali, czujni jak wilki. Sigurd, leżąc pod okryciem ze skór z twarzą zwróconą ku otworowi w dachu, widział wojowników jak czarne cienie przesuujące się na tle nocnego nieba i słyszał delikatny szcęk broni.

Wciąż tam byli. Dzień i noc.

Edda zauważyła, że chłopiec nie może spać, wzięła więc kawałek grubego płótna i zatkała otwór. I trzymała zapalone światło, póki nie zasnął, a sama siedziała i pilnowała, by nic się nie zajęło od płomienia.

Gdy był jeszcze mały, zdarzało się, że wsuwała się do niego pod okrycie i obejmowała go mocno. Opowiadała mu niezwykle baśnie ze swego kraju i nucila powolne, obce słowa. Pamiętał tylko, jaki się wtedy czuł bezpieczny i jaki się robił śpiący od słodkiego zapachu jej skóry i włosów.

Teraz nie lubił myśleć o tym, że był z nią kiedyś tak związany. Z nią, która miała go tylko chronić. Którą dostał w podarunku, gdy jako czwarty z kolei syn jarla został położony na tarczy i otrzymał imię Sigurd. Edda była jedną z tych najbardziej pogardzanych istot na dworze jarla. Była niewolnicą.

Pamiętał jednak, że kiedyś, kiedy tak leżeli twarzą przy twarzy, zapytał ją:

— Edda, czy wierzysz, że za naszym dworem, pod Straszną Górą, żyje okropny smok?

Edda milczała chwilę, nim odpowiedziała. Wzięła do ręki mały żelazny krzyżyk, który nosiła pod koszulą i który w jej kraju był znakiem wiary, po czym odwróciła się do niego i uśmiechnęła w półmroku.

— Owszem, różne przerażające potwory istnieją na świecie. Ale ty na pewno zdołasz pokonać smoka, Sigurdzie. Tak, właśnie ty to potrafisz!

Noc była pełna snów, jak zawsze gdy słuchał baśni o smoku. Ale o świcie obudziło go głośnie wołanie.

— Długie okręty wchodzą do fiordu!

Sigurd przeciągał się pod okryciem i uśmiechał, nim całkiem strząsnął sen z oczu. A więc jednak spełniły się jego nadzieje! Ojciec wracał z wyprawy. Cały dom pachniał pieczoną wieprzowiną i świeżym chlebem. Psy ujadały jak oszalałe, ludzie biegli do lamusów i spichrzy, po schodach w górę i w dół. Słyszał za drzwiami radosne śmiechy, a z dziedzińca dobiegały wesołe tony fletu. Zawsze tak było, gdy wracały drakkary. Wielkie święto zaczynało się wtedy w siedzibie jarla, najwspanialszy dzień w roku!

— Dlaczegoś mnie nie obudziła wcześniej? — krzyknął, gdy Edda pokazała się w drzwiach. — Nie widzisz, że słońce stoi już wysoko na niebie, ty niewolniczy tłumoku!

— Z moimi oczami wszystko w porządku — odparła spokojnie, stawiając wiadra z wodą na stołku. — Ale spałeś tak twardo, że nawet gdyby sam bóg grzmotów ukazał się na niebie, też nie przywróciłby cię do życia. Masz tu trochę wody z rzeki, żeby splukać sen z powiek.

Uśmiechnęła się lekko, widząc pośpiech, z jakim odrzucił okrycie i stał nagi, drżąc z zimna na podłodze. Podała mu lniany ręcznik, by się wytarł, i włożyła mu przez głowę śnieżno-

białą, Inianą koszulę. Potem pomogła mu włożyć spodnie i uklękła, by zawiązać rzemienie podtrzymujące długie skarpety. Przez cały czas starała się, by zjadł choć kilka kęsów świeżego pszennego chleba i wypił parę łyków koziego mleka.

— Moje buty, Edda!

Edda na czworakach odszukała buty, które wczoraj wrzucił głęboko pod łóżko. Były to piękne trzewiczki z jasnej, koziej skóry, wiązane dokoła kostki.

— Odznakę Odyna, Edda! I srebrną zapinkę!

Podając mu błyszczące ozdoby roześmiała się.

— Zanim przypniesz zapinkę, powinieneś włożyć kurtkę. Nie masz chyba zamiaru wyjść w samej bieliźnie!

Podskakiwał z niecierpliwości i przestępował z nogi na nogę, nim Edda znalazła jego błękitną, jedwabną kurtkę i zawiązała tasemki pod brodą. Na koniec przypięła mu do ramienia broszę, przedstawiającą głowę smoka.

— Mój pas, Edda! Pospiesz się!

Pochyliła się i otworzyła skrzynię ze srebrnymi okuciami.

Piękne płytki podzwaniały, gdy zakładała Sigurdowi pas. Nareszcie gotowy. Wyrwał się i chciał biec do drzwi. Ale Edda powstrzymała go.

— Uspokój się, chłopcze! — Spod fałd swojej grubej koszuli wyjęła kościany grzebień. — Wyglądasz przecież jak rozczochrany młody niedźwiadek!

Kilkoma pociągnięciami rozczesła jego włosy. Chłopiec krzywił się i wyrwał. Czy to babsko nigdy nie skończy?

— No, teraz jesteś piękny — powiedziała zadowolona. — Włosy lśnią jak jedwab!

Stała w drzwiach i przyglądała mu się, gdy jak wichur przeleciał przez dziedziniec.

Na dole w zatoce stały okręty. Sześć długich drakkarów. Zostały już wyciągnięte na ląd. Przypominały stado czarnych ptaków, które odpoczywają z ogonami zanurzonymi w wodzie. Na brzegu roilo się od ludzi. Starcy i kobiety, i dzieci kręcące się dorosłym pod nogami. Głośne nawoływania mieszały się z krzykiem mew i rżeniem koni. Załogi miały pełne ręce roboty. Trzeba było złożyć maszty, wciągnąć wiosła i pozatykać wszystkie otwory. Takielunek i liny należało złożyć i uporządkować, nim załoga opuści pokład. Na brzegu, z dala od tłumu, stała na czarno ubrana postać. Wszyscy wiedzieli, dlaczego się tam znajduje — czekała na rannych wikingów. Nikt tak jak Ravnejenta nie umiał leczyć chorób ziołami i mocnymi czarodziejскими naparami.

Największy z okrętów podobny był do smoka, potężny, ze złotym skrzydłem na maszcie. Po jego pokładzie chodził wysoki, barczysty mężczyzna. Miał czarne włosy i brodę, a lewy policzek aż do brwi przecinała czerwona blizna po cięciu miecza. Pod pachą trzymał błyszczący stalowy hełm.

Wikingowi towarzyszyli dwaj młodzieńcy. Również wysocy i dobrze zbudowani, w szerokich płaszczach, z błyszczącymi mieczami u pasów. Zarost dopiero zaczynał im się sypać, ale twarze po wielu dniach żeglowania w słońcu i morskim wietrze mieli surowe i ogorzałe.

— Jarl i jego najstarsi synowie — szeptali ludzie na brzegu.

Jakiś chłop powiedział cicho:

— Byłoby lepiej, gdyby jarl i jego kruczęta zostali na zawsze w tych dalekich krajach. Gdy wikingowie wracają do domu, zaczyna się czas niepokoju i wojen. Nie mają w zwyczaju odkładać broni na dłużej.

Ale w takim dniu jak ten mało kto słuchał podobnego gadania. Wszyscy wypatrywali na okrętach znajomych, ciekawi, co też mogą zawierać wspaniałe skrzynie wynoszone na ląd. Nic dziwnego, że wielu młodych łatwo dawało się namówić na wyprawy, gdzie mogli zdobyć złoto i skarby, zamiast w gospodarstwach ojców grzebać się w błocie i gnoju.

Nagle ktoś zawołał

— Patrzcie, tam idą niewolnicy!

Po trapie schodziła grupa mężczyzn ze skrępowanymi rękami. Wielu szło boszo w podartej odzieży. Ale tym razem było wśród nich tak wielu silnych i dobrze zbudowanych, że chłopcy kiwali głowami z uznaniem. Będzie jarl miał dobrych robotników w swoich dworach.

Cały dobytek został załadowany na konie i orszak mógł ruszyć. Jarl dosiadł czarnego ogiera, Ravensotego, a tuż obok, na białych koniach, jechali jego synowie. Za nimi podążała drużyna zbrojnych wojowników na wspaniałych koniach w pięknych, podzwaniających uprzężach, a całkiem na końcu konie robocze i niewolnicy, objuczeni skrzyniami i workami. Powoli wspinali się na wzgórze, do siedziby jarla, rozłożonej jak orle gniazdo na najwyższym wzniesieniu w okolicy. Słońce wędrowało powoli po niebie: złota kula unosiła się nad czarnymi górami.

Gdy Sigurd zobaczył ojca, poczuł ukłucie w sercu. Jakoś nie pamiętał, że ojciec wygląda tak przerażająco. Barczysty i potężny w tym czarnym płaszczu, z ziejącą, czerwoną blizną na twarzy. Tak musi chyba wyglądać sam bóg wojny, pomyślał.

Żona jarla oczekiwała orszaku na dziedzińcu, witając w domu powracających z wyprawy. Stała wyprostowana i dumna, a wiatr bawił się jej śnieżnobiałym czepkiem.

— Bądź pozdrowiony — powiedziała do męża i uśmiechnęła się blado. — Witajcie w domu, drodzy synowie! — Ale ręka jej drżała, gdy podawała powitalny róg miodu. — Jesteś ranny, mężu...

Jarl roześmiał się i zeskoczył z konia.

— Czyż nie powinno być widać, że mężczyzna uczestniczył w bojach? — Opróżnił róg jednym haustem. — Ktoś, kto powraca z wikińskiej wyprawy, droga małżonko, powinien być zadowolony, że zachował głowę na karku i nie wiezie jej w węzélku pod pachą!

Wikingowie roześmiali się ponuro. Zaczął się hałas i zgiełk, szcęk broni, gdy rozkulbaczano konie i odprowadzano je do stajni. Końmi jarla zajął się Digralde, potężny wielkolud, najsilniejszy z niewolników.

— Jak wyście wyrosli, synowie — powiedziała matka, patrząc na chłopców z dumą.

— Tak, słabeuszami nie można by ich nazwać — uśmiechnął się jarl. — Z obu będą wspaniali høvdingowie.

Sigurd stał ukryty za ojcowskim koniem. Teraz wyszedł i stanął na wprost jarla. Cień wysokiego mężczyzny padł na jego twarz.

— Ojczy, a tu jestem ja!

Okrzyk był głośniejszy, niż zamierzał. Chłopca najpierw spostrzegli bracia. Podeszli i obaj jednocześnie szturchnęli go w plecy.

— No, bracie — powiedział jeden i wykrzywił twarz w nieprzyjemnym grymasie. — Siedziałeś całe lato w domu i podawałeś matce kłębki wełny?

Drugi natomiast zawołał piskliwym, dziewczęcym głosem:

— I pewnie pomagał Eddzie trzymać krowie zadki przy dojeniu.

— Zostawcie Sigurda w spokoju — powiedziała matka, ale ona także śmiała się z ich pomysłów.

Jarl patrzył na swego najmłodszego syna.

— Bądź pozdrowiony, Sigurdzie! Widzę, że słońce zabarwiło twoje policzki. I ze wzrostem też niekiepsko.

— Chłopiec nie lubi mięsa ani pokarmów z krwią — powiedziała żona jarla z troską.

— Będę musiał ukarać Eddę, że nie karmi go należycie.

— Jem za dużo chleba i miodu — odparł Sigurd. — I piję kozie mleko. — Z przejęcia aż się jąkał. — Poza tym ja wiem, że rosnę, ojczy. Sam to czuję. Każdego wieczoru, kiedy się położę, tak dziwnie bolą mnie nogi.

Bracia znowu zachichotali, a i matka się śmiała.

Do ojca podszedł niewolnik Digralde. Ujął Ravnsotego za uzdę, żeby go odprowadzić do stajni. Sigurd biegł obok ojca.

— Cały czas, kiedy cię nie było, ćwiczyłem się w strzelaniu z łuku, tak jak mi nakazałeś ojcze. — Oddychał szybko i mówił dalej: — I pływam dobrze, ojcze. Prawie jak ryba. A matka powiada, że biegam niemal tak szybko jak jeleń. Poczekaj tylko, a sam zobaczysz!

Jarl pogłaskał syna po głowie.

— Biegnij i znajdź sobie jakąś zabawę, Sigurdzie. Akurat teraz mam inne sprawy na głowie.

Jarl podszedł do rosnącego mężczyzny o rudej, koziej bródce, w płaszczu narzuconym na ramiona i z mnóstwem srebrnych bransoletek na rękach. Był to Orm Viking, najbardziej zaufany człowiek jarla, który pilnował domu i niewolników, gdy jarl wyruszał na wiking. Obchodzili teraz całe gospodarstwo i sprawdzali, czy wszystko jest jak trzeba. Dojrzałe złote zboże falowało na polach, a szopy i spichlerze były pełne. Orm opowiadał, że w czasie sianokosów wielki niedźwiedź pojawił się na halach. Wysłali gromadę ludzi z ostrymi dzidami, ale nie udało się go upolować.

— A poza tym nic się we dworze przez lato nie wydarzyło? — zapytał jarl.

— Właściwie nic, tylko jeden niewolnik, który pasł owce w górach, został zamordowany.

— Czy to jakiś dziki zwierz go napadł? — Jarl ściągnął brwi.

— Dziki zwierz najgorszego gatunku — odparł Orm. — Znaleziono go ze strzałą w plecach, a znaki na strzale wskazują wyraźnie, kim są przestępcy. To ludzie Illugów!

— Nędznicy! — syknął jarl. — Złapaliście któregoś z nich?

— Ruszyliśmy natychmiast z grupą zbrojnych z największych dworów w okolicy. Po zachodniej stronie gór mignął nam szybko uciekający orszak. Ale nad górami wisiała mgła i było zbyt ciemno, żeby ich gonić. Wielu twierdziło wtedy, że Illugowie mają okręty ukryte w Trollfiordzie.

— Wygląda na to, że Illugowie wciąż trzymają broń w pogotowiu — powiedział jarl, a jego oczy zrobiły się wąskie jak szparki. — Dojrzyj, by straż pilnowały dworu. Noc i dzień!

Kozia bródka pochyliła głowę w głębokim ukłonie, gdy jarl zdjął z ręki złotą bransoletkę.

Sigurd wyprowadził ze stajni swego konia Faksego i ruszył przez las. Jechał ścieżką, na którą padały złote i pomarańczowe plamy słonecznego światła, aż dotarł do polany ze starym, wypróchniałym dębem pośrodku. Obejmując pień zwinnie wspiął się na górę.

To było jego tajemne miejsce. Tu, w gęstych liściach, nic nie szkodziło, nawet jeśli płakał.

Wiele razy wyobrażał sobie, jak to będzie, kiedy ojciec wróci do domu. W marzeniach widział siebie, jak biegnie na brzeg przez zielone polany. Złote słońce świeci nad ziemią, a powietrze pełne jest niezwykłych tonów. Ojciec miał go zobaczyć już z daleka i natychmiast zeskoczyć z konia, unieść go wysoko w górę, uśmiechnąć się i zawołać:

— Sigurdzie, mój synu! Oto wróciłem. Teraz będziemy razem przez długi, długi czas...

Ale w rzeczywistości nigdy nie bywa tak jak w marzeniach. Jarla najbardziej interesowało, aby synowie wyrosli na dzielnych mężów, którzy by mogli bronić czci rodu. Sigurd poczuł ukłucie w piersi. Starsi bracia tacy byli. Wysocy i silni. O głowę wyżsi od większości swoich rówieśników. A w walce odważni jak niedźwiedzie.

Gdy Sigurd był mniejszy, podziwiał i naśladował swoich braci na wszystkie sposoby. Siadał obok brata Tryggve i próbował pić miód jak tamten. Przyglądał się, jak brat Are nakłada mięsiwo ostrym nożem. Ale miód spływał mu po kurtce, a gdy chciał wbić nóż w kawałek mięsa, pokaleczył sobie palce do krwi.

Wtedy bracia ściągnęli go z ławy.

— Chodź, będziemy cię rozciągać, szybciej urośniesz!

Jeden brał go za nogi, drugi za ręce. Ciągnęli, każdy w swoją stronę, i podrzucali w górę i w dół. I tak dopóki nie przestawało ich to bawić, wtedy zostawiali go leżącego na podłodze, z trudem chwyającego oddech.

Innym razem stwierdzali, że powinien się ćwiczyć w sportach. Gdy miał zaledwie pięć zim, wrzucili go do wody. Prychał i charczał rozpaczliwie wymachując rękami. Wtedy wyciągnęli go na brzeg i wrzeszczeli:

— Musisz się nauczyć pływać, inaczej będziemy cię wrzucać do wody w środku zimy.

— Ale przecież wtedy na wodzie jest lód — płakał.

— To wyrąbimy w lodzie dziurę — śmiali się bracia. I nie dali za wygraną, póki nie nauczył się pływać jak szczeniak.

To znowu urządzali wyścigi na placu. Czuł smak krwi w ustach, gdy biegnąc za dużymi braćmi starał się ich dogonić.

— Ślimak! — wołali. — Biegasz nie szybciej niż ślimak!

Cięli go różgami po nogach, żeby biegł szybciej. Albo ćwiczyli go w zapasach. Gwiazdy tańczyły mu przed oczyma i całe ciało miał obite.

— Krew mi leci!

— Nie szkodzi. Trochę krwi z nosa! Chodź tu. Oplucz twarz w zimnej wodzie! — I wpychali mu głowę do beczki z wodą. Płakał, z trudem chwyając powietrze. Płynęło mu z oczu i z nosa. — Cóż to za wojownik z ciebie wyrośnie! — wołali bracia ze śmiechem.

Sigurd przyglądał się swoim rękom. Miał dopiero jedenaście zim i był dużo drobniejszy niż jego bracia. Może kiedyś dorośnie... Będzie większy od innych, silny i odważny. Poszukał znaku Odyna i zacisnął dłoń na srebrnej zapince.

Kiedyś im jeszcze pokaże!

Kiedyś będą musieli uznać, że godzien jest nosić imię Sigurda, bohatera, który pokonał smoka.

Siedział na dębie, aż poczuł, że zimno pełźnie mu po plecach. Straszna Góra rzucała teraz ciężki granatowy cień na samotną chatkę, zwaną Ravnegarden, Gniazdem Kruków, wysoko na hali. Na dole, w osadzie, widział chłopów wracających do domu z narzędziami i ciężkimi tobołami na plecach. Dzieci pędziły owce i krowy z pastwiska. Gęsty dym unosił się nad wszystkimi dachami. W siedzibie jarla niewolnice nosiły do halli dymiące garnki i misy.

— Sigurd! — wołał ktoś stamtąd. — Sigurd! — To pewnie matka.

Powoli zsunął się po gałęziach w dół.

Nagle poczuł, że strach dławi go w gardle. Coś zaszeleściło w liściach, tuż przy nim. Bardzo delikatnie. Ale to nie był wiatr ani odgłos jego własnych kroków.

Zastanawiające! Już i przedtem doznawał takiego uczucia, że kiedy jest w lesie, ktoś go pilnuje.

Szczelniej otulił się płaszczem, szybko podszedł do konia i kłusem ruszył w stronę dworu.

Matka stała na ganku i wyglądała tak dostojnie, że Sigurdowi aż dech zapało. Miała na sobie tę niebieską, jedwabną suknię, którą jarl przywiózł jej kiedyś z krajów położonych daleko na wschodzie. Na piersi nosiła mieniające się korale, a u pasa ciężki pęk kluczy do wszystkich drzwi i skrzyń we dworze jarla. Miał ochotę ją objąć i powiedzieć, że jest taka piękna jak sama bogini Freja. Ale się nie odważył. Twarz matki była taka jak zwykle — blada, o szarych, zimnych oczach. Tylko policzki miała zaróżowione, gdy ruszyła pospiesznie na widok syna.

— Szukaliśmy cię, Sigurdzie — powiedziała. — Twój ojciec, jarl, czeka w halli.

Poszedł za nią i razem weszli przez duże, dębowe drzwi. Uderzył go hałas i szum,

poczuł smakowity zapach pieczonej wieprzowiny. Wewnątrz było pełno ludzi. Wszyscy druzynnicy ojca z żonami i dziećmi i wielu gości z okolicznych dworów. Niewolnice i uwijały się jak w ukropie, roznosiły wieprzowinę, biały chleb i dzbany z pieniającym się piwem i miodem. Nad długimi paleniskami piekło się na rożnach jeszcze kilka zwierząt. Dym kłębił się pod sufitem, wypełniał całą hallę tak, że trudno było odróżnić twarze obecnych. W błyszczących ostrzach dzid, skrzyżowanych nad honorowym miejscem, gdzie siedział jarl, odbijały się płomienie pochodni.

Ogromny wiking poprosił gospodynię, by usiadła, po czym wszyscy zebrani w halli spoczęli przy stołach. Tylko stary Håvard został przy palenisku — czuł się najlepiej, gdy ogień grzał go w plecy. Wyjął kościany flet i w halli rozległy się wesołe, taneczne tony.

Sigurd siedział między braćmi. Poszturchiwali go i śmiali się.

— Gdzieś ty był, braciszku Sigurdzie? Pewnie u niewolnic zmienić mokre majtki?

Ogarnęła go złość. Czy bracia nigdy nie zostawią go w spokoju? Zaczął się rozpychać łokciami, żeby sobie zrobić trochę miejsca, ale oni śmiali się jeszcze głośniej.

— Patrz, jak to się odgryza ta mała pchła! Można zobaczyć twoje mięśnie, Sigurd? O, rzeczywiście, tu jest jeden, wielki jak jagoda, i tu jeszcze jeden. Chcesz mięsa, Sigurdzie? Zostawiliśmy trochę dla ciebie. Zjedz, to będziesz duży i silny.

Sigurd był czerwony i patrzył pod stół.

— Zostawcie go w spokoju — powiedziała matka. — Sigurd gdy dorośnie, będzie silny jak górski troll, strzeżcie się, wilczęta! — Podała Sigurdowi kawałek baraniego udźca i róg z miodem, który podczas jedzenia mógł przytrzymywać kolanami.

Wikingowie zaczęli się przechwalać swoimi wyczynami na wyprawie tego lata, a nastrój stał się jeszcze radośniejszy, gdy niewolnicy przydźwigali olbrzymią misę miodu i postawili ją przed jarlem. Kilka młodych dziewcząt zerwało się z miejsc i ruszyło w tany. Kręciły się między długimi paleniskami i podskakiwały wśród śmiechów i okrzyków.

Jarl wezwał swoich drużowników.

— Nadszedł czas, by podzielić łupy — zawołał gromkim głosem. Na stole przed nim leżał stos mieniących się ozdób i złotych monet.

Wezwani nie zwlekając zerwali się z miejsc. Popychali się nawzajem, każdy chciał być pierwszy, w końcu otoczyli jarla kołem. Ten napępiał złotem skórzane woreczki i dawał wszystkim po kolei. Wielki złoty łańcuch zawiesił na szyi Orma Vikinga, który uśmiechał się zadowolony i zacierał dłonie.

Jarl uniósł w górę szkatułkę.

— Powiadają, droga małżonko, że dobrze dbałaś o dwór, kiedy mnie nie było. Te podarunki z pewnością wynagrodzą ci tęsknotę za nami.

Małżonka ujęła ostrożnie szkatułkę i otworzyła ją. I wtedy jej oczy ożyły. Gładziła lśniący, żółty jedwab, przesuwając między palcami przezroczyste szklane paciorki i przyglądała im się pod światło.

— A to dla ciebie, Sigurd! Gdybyś ty wiedział, co ci przywiozłem z tej wyprawy!

— Powiedz, ojczu, co? — Sigurd stał przed jarlem, przestępując z nogi na nogę. — Pewnie tego pieska, coś mi obiecał!

Jarl wybuchnął śmiechem.

— Jakiegoś parszywego szczeniaka! Nie! Poczekać tylko, zaraz zobaczysz.

Podał mu jakiś przedmiot zawinięty w kawałek pięknej tkaniny. Sigurd ostrożnie go odwinął i zobaczył nóż o stalowym ostrzu i rękojeści ze srebra. Pogładził go delikatnie. Nóż był niewiarygodnie ostry.

Ojciec z uśmiechem spoglądał na zachwyconą twarz syna.

— Człowiek, do którego należał ten nóż, był na tyle głupi, że nie chciał go dobrowolnie oddać. Prawdziwy frankoński grubas. Noś więc nóż na dowód, że twój ojciec jest dzielnym wojownikiem.

Wszyscy obecni w halli wzniesli napełnione miodem rogi na cześć gospodarza.

— A teraz — zawołał jarl i klasnął w dłonie — graj, Håwardzie, chcemy posłuchać twojego fletu.

Sigurd czuł, że z podniecenia mrówki chodzą mu po plecach. Wiedział, że ojciec zawsze przywozi z wyprawy coś specjalnego, jakąś niespodziankę.

Niskie drzwi w końcu halli otworzyły się cicho. Początkowo nikt nie zwrócił uwagi na to, co się stało, bo mimo trzaskającego na długim palenisku ognia i zapalonych pochodni, halla tonęła w mroku. Nagle ogień buchnął na środku izby, wszyscy zerwali się przerażeni z miejsc i chcieli uciekać. Ale zaraz zobaczyli, że przed jarlem stoi małeńki człowieczek, trzymając w dłoniach płonący miecz. Po chwili zapłonął drugi miecz, a potem jeszcze jeden. Istne czary. Ludzie stali bez słowa, niepewni czy to jawa, czy sen.

Jarl rechotał zadowolony.

— Kto siedzi w domu, pojęcia nie ma, jakie cuda bywają na tym świecie. — Zrobił nieznaczny ruch ręką i sztukmistrz z mieczami zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Znowu wznoszono rogi napełnione miodem.

— Skaldzie Bjørn — wołano — zaśpiewaj pieśń na cześć jarla!

Bjørn poprawił pas i wyszedł na środek izby. Ogień wciąż płonął na palenisku i wielki, chwiejący się cień kładł się na ścianie z bierwion. Wysokim, śpiewnym głosem skald recytował swoją pieśń. Wychwalał jarla jako nieulekłego wikinga, potężnego wojownika, który dobrze wie, jak się włada mieczem. Potem podszedł do stosu złota leżącego na stole przed jarlem i dodał z błyszczącymi oczami: — I jest to szczodry władca, swoich skaldów nagradza złotem.

— To ta sama pieśń, którą słyszeliśmy poprzednim razem, gdy jarl wrócił z wyprawy — szepnął stary Håvard z pochyloną głową, gładząc brodę.

— Ale jarl takich rzeczy nie zauważa — odparł jego sąsiad. — Jarl uwielbia, żeby go chwalić i wtedy nie ma znaczenia, że te same słowa już mu kiedyś mówiono.

Wyglądało na to, że jarl jest niebywale zadowolony. Przywołał do siebie skalda i zdjął z ręki złotą bransoletę.

Ale wtedy, u końca stołu, jeden z siedzących tam młodych chłopców stanął na niepewnych nogach.

— Gówniane pieśni nam tu śpiewasz, Bjørn. Tylko nazwy miejscowości pozmieniane!

Bjørn nadał się i wyglądał jak żagiel przy silnym wietrze. Oczy błyskały morderczo spod ściągniętych brwi. Chwiejnym krokiem ruszył w stronę chłopca, chwycił róg napełniony miodem i chlusnął mu prosto w oczy, po czym wyciągnął nóż.

— Uspokój się, Bjørn — wołano zewsząd. — Nie widzisz, że chłopak wypił za dużo?

— Naruszył moją cześć! — krzyczał Bjørn. — Nikt nie może tego czynić bezkarnie!

Chłopiec chciał się uchylić, ale Bjørn był szybszy. Ostrze nożu utkwilo w barku przeciwnika.

W halli powstało wielkie zamieszanie. Kobiety krzyczały, przerażone dzieci kryły się pod ścianami, kilku mężczyzn chwyciło Bjørna i trzymało mocno, inni zajęli się rannym chłopcem, który zwijał się i wył z bólu.

— Sprowadzić Ravnejentę — wołał ktoś. — Sprowadzić Ravnejentę, która zna się na czarach!

Dwóch ludzi wybiegło w noc. Pędzili konno aż do Strasznej Góry, gdzie mieszkała ta, o której mówiono Córa Kruków, a miejsce nazywano Gniazdem Kruków, bo tylko ptaszyska osiedlały się tak wysoko na skałach.

Sigurd, gdy zobaczył dziewczynę, poczuł zimno na plecach. Ubrana na czarno, przygarbiona postać z twarzą na wpół ukrytą pod olbrzymią chustką. Wiedział, że w woreczku zawieszonym na szyi miała skórę węża i wilcze pazury, a także białe kości nieboszczyków. Wyjęła garść tego, co nosiła w woreczku, i wrzuciła do naczynia z gotującą się wodą,

zawieszono nad paleniskiem. Wszyscy przyglądali się jej ciekawie, gdy opatrywała ranę chłopca i poila go czarodziejskim napojem. Nikt tak jak Ravnejenta nie potrafił opatrywać ran i nikt tak jak ona nie znał się na chorobach. Wielu uważało, że musiała jej tego nauczyć sama bogini Eir.

Ale żona jarla dumnie uniósłszy głowę wyszła z halli. Ona nie życzyła sobie, aby Ravnejenta przekraczała próg jarlowej halli. Można pani zaciskała pięści w bezsilnej złości.

W kilka dni po powrocie do domu jarl wyruszył obejrzeć swoje dwory daleko na północy kraju.

— Pozwól, bym ci towarzyszył — prosił Sigurd. — Pozwól mi popłynąć statkiem!

Ale ojciec był zbyt zajęty, żeby odpowiadać. Tyle miał spraw do załatwienia! Trzeba było załadować na pokład beczki i worki, ponaprawiać żagle. Gdy wszystko było nareszcie gotowe, jarl wezwał owego rosłego wikinga z kozią bródką.

— Orm — powiedział z ręką na jego ramieniu — jesteś pierwszym pośród moich ludzi. Dbaj o dwór pod moją nieobecność. Strzeż mojego złota i moich niewolników, miej baczenie na fałszywych przyjaciół. Ale o jedną rzecz chciałbym cię prosić szczególnie: zabieraj ze sobą na plac Sigurda i ćwicz go we władaniu mieczem, toporem i oszczepem.

— Obiecuję, będę to robił z pomocą Odyńa — rzekł Orm.

Sigurd stał nad zatoką i przyglądał się odpływającemu okrętowi. Dzień był słoneczny i wietrzny, wielki żagiel wydał się natychmiast i okręt pomknął ku pełnemu morzu. Głowa smoka zniknęła za cyplem. Sigurd dostrzegł jeszcze jasne włosy braci oraz ich błękitne opończe powiewające na wietrze.

Płakał, zawiedziony i rozżalony. Zawsze był za mały, żeby go zabrać. Jarl widział tylko swoich starszych synów. Oni towarzyszyli mu wszędzie, gdy wyprawiał się na wiking, czy odwiedzał swoje dwory albo udawał się na ting. A on, Sigurd, musiał jak małe dziecko zostawać w domu, pod opieką niewolnic.

Edda siedziała na schodach spichlerza i gręplowała wełnę, nucąc cicho. Gdy ją mijają, zapytała:

— Dlaczego jesteś taki smutny? Może chciałbyś, żebym ci opowiedziała jakąś baśń z kraju Franków?

Sigurd pochylił się i podniósł spory kamień. Poczul radosny dreszcz, gdy kamień z trzaskiem trafił w koszyk.

We dworze nastaly pracowite dni. Od rana do wieczora niewolnicy żęli zboże i wiązali je w snopki. Jesienne słońce piekło spocone karki. Kilku wędrownych rzemieślników, którzy spędzili we dworze letnie miesiące, pakowało swoje sakwy, żeby ruszyć dalej. Edda wybiegła za nimi daleko poza dziedziniec i wołała to, co zwykle mówiła wędrownym ludziom opuszczającym dwór:

— Nie zapomnijcie przepytawać się o Torarina Treskjaerera! Nie zapomnijcie!

Wielu już od dawna zastanawiało się, dlaczego Edda tak bardzo chce wiedzieć, co robi ów Torarin Treskjaerer. Nikt jednak nigdy nie dostał odpowiedzi. Nawet Sigurd. Gdy kiedyś ją o to zapytał, powiedziała jakby sama do siebie:

— Niewolnica nie ma prawa mieć niczego na własność, ale tajemnicy, którą w sobie nosi, nikt jej nie odbierze.

Sigurd snuł się po dziedzińcu i rozglądał się za kimś, z kim mógłby się bawić. Ale dzieci drużynników ojca były w swoich gospodarstwach i pomagały przy żniwach. Tylko on, syn jarla, nie musiał pracować. Tu, we dworze, mieli dość niewolników do ciężkiej pracy.

Orm Viking rozglądając się szedł przez dziedziniec. Sigurd wpadł w popłoch. Szybko jak jelen pomknął ścieżką prowadzącą w dół do stajni i gwałtownie rozwarł drzwi.

— Fakse — dyszał, odwiązując siwego konia — musimy uciekać stąd jak najszybciej! Wrogowie depczą nam po piętach.

Wskoczył w pośpiechu na siodło i puścił się galopem w stronę lasu.

Z dreszczem niepokoju pomyślał, że w lesie słyszał niedawno dziwne głosy i widział poruszające się cienie. To zapewne były tylko zwierzęta. Jakiś zając albo może lis. Ale mimo to trzymał się kurczowo karku Faksego. I odetchnął z ulgą, gdy znalazł się na jasnej polance. Obejmując pień dębu piął się w górę na najwyższe gałęzie.

Daleko w dole, na dworskim dziedzińcu widział Orma. Wiking trzymał dwa topory, dwa miecze i dwa oszczepy — nie ulegało wątpliwości, co zamierzał. Nie znajdując jednak nigdzie syna jarla, odłożył broń i potrząsając z niezadowoleniem głową poszedł do halli.

Sigurda, siedzącego bezpiecznie w koronie drzewa, ogarnęła radość. Wiedział bardzo dobrze, że jeśli chce zostać sprawnym wojownikiem, musi się ćwiczyć we władaniu bronią. Wiedział, że jeśli nie nauczy się walczyć toporem i mieczem, nigdy nie będzie się mógł równać ze starszymi braćmi. A mimo to o ileż przyjemniej było swobodnie włóczyć się po lesie! Tu mógł do woli biegać po porośniętych mchem ścieżkach i strzelać z łuku. Albo siedzieć ukryty w gałęziach dębu, który znał tylko on, skąd rozciągał się widok na fiord i góry, i na rozległe, błękitne morze, gdzie okręty na falach tańczyły jak zabawki.

Widział też stąd dwór. Błądził wzrokiem od jednego budynku do drugiego i długo przyglądał się niskiemu domowi, daleko, na skraju dziedzińca. Nigdy tam nie chodził. Tam mieszkali niewolnicy. Spali tam i jadali każdego ranka i wieczora swoją wodnistą kaszę. Często, gdy tak siedział ukryty w koronie drzewa, obserwował, co działo się w okolicy domu niewolników. Od czasu do czasu widział dzieci. Wychudłe, małe istoty, które jak bure grudki gliny czepiały się matczynych spódnic. I większe dzieci, które chodziły do młyna, by mieć ziarno albo do chlewu dla świń, gdzie wyrzucały gnój. W domu dla niewolników nikt się nie bawił.

Pewnego razu jeden z braci chciał pokazać, jaki jest zręczny w posługiwaniu się łukiem i wycelował w niewolnika. Sigurd pamiętał, jak to rozgniewało ojca. Ranny był dobrym, pracowitym niewolnikiem, wart był więcej niż koń. Nie powinno się być takim rozrzutnym, należało lepiej traktować swoją własność.

Tego niewolnika Sigurd rozpoznawał, bo okulał po wypadku i chodził pochylony. Poza tym rozpoznawał tylko wielkiego niewolnika imieniem Digralde. Sigurd bał się go, bo przypominał raczej wielkiego niedźwiedzia niż człowieka, gdy demonstrował swoją siłę, podnosząc olbrzymi kamień, któremu czterech ludzi nie mogło dać rady. Jarl był dumny z tego niewolnika i mawiał, że jest on więcej wart niż kilka wspaniałych żrebców.

Inni niewolnicy byli do siebie podobni, myślał Sigurd. Z ogorzałymi twarzami i rękami, w szarych, brudnych ubraniach. Jak stado krów należące do dworu.

Siedział na drzewie, dopóki słońce nie zniżyło się ku zachodowi. Niewolnice wyszły do zagrody dla bydła, by wydoić krowy. Wąskie strumienie słonecznego światła sączyły się przez liście. Sigurd zsunął się po pniu na ziemię, poprawił rzemienie wokół kostek i ruszył ścieżką wiodącą do dworu.

Wtedy znowu usłyszał jakiś szelest w zaroślach i chwiejny cień padł na ścieżkę. Chłopic odwrócił się gwałtownie — w krzakach coś się poruszyło. Zrobiło mu się zimno. Teraz był pewien, że ktoś za nim chodzi. Ktoś, kto towarzyszy każdemu jego krokowi.

Wskoczył na konia. Drżały mu ramiona, gdy tulił się do końskiego karku i wczepił dłonie w białą grzywę Faksego.

Gdy księżyc przemienił się znowu w mały strzęp na niebie, okręt jarla powrócił do domu. Przywiózł mnóstwo pięknych skór, a pośród nich najpiękniejszą: skórę dużego białego niedźwiedzia. Wielu słyszało opowieści i baśnie o tym potężnym zwierzu, ale mało kto wierzył, że coś takiego naprawdę istnieje. Puszyste, białe futro zostało rozpięte na ścianie, nad

honorowym miejscem gospodarza. Wydawało się, że łeb z wielkimi, żółtobiałymi kłami żyje, wpatrzony pustymi oczami w hallę.

Jarl mówił teraz o wyjeździe na ting. Czas najwyższy, by ludzie z bliższych i dalszych okolic zobaczyli na własne oczy, że ma dwóch dorosłych synów, którzy byliby w stanie skutecznie bronić siedziby jarla, gdyby przyszło co do czego.

— Ojcze, a ja?

Jarl spojrział w dół na małego chłopca, stojącego przed jego krzesłem.

— Nie, ty, Sigurdzie, zostaniesz chyba w domu. Jesteś za mały na taką niebezpieczną wyprawę, jak wyjazd na ting, chłopcze.

— Ja mam jedenaście zim, ojcze.

Bracia chichotali jak zwykle.

— Jedenaście zim, ale w majtkach jeszcze mokro.

Siedząca obok matka ściągnęła brwi: — Cicho bądźcie, wilczęta! Zostawcie małego brata w spokoju. Awanturować się możecie na wikińskiej wyprawie.

— Pozwól mi pojechać, ojcze, tylko ten jeden raz. Pozwól mi pojechać na ting...

— Najpierw zobaczymy, jak daleko zaszedłeś w ćwiczeniach z bronią — powiedział jarl surowo. — Nie będzie żadnego wyjazdu, dopóki nie pokażesz, do czego jesteś zdolny!

Sigurd przełknął ślinę i skulił ramiona. Wymknął się z halli i wypadł na ganek. Tam zderzył się z Eddą, niosącą misę kwaśnego mleka.

— Och, jak to mu się spieszy! — krzyknęła, uskakując w bok tak gwałtownie, że mleko chlapnęło z misy i oblało jej koszulę. Sigurd wykrzywił się za nią.

Jeśli nie będę się przez jakiś czas pokazywał w halli, myślał, ojciec zapomni o ćwiczeniach. I może mi jednak pozwoli jechać na ting.

Ale jarl nie zapomniał.

Już następnego dnia wyszedł na plac, zabierając ze sobą obu starszych synów i kilku wojowników, po czym zawołał Sigurda.

— Czy to prawda, Orm, że podczas mojej nieobecności ćwiczyłeś go codziennie?

Orm nie odpowiedział wprost.

— Niełatwo było go do tego nakłonić, panie. Szczerze mówiąc w ogóle nie było można sprowadzić go na plac. Bo albo siedział u kowala w kuźni, albo u grajka grał na flecie, to znowu chował się u kobiet w kuchni lub na swoim koniu uciekał daleko w las.

— Jak możesz dopilnować wszystkich niewolników i wojów, skoro nie potrafisz utrzymać w ryzach jednego szczeniaka?

Orm spuścił głowę i milczał. Jarl zatrzymał się pośrodku placu, naprzeciw Sigurda.

— Masz, jak widzę, łuk na ramieniu. Pokaż mi zatem, jak sobie z nim radzisz. — Wyciągnął rękę i pokazał. — Strzel w najwyższą gałązkę tego drzewa. Wyobraź sobie, że to nędzny chłop, z którym musisz się rozprawić. Celuj, chłopcze! Musisz być szybki!

Sigurd napiął łuk, zmrużył jedno oko i wycelował. Strzała wbiła się w gałąź z głuchym łoskotem.

— Wcale nie najgorzej — uśmiechnął się ojciec zadowolony. — Wygląda na to, że frankoński śmieć musiał się pożegnać z życiem.

Teraz Orm końcem swojej dzidy narysował na ziemi linię. Jarl, ujawszy się pod boki, stanął opodal.

— Wyobraź sobie, że masz przed sobą gromadę ludzi, która ucieka przed tobą, unosząc kosztowności. Pokaż mi, jak pobiegiesz, by ich dogonić.

Obaj bracia stanęli obok Sigurda, po czym ruszyli wszyscy trzej. Słyszał, jak bracia dyszą i sapią, widział ich niczym cienie obok siebie. Tętno waliło niby młotem pod spoconą grzywką.

Biegł, jak mógł najprędzej i dobiegł do mety, depcząc po piętach swoim, prawie już dorosłym braciom.

Ojciec śmiał się, jeszcze bardziej zadowolony.

— Nikt nie może powiedzieć, że zadek ci ciąży, chłopcze. Biegasz, jakby cię unosił południowy wiatr.

— Ormie Viking, czy broń gotowa?

Orm podał Sigurdowi topór, a jemu serce zaczęło walić jak młotem. Lubił strzelać z łuku. I ciało miał lekkie tak, że mógł biegać jak jelen. Ale ciężką bronią ćwiczył za mało. Teraz żałował, że unikał spotkań z Ormem na placu.

— Tam stoi ktoś z rodu Illugów z obnażonym mieczem — powiedział jarl, wskazując spróchniały pień. Pokaż, że potrafisz go uprzedzić. Ciśnij toporem prosto w jego czerep!

Sigurd rzucił. Topór wylądował w porosłej trawą darni, daleko od pieńka.

— Nie udało ci się — powiedział jarl. — Spróbuj jeszcze raz.

Sigurd rzucił. Ale tym razem poszło jeszcze gorzej.

— To spróbuj oszczepem — powiedział ojciec. — Musisz być szybki, żeby cię ten wszawy Illug nie pozbawił życia. Przeszyj go oszczepem!

Sigurd odchylił rękę do tyłu i rzucił tak daleko, jak tylko mógł. To się nie mogło udać. Zasychało mu w gardle i pot oblewał ciało. Śmiech braci przeszył go jak zimna stal. Bracia bili się po udach i zaśmiewali się z jego żalonych prób.

— Dlaczego tak wymachujesz rękami, bracie? Chcesz zrobić dziurę w powietrzu?

Oszczep ani razu nie został wbity w ziemię. Przelatywał nad porośniętą trawą placem i wpadał w błoto gdzieś na jego skraju. Ojciec ściągnął brwi. Teraz dobył miecza i stanął naprzeciw syna.

— Pozwól mi się przekonać, czy nie jesteś lepszy we władaniu mieczem, chłopcze. Bo jeśli nie, to boję się, że jako wojownika czeka cię niewielka przyszłość.

Nigdy przedtem Sigurd nie walczył z ojcem. Dostatecznie dotkliwe były próby z braćmi. Teraz ojciec, wysoki i silny, stał przed nim, a on musiał pokazać, co potrafi. Obnażył swój miecz i kurczowo trzymał go przed sobą. Ręka mu drżała i ciemniało w oczach.

Wytrzymał kilka ojcowskich cięć, wkrótce jednak dłoń rozboleła go potwornie. W końcu musiał odskoczyć i rzucić miecz na ziemię.

I stał przed ojcem ze zwieszoną głową.

— Nigdy nie zostaniesz wojownikiem, synu — powiedział jarl — jeśli nadal będziesz tak ćwiczył, jak dotychczas. Teraz twoi bracia spróbują zrobić z ciebie człowieka. Mieście to na uwadze — nakazał Tryggvemu i Are.

Obaj uśmiechali się złośliwie.

— Ten chłopiec nic nie potrafi — westchnął jarl, siadłszy na ławie przy otworze okiennym, przez który wpadało do halli niebieskie światło wczesnego wieczoru.

Jego żona poprawiła lniany czepek.

— Sigurd to marzyciel — powiedziała. — Ale nie powinieneś się martwić, mężu. Jest wszak jeszcze dzieckiem.

— Wystarczająco dorosłym, żeby wyruszyć na wiking — odparł jarl ponuro. — Kiedy ja byłem w jego wieku...

— Kiedy ty byłeś w jego wieku — uśmiechnęła się żona — kiedy ty byłeś w jego wieku, też ci się pewnie zdarzało marzyć, mężu...

— Babskie gadanie — powiedział jarl i zamknął otwór okienny na noc.

W pomieszczeniu sypialnym leżał Sigurd z twarzą wciśniętą w poduszkę. Teraz nie odważył się już więcej zapytać ojca, czy mógłby pojechać na ting.

Stało się jednak coś, co wszystko odmieniło...

Pewnej nocy usłyszał na dziedzińcu kroki. Gwałtownie zrzucił z siebie okrycie i boso podszedł do otworu okiennego.

Początkowo nie widział nic. Noc była ciemna. Na czarnym, jesiennym niebie błyszczał

księżyc, jak wążutki strzęp srebra.

Po chwili znowu usłyszał ten odgłos. Ostrożne kroki. Ktoś przemykał pod ścianą domu. Nagle zobaczył prawie niewidoczną w głębokim cieniu postać, czołgającą się jak zwierzę, ze zgiętymi plecami i głową ukrytą w ramionach.

Zapomniał, że powinien być ostrożny. To mógł być zwiadowca z rodu Illugów, który badał, skąd najlepiej byłoby zaatakować. Może na skraju lasu czeka setka konnych wojowników? Z oszczepami i toporami o szerokich ostrzach, w napięciu oczekują jakiegoś znaku albo sygnału pośród nocy. Powinien natychmiast ostrzec ojca, wpaść do sypialni rodziców i krzyknąć, że wroga drużyna zbliża się do dworu. Drużynnicy muszą natychmiast chwycić za broń.

Ale powolutku górę brała ciekawość. Spojrzał na łóżko, w którym leżała Edda. Spała. Błady promień księżyca padał na jej twarz. Sigurd ostrożnie wymknął się przez otwór. Zwinnie jak gronostaj zsunął się po zbudowanej z bierwion ścianie i wylądował w pokrzywach. Łydki paliły go jak ogniem.

Szary cień majaczył daleko przed nim. Widział teraz, że był to mężczyzna albo raczej młody chłopiec. Zginał się wpół pod ścianą długiego domu i wahał się, czy przejść przez otwarty plac, oświetlony nikłym światłem księżyca. W końcu jednak zdecydował się. Szybki skokami przebiegł dziedziniec i schował się w zaroślach pod kamiennym ogrodzeniem.

Sigurd ruszył za nim. Serce waliło mu jak młotem. Może zaraz obcy wojownicy ruszą naprzód z wrzaskiem i krzykami, skierują swoje oszczepy i strzały w stronę domów, tak jak to zapamiętał i lat, gdy był jeszcze bardzo mały.

Czas jakby się zatrzymał. Sigurd, skulony pod kamiennym ogrodzeniem, nasłuchiwał szumu jesienno-wiatru w gałęziach i liściach. Ziemia, na której stał, była zimna i zaczął marznąć.

Gęsta chmura przesłoniła sierp księżyca. Obcy znowu ruszył przed siebie. Przemykał między krzewami i zaroślami jak zwinne zwierzę. Długi skok i znalazł się po drugiej stronie kamiennego ogrodzenia. Biegł w kierunku magazynów i spichlerzy.

Biegł do magazynu, gdzie przechowywano jedzenie.

Teraz Sigurd zrozumiał. Obcy był złodziejem żywności! W tych czasach było takich wielu. Ubodzy ludzie ze wsi i ludzie z dalszych okolic, którzy potajemnie, nocą przybywali, zza gór i wyciągali rękę po własność bogatych. Oni wiedzieli, że we dworze jarla jedzenia było pod dostatkiem.

Teraz powinien narobić krzyku. Ale wciąż jeszcze się bał. Obcy miał pewnie nóż ukryty pod kurtką i mógł go zamordować jednym ciosem w gardło.

Gdzie są strażnicy? Nigdzie nikogo nie widać. Może zostali wymordowani? Sigurd zdrzął. Ale mogli przecież być w zagrodzie, aby dojrzeć koni, albo przy lamusie, gdzie przechowywano skrzynie ze złotem i srebrem. Tyle było do pilnowania we dworze jarla!

Obcy siedział bez ruchu pod osłoną olszynowych zarośli, tuż pod ścianą spichlerza. Sigurd był teraz tak blisko, że gdyby nie wiatr w koronach drzew, słyszałby na pewno w ciemnościach jego oddech...

Ale oto znowu spoza chmur ukazał się księżyc. Sigurd zobaczył krótko ostrzyżony kark obcego i jego obskurne ubranie.

Na Odyna! To przecież jeden z niewolników ojca! Ciemnoskóry mężczyzna, którego widywał przy pracy w polu.

Chłopca ogarnęła wściekłość. A to nędzny niewolniczyzna! Waży się wyciągać rękę po jedzenie gospodarza! Jakby nie dostawał we dworze tyle, ile mu potrzeba. Ojciec nie pozwalał, by niewolnicy głodowali, chyba że zdarzył się rok nieurodzajny, ale wtedy wszystkim brakowało jedzenia. I oto taki nikczemny niewolnik chce się objadać tym, co stanowi prawowitą własność jarla i jego rodziny! Przy pracy snują się jak senne muchy, ale po nocy kradną niczym kruki. Tylko do tego są zdolni!

Sigurd siedział bez ruchu, dopóki niebo znowu nie pociemniało.

Wtedy niewolnik przemknął ku spichlerzowi, chwycił za występ ściany i zaczął wspinać się w górę. Po chwili zjechał w dół — drewniana ściana była gładka i śliska.

Siedzę tu jak przebiegły kot, myślał Sigurd. Siedzę i pilnuję ofiary, zanim ruszę do ataku.

Niewolnik znowu zaczął się wspinać. Tym razem prześlizgnął się przez okienny otwór i zniknął w ciemnościach.

Wtedy Sigurd zerwał się i pobiegł. Pędził przez zalany księżycowym światłem dziedzińiec do budynku, w którym sypiali rodzice. Zaczął bębnić w drzwi. Słyszając hałas drużynnicy ojca przybiegli z obnażonymi mieczami i oszczepami.

Obłoki płynęły po nocnym niebie. Psy ujadły. Rozległ się krótki okrzyk przerażenia, po czym zapadła cisza.

Sigurd usłyszał wiele słów pochwały po tych wydarzeniach. Zanim niewolnik został ujęty, zdołał się najeść masła i sera, a poćić suszonego mięsa ukrył pod kurtką. Toteż drużynnicy musieli odczuć, jak bardzo jarl jest niezadowolony. Kolejno, Jeden po drugim, byli wzywani do halli, gdzie dowiadywali się, że jeśli dalej tak będą stróżowali, że niewolnicy i inna hołota może opróżnić spichlerze, to zostaną odesłani do wyrzucania gnoju. Marnie by się skończyło, gdyby wrogowie albo rabusie dostali się do dworu, podczas gdy wszyscy śpią. Wzrok jarla miotał błyskawice. Do Sigurda powiedział jednak:

— Ale ty, synu, możesz mi towarzyszyć w drodze na ting. Jestem z ciebie dumny.

Twarz chłopca rozjaśniła się.

— Popłyniemy statkiem, ojcze?

— Tym razem nie. Powiniennem po drodze odwiedzić kilka dworów. Musimy jechać nad Trollfiordem i Jutuljuvet, i zajrzeć do dworów po drugiej stronie góry.

Fiord Trolli! Ciemny i połyskliwy, u podnóża wysokich gór, gdzie często kryły się wrogie okręty. I Jutuljuvet! Przełęcz Olbrzymów. Sigurd słyszał wiele o tej wąskiej przełęczy, gdzie góry były tak niedostępne, że mało kto zdołał się tamtędy przedostać. Kiedyś kilku zbiegłych niewolników próbowało się przedrzeć przez Jutuljuvet i zakończyło swoje nędzne życie w spienionym wodospadzie, spadającym z góry.

— Może pojedziemy też do osady handlowej, ojcze...

— Bręczysz jak natrętna mucha — odparł jarl ze śmiechem.

Sigurd rozradowany wybiegł z halli. Na dziedzińcu bawiło się kilkoro dzieci drużynników jarla. Hałasowały i mówiły wszystkie naraz, trudno było zrozumieć, o co im chodzi.

— Coś się dzieje przed domem niewolników — wołały, ciągnąc go za sobą. — Chodź, będzie wesoło!

Przed domem niewolników! Sigurd pobiegł za dziećmi wąską ścieżką, prowadzącą w stronę mokradeł na skraju dworskich zabudowań. Obok niskiego, kamiennego domu zebrał się tłum. Jego bracia byli tam także. Przecisnął się naprzód i zawołał:

— Co się tu dzieje?

— Będą wymierzać karę niewolnikowi — odrzekł jeden z drużynników, spoglądając z oczekiwaniem w stronę domu niewolników. — Chodź, stąd będziesz widział lepiej... — Zrobili mu miejsce tak, że stał na samym przodzie.

Wkrótce potem drzwi otworzyły się i dwóch silnych wojów wyprowadziło młodego niewolnika. Trzymali go jak w żelaznych kleszczach, mimo że chłopak wrywał się i szarpał głową. Był chudy i przygarbiony. Niewolnik, który ukradł jedzenie!

— Darujcie mu — łkał kobiecy głos. — Chciał tylko zdobyć trochę jedzenia dla swojego starego ojca, który jest chory!

Młoda kobieta w rozchełstanej koszuli i z włosami opadającymi w kosmykach na twarz rzuciła się do wojowników. Oni jednak odepchnęli ją.

— Milcz, babo! Milcz, Una, bo i tobie się dostanie!

Orm Viking podniósł kij i z rozmachem uderzył chude ciało.

Sigurd zadrżał. Nigdy jeszcze nie był tak blisko niewolników. Nieoczekiwanie ujrzał twarze. Stare i młode. O oczach, które patrzyły na niego tak, że aż paliło w piersiach. Słyszał uderzenia kija i bolesny płacz. I nagle jakby czerwony obłok przesłonił mu wzrok, a w uszach zaczęło szumieć. Wyrwał się z tłumu, przebiegł przez dziedziniec i schował się koło kuchni, gdzie rosły wysokie pokrzywy. Po chwili stanęła przed nim Edda.

— No i co, Sigurd, zadowolony jesteś?

Nie był pewien, czy rzeczywiście wypowiedziała te słowa. Może stała w milczeniu i tylko patrzyła na niego?

— To przecież był tylko niewolnik, Edda — chciał powiedzieć. — Tylko nędzny niewolnik. — Ale skulił się próbując ukryć twarz.

Edda wciąż stała przed nim bez ruchu.

— Ja także jestem niewolnicą.

Ale i teraz nie wiedział, czy to były jej słowa, czy on sam jej wymyślił.

Edda poszła sobie, a on długo jeszcze stał tak jak przedtem, z głową pochyloną nad liśćmi pokrzyw. Po pewnym czasie poszedł do stajni i wyprowadził Faksego.

W halli drużynnicy siedzieli na ławkach. Ogień trzaskał na palenisku, a płomień odbijał się w szerokich ostrzach toporów wiszących na ścianie. Niewolnice roznosiły pachnący chleb i świeżo gotowaną baraninę. Psy ujadły i domagały się jedzenia.

— Gdzie jest Sigurd? — zapytała gospodyni.

— Nasiusiał w majtki, kiedy wymierzano karę temu nikczemnemu niewolnikowi — roześmiał się jeden z braci.

— Drżał i pocił się, kiedy zobaczył, jak Orm Viking podnosi kij — wtórował mu drugi. — Zrobił się błądy jak trup i zwiewał przez podwórze, aż gwizdało. A potem już go nie widzieliśmy.

Żona jarla pochylila się ku mężowi i szepnęła:

— Boję się, że nasi synowie mają rację. Sigurd jest słaby. Nigdy nie będzie wielkim wojownikiem.

— Ta jego słabość pochodzi od Eddy — powiedział jarl.

— Tak — westchnęła jego żona. — Popelniliśmy poważny błąd, oddając go na wychowanie niewolnicy.

Sigurd galopował w cieniu gęstych drzew, których konary zwisały nisko nad ścieżką. Wiatr cicho szumił w gałęziach. Pod drzewami, w promieniach jesienno słońca złociły się liście. Sigurd marzył. Las był teraz jakiś odmieniony. Może dlatego, że dzień chylił się ku wieczorowi, a może dlatego, że chłopiec wciąż myślał o tych niezwykłościach, które tu przeżywał. Musiał jednak jechać przez las, żeby dostać się do swojej polanki wśród drzew. Musiał być teraz sam. Głowa wprost pękała mu od myśli.

Mam przecież Faksego, powiedział do siebie półgłosem. I łuk ze strzałami przewieszony przez ramię. Nie trzeba się niczego bać.

Musi być silny i odważny.

Czuł ciepło w piersi na myśl o tym, jak ojciec go chwalił. Jarl był z niego dumny, bo tak dobrze pilnował dworu i spichlerza. Zauważył, że drużynnicy spoglądali na niego z respektem. Orm Viking i Bjørn Skald także. Najpierwsi z ludzi jarla.

Spiął konia piętami i próbował zaśpiewać zabawną piosenkę. Ale jakoś mu nie szło. Po chwili melodia całkiem zacichła. Mimo wszystko nie było mu radośnie. Widział złane krwią plecy niewolnika. I twarz Eddy.

Co o niej wiedział? Tyle tylko, że była niewolnicą i jego wyłączną własnością. W dniu, kiedy się urodził, jeden z drużynników ojca został wysłany do domu niewolników. Pewna

młoda niewolnica także urodziła wtedy dziecko, ale kazano jej wynieść je do lasu i tam zostać. Zamiast swego dziecka miała karmić Sigurda, syna jarla.

Nie lubił o tym myśleć. To dlatego Edda miała nad nim władzę, że był z nią tak blisko związany od samego urodzenia. Ale niech sobie nikt nie myśli, że wciąż jest malcem. Zrobił tylko to, co przystało wolnemu mężowi. Niewolnik wykradający jedzenie swego pana powinien ponieść karę. Dlaczego miał się przejmować, co powie na to Edda...

Jutro mają wyruszyć na ting. Cieszył się, że spotkają krewniaków i usłyszą nowiny z innych okolic. Może do osady handlowej także pojadą, tyle wspaniałych opowieści słyszał o tym miejscu. O straganach kupców i warsztatach rzemieślniczych stojących ciasno, jeden przy drugim, o statkach stojących wzdłuż nabrzeży...

Zeskoczył z konia i prowadził go przez ostatni odcinek drogi do polanki.

Coś załopotало w liściach.

Sigurd chwycił łuk i gwałtownie rozejrzał się wokół. Znad łąki nadleciał z krzykiem wielki ptak. Chłopiec odetchnął z ulga i opuścił łuk.

I wtedy usłyszał szept, jakby ktoś wołał: Sigurd... Brzmiało to nie głośniejsze niż tchnienie.

Zimno go przeniknęło, gdy zobaczył, że ktoś stoi na skraju polanki, na wpół ukryty za drzewami. Jakaś postać w ubraniu ziemistego koloru.

To była Ravnejenta. Stała tam, jakby wychynęła wprost z ziemi. Stała długo i przyglądała mu się. W rękach trzymała koszyk.

— Wiem, kim jesteś — powiedziała. — Jesteś Sigurd, syn Jarla.

Podeszła bliżej, ale on cofnął się pospiesznie. Serce mu łomotało. Dopiero teraz zobaczył, że mogła być w tym samym wieku co on. Może rok starsza, może młodsza. Na szyi nosiła woreczek, którego zawartość znał — kości nieboszczyka, sproszkowana węzowa skóra i trujące zioła.

Syn jarla! Każdy przecież widział, że on jest synem jarla. Ze złotą przepaską na czole i z pasem nabijanym srebrem. Co, myślała może, że jest świniopasem albo innym nędznym niewolniczyną?

Podeszła jeszcze o krok bliżej.

— Jest tak, jak myślałam — powiedziała. — Oczywiście masz takie. Niebieskozielone jak woda w górach. Tylko to chciałam zobaczyć.

Przyglądał się jej. Nie mógł oderwać wzroku od tej zgarbionej postaci.

— Prawie zawsze jesteś sam — powiedziała, a jej słowa godziły go jak strzały. — Ale my jesteśmy z tej samej gliny. My dwoje.

— Co masz na myśli, ty obdartusie? — Zmrużył oczy i patrzył na nią z góry. Był synem jarla i za nic miał takie nędzarki. Podniosła koszyk, a coś na kształt uśmiechu rozjaśniło jej wykrzywioną twarz.

— Chcesz?

Zajrzał do koszyka. Poczuł, że ślina wypełnia mu usta. Złote, dojrzałe bagienne maliny!

Kiedy to jadł je po raz ostatni? Ostrożnie wziął garść dorodnych owoców i wepchnął do ust. Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko i częstowała jeszcze. Raz za razem napełniał usta soczystymi jagodami. Jadł, aż koszyk był prawie pusty.

Przyszło mu teraz do głowy, że mogły to przecież być zatrute jagody. Mrowie przebiegało mu po plecach. Kiedy jadł, ona śmiała się i śmiała, a było w tym śmiechu coś niesamowitego. Zerwał się i odbiegł kawałek, byle nie być blisko niej. Przypominała bardziej gnoma niż człowieka. Istotę żyjącą w górach i skałach, nie należącą do świata ludzi. Jej oczy się jarzyły. Włosy lśniły kruczoczarno. Jesteśmy z tej samej gliny, my dwoje... W końcu zaczęła tańczyć i śpiewać:

*Słońce pośród nocy, ogień księżycowy,
Zimowe kwiaty na śniegu w lecie.*

*Ptak w ziemi, ryba w powietrzu,
Iskier deszcz w morzu płomieni,
Czarownice, trolle i gnomy
Dajcie mi czarodziejską moc!*

Sigurd odwrócił się do niej plecami i pobiegł do stojącego opodal Faksego. Chwył białą grzywę i wskoczył na grzbiet. Przez ramię zobaczył, że dziewczyna weszła w las i zniknęła w mroku pomiędzy pniami drzew.

— Gotuj tajemniczy napój, Edda! — rozkazał, gdy wrócił do domu. — Ten, który chroni przed czarami.

— To mocny napój — powiedziała Edda. — Działa bardzo silnie.

— Rób, co powiedziałem!

W nocy spał niespokojnie. Ale żadne czary nie dotknęły syna jarla.

Następnego ranka dzień wstał deszczowy i szary, jak to się może zdarzyć tylko późną jesienią. Poprzez otwór w dachu sączyło się bladoszare światło. Sigurd mrugał oczami i wsłuchiwał się w głośnie krzyki dwóch srok, które o coś walczyły tuż pod okiennym otworem.

— Syn jarla powinien wstać. To dzisiaj syn jarla ma jechać na ting.

Edda stała przy nim trzymając gotowe ubranie — koszula kurtka, majtki i spodnie. Sigurd przeciągnął się w łóżku i przypomniał sobie, co stało się wczoraj w lesie. Teraz wydawało się to takie nierzeczywiste. Jakby mu się wszystko przyśniło. Głowę miał ciężką po napoju, który przygotowała Edda.

Po chwili jednak rozbudził się na dobre, zrzucił z siebie skóry i okrycia.

— Spiesz się, Edda! Dawaj ubranie. Spiesz się, powiadam!

Edda nacisnęła usta, pomagając mu włożyć pas i umocować zapinki. Jej oczy przypominały czarne kamienie, a włosy opadały w kosmykach na twarz. Ona jest straszna, pomyślał. Całkiem jak Ravnejenta. Kopnął ją z rozmachem, gdy nie dość szybko wiązała mu buty. Konie rżały na dziedzińcu i słyszał pobrzękiwanie uprzęży.

Wyszedł na zewnątrz i chciał biec do ojca.

— Zaczekaj, Sigurd!

Odwrócił się w nadziei, że ona chce mu powiedzieć jakieś dobre słowo. Coś, że powinien być ostrożny albo że musi do niej wrócić cały i zdrowy. Zwykle tak mówiła. Ale od tamtego dnia, gdy niewolnik został ukarany, wszystko było inaczej.

— Syn jarla nie może ruszać w drogę bez płaszcza!

Przyglądał się jej zaciętej twarzy, gdy okrywała go opończą i przymocowywała ciężką, srebrną zapinkę na ramieniu. Ani słowa na pożegnanie. Odwrócił się jeszcze lekko w drzwiach, ale ona już na niego nie patrzyła. Zajęta była porządkowaniem i sianiem łóżka. Przeklęta czarownica!

Ale gdy tylko wyszedł na dziedziniec, zapomniał o Eddzie. Jakie piękne były konie, gdy tak stały wszystkie razem na dziedzińcu! Lśniaca skóra, gładkie boki i uprzęż ze złotymi okuciami.

Jarl czekał już w siodle, na Ravnsotem. Czarny ogier potrząsał grzywą i niecierpliwie grzebał nogą w ziemi, chciał ruszać. Obok stał koń Sigurda, Fakse, i czekał na niego. Digralde wyszedł ze stajni i posadził Sigurda na końskim grzbiecie. Dwaj starsi synowie jarla także dosiedli swoich koni, a za ich przykładem cały oddział drużynników i służby.

Sigurd jechał tuż obok ojca i uśmiechał się radośnie. Śmiechy i krzyki rozlegały się wokół, a w osadzie, w otwartych drzwiach domów stali ludzie i pozdrawiali ich. Pod wysoką skałą Sigurdowi zamajaczyła ubrana na czarno, skulona postać. Poznał ją. Poczł ukłucie w sercu, bo zdawało mu się, że gdy przejeżdżali obok, jarl ją pozdrowił.

Przez jakiś czas jechali u podnóża Strasznej Góry, a potem góry stały jakby ciaśniej obok siebie. W dole leżał Trollfiorden, czarny i lśniący jak oczy smoka, a ścieżka, którą się posuwali, wiodła przez wąską przełęcz. Dokoła było dziko i groźnie. Przed sobą mieli Jutuljuvet, głęboką rozpadlinę między wyniosłymi górami, z porośniętą mchami ścieżyną, jakby ją tam zawiesiła jakaś potężna dłoń. Pośrodku żlebu pienił się wodospad, potężne masy wody, dobywające się wprost z górskiej ściany, spadały w dół z łoskotem, wzbijając tumany lodowatobłękitnego wodnego pyłu. Jarl pozwolił odpocząć koniom na polanie, gdzie trawa była jeszcze zielona i świeża. Pasło się tam niewielkie stado owiec. Sigurd nie miał wątpliwości, że to owce ojca, bo pasterką była Kumba, jedna z najstarszych niewolnic we dworze. Zaganiała właśnie owce, by odprowadzić je przed zimą do domu.

Sigurd siadł na trawie i odchylił głowę. Odczuwał trwogę, patrząc na wyniosłą, pnącą się ku niebu górką ścianę. To pewnie prawda, co starzy ludzie powiadali, że tu, przy Jutuljuvet, Tor walczył z trollami. Musiała się rozpętać straszna burza, gdy trolle zebrały się u podnóża żlebu. Sigurdowi zdawało się, że słyszy ich krzyki odbite od górskich ścian i widzi płonące oczy Tora, ciskającego swój potężny młot i przemieniającego trolle w kamienie.

Po chwili zobaczył, że wysoko, tam gdzie zaczyna się żleb, stoi maleńka chatka, uczepiona ściany. Wyglądało, jakby stała na jakiejś-półce, pod samym niebem. Patrzył na nią i nie mógł się nadziwić, skąd się tam wzięła.

— Patrzysz na Jutuljuvet, synu jarla...

Obok stała Kumba. Odwrócił się gwałtownie. Była odrażająca. Miała tylko dwa zęby w górnej szczęce, zgarbione plecy, skórę brudną i pomarszczoną.

Sigurd poczuł mocny, nieprzyjemny zapach jej ubrania. Wstał i ruszył ku swoim. Dławiły go mdłości.

— Mieszkała tam niewolnica jarla — szeptem mówiła Kumba idąc za nim. — Ale była inna niż zwyczajne niewolnice. Włosy miała czarne jak węgiel, a dłonie wąskie i piękne. Ludzie powiadali, że pochodziła z kraju leżącego daleko na południu. Lecz umarła przy urodzeniu dziecka... — Sigurd przystanął i spoglądał ukradkiem na Kumbę. Jej odpychające oczy były wilgotne, jakby miała zacząć płakać. — A dziecko, które urodziła, synu jarla, wcale nie było takie jak powinno...

Sigurda przeniknęła dreszcz. Matka uważała, że Kumba jest czarownicą i wielu życzyło jej śmierci. Mimo to trzymali ją, bo nikt tak jak ona nie umiał obchodzić się z inwentarzem. Gdy opiekowała się krowami czy owcami, zwierzęta były tłuste i okrągłe i dawały dużo mleka.

Jarl zawołał Sigurda. Musieli jechać dalej.

Trzaskały bicze i uzdy, gdy orszak znowu dosiadł koni. Pojechali wąskim traktem wiodącym do osad po drugiej stronie gór. Sigurd zauważył jednak, że ojciec odwrócił głowę i patrzył w górę, na chatynkę pod szczytem. Kumba zauważyła to także, uśmiechnęła się krzywo i poprowadziła swoje stadko ku dolinie.

Gdy słońce stało wysoko nad górami, przybyli do niewielkiej zagrody o niskich zabudowaniach. Jarl zatrzymał się przed drzwiami i począł w nie bębnić drzewcem dzidy. Po chwili ostrożnie wyjrzał siwowłosy chłop, przyglądał się przerażony tej wielkiej gromadzie ludzi; za jego plecami stała niska, pokornie zgięta kobieta.

— Znamienici goście przybywają dziś do waszej zagrody — powiedział jarl. — Stawiajcie na stół, co macie najlepszego.

— Ale ja nie jestem w stanie nakarmić tak wielu ludzi — jęczał chłop.

Jarl roześmiał się ponuro.

— Wiesz przecież, że jesteś moim dzierżawcą i nawet te kamienie, na których stoi dom, nie są twoją własnością. Będiesz bardziej gościnnie, gdy się lepiej zastanowisz.

Chłop zaczął rwać włosy z głowy, po chwili ukrył twarz w rękach. Stara kobieta stała z

tyłu za orszakiem jarla i wygrażała mu pięścią. Dwóch drużynników poszło do obory i wyprowadziło stamtąd jałówkę.

Sigurd zatrzymał konia w cieniu chaty. Przybiegli tam do niego bracia.

— Chodź, poćwiczmy na placu, zanim przygotowują smaczne jedzenie!

— Nie chcę — opierał się chłopiec.

— Nie chcesz? — roześmiał się starszy z braci. — Ale będziesz musiał. — I chwycił go mocno za ramiona.

Na to Sigurd go ugryzł w rękę. Wbił zęby w skórę i mocno zacisnął szczęki.

— Ty niegodziwcze — syknął tamten i dzielił go pięścią, po czym bracia chwycili go za ręce i pociągnęli za sobą.

— Synowie høvdingów są jak wilki — wymamrotała stara kobieta i splunęła za nimi.

— Niech was wszyscy bogowie z Walhalli przeklną...

Po skończonym posiłku jarl powiedział:

— Chcę, abyście przed wyjazdem na ting włożyli swoje najlepsze ubrania. Wszyscy powinni widzieć, że należymy do jarlowskiego rodu.

Wkrótce byli gotowi. Jarl w swojej wspaniałej, błękitnej burce, tak obszernej, że okrywała także boki konia, i trzech jego synowie w pięknych, białych kurtkach przetykanych złotem i w pasach nabijanych srebrem.

Ojciec uśmiechnął się.

— Teraz możemy ruszać, moi synowie!

Konie potrząsały głowami, przestępowały z nogi na nogę, parskały i gryzły wędzidła. Wkrótce ruszyli kłusem.

Na placu tingowym spotykało się wielu różnych ludzi. Chłopi, którzy chcieli załatwić sprawy spadkowe albo wyjaśnić sąsiedzkie nieporozumienia, albo też mieli nadzieję na ugodę w sprawie o morderstwo. Przybywali statkami, wzdłuż fiordu, bądź konno, przez góry, i pozostawali na miejscu, dopóki ting się nie skończył.

Jarl przybył tu, by pomóc swemu krewniakowi w załatwieniu sprawy o morderstwo. Ale miał też inny interes. Chciał mianowicie zbudować sobie nowy okręt. Dowiedział się, że właśnie w tym roku mają przybyć na ting szkutnicy, znani ze swoich niepospolitych umiejętności, ludzie, którzy budowali wielkie okręty dla høvdingów i bogatych ludzi. Ich to zamierzał jarl zaprosić do dworu na zimę i rozglądał się teraz niespokojnie, poszukując namiotu szkutników pomiędzy rzemieślnikami, którzy rozlokowali się na skraju tingowego placu.

Nagle ściągnął uzdę.

— Patrzcie, kto tam nadjeżdża — powiedział przyciszonym głosem, wskazując głową w stronę wzgórz.

Na górze stał liczny orszak konnych. Lśniły oszczepy i ostrza toporów.

— Ciężkobrajni — powiedział jarl. — A ich topory zwrócone są w naszą stronę.

Na samym przodzie jechał wysoki mężczyzna w płaszczu lamowanym futrem, a tuż za nim młody chłopiec równie pięknie ubrany.

— Przyjrzyjcie się tym dwóm — powiedział jarl. — To sam Illuge i syn tego jadowitego węża, Tord Illugesson. Nie zapomnijcie nigdy, że to właśnie ich ród winien jest śmierci waszego najstarszego brata. Nie zapomnijcie o zemście!

— Bądź pewien, że nie zapomnimy! — zawołali chórem obaj starsi bracia.

Tylko Sigurd nie odpowiedział nic. Poczł dreszcz obrzydzenia na plecach. Illugowie, stojący nieruchomo na wzgórzu, wyglądali jak stado czarnych kruków. Niebo za nimi było złote przed zachodem. Nie wróżyło to nic dobrego. Sigurd zaczął myśleć o strasznej walce, jaką kiedyś widział. To były dwa kruki, które dziobały się i darły pazurami, dopóki nie padły oba, krwawiące i odarte z piór. Czy tak miało też być z tymi dwoma rodami?

Nagle zatęsknił do Eddy. Tak bardzo chciał, by znalazła się w pobliżu. Żeby znów był

mały i mógł się schronić w jej objęciach, gdzie było bezpiecznie i przytulnie, tak jak to robił, gdy słuchał strasznych baśni i opowieści. Ale teraz był duży. I wstydził się, że myśli o Eddzie.

Wszyscy obecni na placu zauważyli już dwa wrogie sobie rody. Orszaki po obu stronach były tak samo liczne i równie ciężkozbrojne. Straszna, przytłaczająca cisza panowała, dopóki Illugowie nie zawiesili znowu toporów u siodeł. Wtedy jarl i jego towarzysze zeskończyli z koni i ruszyli w stronę placu.

A tam dopiero było na co popatrzeć! Sigurd natychmiast zapomniał o Illugach. Ludzie przybyli z bliska i z daleka, a wszyscy w najlepszych ubraniach, w kolorowych kurtkach i płaszczach. Witał się z licznymi synami høvdingów, których spotykał na ucztach w różnych dworach. W tłumie widziało się również młode dziewczęta. Przybyły tu ze swoimi rodzicami, którzy chcieli znaleźć dla nich majątnych narzeczonych. Dwaj starsi synowie jarla byli już zaręczeni z pannami z bogatych dworów na wschodzie. Toteż Sigurd przestraszył się nie na żarty, gdy zobaczył ojca rozmawiającego z jakimś bogatym chłopem, któremu towarzyszyła gromadka córek, pyzatyh dziewcząt z zadartymi nosami. Sigurd uważał, że wyglądają jak tłuste świnki, gotowe do zabicia. Pospiesznie umknął i zmieszał się z tłumem.

Poszedł na skraj tingowego placu, gdzie piwiarki rozstawiły swoje szalasy.

— Czas na mały łyczek — zachęcała go jedna ze starych, wyciągając w jego stronę puchar. Śmiała się z niego, bo przyglądał się wszystkiemu ciekawie i wszędzie wsuwał swój nos.

— O, widzę, że nie byle kto nas dzisiaj odwiedził.

— Jestem synem jarla — odparł Sigurd.

Z tyłu za piwiarką stała wielkooka dziewczynka z kasztanowatymi warkoczami, sięgającymi aż do pasa. Przypominała mu kogoś znajomego, ale na próżno szukał w pamięci, kto by to mógł być. Gdy usłyszała, że jest synem jarla, podbiegła do niego, żeby obejrzeć jego piękny nóż.

— Uważaj — przestrzegł. — Jest bardzo ostry. — Cofnęła rękę. — W domu mam jeszcze piękniejszą broń — powiedział, prostując dumnie głowę. — Miecz i oszczep, i ciężkie topory...

— Ale pieska nie masz.

Spojrzał na nią zaciekawiony.

— A ty masz? Ty?

Roześmiała się.

— Chodź, to zobaczysz. — Ale powiedziała to szeptem, żeby piwiarka nie mogła usłyszeć.

Sigurd wahał się i rozglądał, czy nie widać gdzie ojca. Ale ten wciąż rozmawiał z chłopem, którego córki stały obok w szeregu, jak prosięta wystawione na sprzedaż.

Uboga dziewczynka piwiarki była mniej niebezpieczna niż tamte — tyle rozumiał. Toteż przemykał za nią na tyłach namiotów, a potem przez łąkę, porośłą trawą tak wysoką, że ich prawie nie było widać. Szli potem wąską ścieżką przez brzozy zagajnik aż do małej zagrody, w której stał tylko jeden niewielki domek i malusienka, kamienna obórka. Słysząc było, że coś skamle i piszczy w obórce, a ze szpary w drzwiach wystawał wilgotny nosek. Gdy dziewczynka otworzyła, z wnętrza wyskoczył psiak i rzucił się ją witać z radosnym skowytem. Był to mały kundelek z zakręconym ogonkiem.

— Prawda, jaki śliczny? — wołała dziewczynka. Przytuliła policzek do puszystego futerka. — Nie wolno mi go zabierać na ting, bo by się zgubił.

— Jak ci na imię? — zapytał Sigurd.

— Pytasz mnie czy szczeniaka? — zaśmiała się. — On nazywa! się Rask, a ja Frøydis.

— Ile masz lat? — spytał znowu.

— Mówią, że urodziłam się w tym roku, kiedy rzeka wylała — śmiała się Frøydis.

Teraz roześmiał się i Sigurd, bowiem oboje stracili tego lata po jednym zębem trzonowym, musieli więc być w tym samym wieku.

— A ta piwiarka to twoja babcia?

Dziewczynka przytaknęła.

— Tylko my dwie w całym obojcu. A i tak ja robię prawie wszystko, bo babcia choruje na piersi i kaszle dzień i noc.

— A twoi rodzice?

— Uch, ależ ty jesteś ciekawski! — wzruszyła ramionami. — Babcia opowiada dziwne rzeczy. Mówi, że dostała mnie pewnego dnia, dwanaście lat temu, od bogini Frei. Mówi, że znaleźli mnie w lesie. Spójrz na to! — Odchyliła lnianą koszulę i pokazała mu niewielką ozdobę z żelaza, którą nosiła na szyi. — Ten znak miałam na sobie, kiedy mnie znaleźli!

Sigurd przyglądał się. Poznawał ten przedmiot. Był to mały, żelazny krzyżyk, jaki noszą niektórzy niewolnicy. Ci, którzy pochodzą z zachodu i wierzą w innych bogów.

— Tak się zamyśliłeś — powiedziała Frøydis ze śmiechem. — Dałabym całą osełkę masła, żeby się dowiedzieć, o czym teraz myślisz.

— Może to prawda, że znaleźli cię w lesie. Wcale nie jesteś podobna do piwiarki.

— Chyba nie — powiedziała dziewczynka i okręciła się na jednej nodze, a brązowe warkocze tańczyły wokół niej. — Jestem podobna sama do siebie i już!

— Muszę wracać — powiedział Sigurd. Ale dziewczynka chwyciła go za ramię.

— Poczekaj! Mamy tu dzięgiel. Rośnie tuż za domem. Chcesz trochę?

Pobiegła i za chwilę wróciła z podołkiem pełnym świeżych, zielonych łądyg. Sigurd odgryzł spory kawałek i chrupał głośno. Resztę schował pod kurtkę. Frøydis dała mu znak, by poszedł za nią. Chciała mu coś pokazać.

Wahał się. Była to przecież zwykła biedna dziewczynka i nie mógł siedzieć u niej przez cały dzień. Poza tym pewnie ojciec i bracia zaraz się zaczną zastanawiać, gdzie się podział. Ale Frøydis nalegała i wabiła.

— No chodź — namawiała z uśmiechem, a szczeniak merdał ogonem i chwycił zębami rzemienie u jego trzewików.

Zgięci wespół weszli do niskiej, kamiennej chaty. Tuż pod otworem okiennym Frøydis poukładała kawałki drewna, pokryte mchem, tak, że wyglądały jak domki wokół dużego dziedzińca, otoczonego murem z gładkich kamyków.

— Dwór høvdinga — powiedziała z dumą. — Z hallą, domami do spania i stajniami. Myślę, że jest jeszcze piękniejszy niż dwór jarla.

Sigurd wyjął nóż i zrobił ważną minę.

— Jakieś bydło chyba także powinnaś mieć we dworze — powiedział, biorąc kawałek drewna. — I może kilka dorodnych koni!

Frøydis wyciągnęła głowę, nosem prawie dotykała jego twarzy.

— Umiałbyś to zrobić?

— Syn jarla wszystko potrafi. Nie wiedziałas o tym?

Sigurd rzeźbił. Ale zwierzęta nie bardzo się udawały. Koń był jak tłusta świnia, a krowy przypominały kury.

Nagle wrzasnął i zaczął podskakiwać. Nóż upadł na ziemię. Krew lała się z palca i ciężkimi kroplami padała na piękną kurtkę. A twarz Sigurda była równie czerwona jak ta krew. Odepchnął Frøydis, która rzuciła się na pomoc. Nie chciał już dłużej siedzieć w mrocznej chacie. Chciał wracać na tingowy plac.

Gdy wyszedł na zewnątrz, słońca już nie było widać zza wzgórz, a woda w zatoce zrobiła się czarna i połyskliwa. Jakaś zgarbiona postać zbliżała się do zagrody. To piwiarka. Niosła na plecach! wielki worek, a na piersi powiązane sznurem kubki i naczynia. Kaszłała strasznie i złościła się, że Frøydis nie przychodzi, żeby jej pomóc.

Zobaczywszy Sigurda zrzuciła worek i plasnęła w dłoń.

— To on tu się chowa! — zawołała przestraszona, jakby spotkała ducha. — Ludzie jarla szukają wszędzie, ale nigdzie nie ma jarlowego syna.

Sigurd podbiegł do niej.

— Gdzie jest ojciec? Gdzie są moi bracia?

Kobieta machała rękami.

— Będzie najlepiej, jeśli pobiegiesz na plac tak szybko, jak tylko potrafisz, synu jarla. Gdy twój ojciec odkrył, że Illugowie opuścili ting, zaczęło się i jemu bardzo spieszyć. Chce jak najszybciej wrócić do swojej siedziby. Mówił coś o tym, że wilki atakują, kiedy zdobycz jest słaba i bezbronna.

Sigurd pobiegł co tchu pod górę. Krew pulsowała mu w skroniach. Biegł przez brzozy zagajnik i przez łąkę, gdzie wysokie trawy sterczały ku niebu jak dzidy. Pośrodku placu tingowego stał orszak jarla. Konie potrząsały grzywami i ryły ziemię kopytami. Bracia Sigurda dosiedli już koni i trzymali obnażoną broń. Na czele stał jarl przy Ravensotem. Jego oczy miały błyskawice.

— Wydawało mi się, że mój syn ma lepsze pomysły niż zniknąć nie wiadomo gdzie, jak jakiś malec, który jeszcze spodni nie nosi. Pospiesz się, chłopcze.

Sigurd wskoczył na konia i zarumienioną ze wstydu twarz ukrył w kołnierzu kurtki.

Droga wiodąca na północ, przez góry, ginęła w ten późny, jesienny wieczór w mroku. Liczna grupa jeźdźców była prawie niewidoczna w cieniu Strasznej Góry.

Sigurd był bardzo śpiący i wielokrotnie o mało nie spadł z konia. W pewnej chwili jarl dał znak ręką. Wszyscy stanęli. Zbliżali się już do dworu, w dole widać było płonące pochodnie. Domy spały w niebieskawej poświacie. Srebrny strzép księżyca wisiał nad szczytem góry.

Nagle Sigurd ocknął się z drzemki i przetarł oczy.

— Spójrz, ojcze! — zawołał przerażony. — Tam, na tych jeźdźców!

— Gdzie?

— Tam, w dole. Okrążają nasz dwór!

— Na Odyna, chłopcze, masz rację. Teraz masz okazję pokazać, co potrafisz. Trzymaj łuk w pogotowiu!

Jarl zeskoczył z Ravensotego. Zostawił jednego człowieka do pilnowania koni, a sam z resztą drużyny przemknął pod skałę górującą nad dworskimi zabudowaniami.

— Nie ma żadnych wątpliwości, co tamci zamierzają. Ale powstrzymamy Illugów na czas. Będą mieli niespodziankę.

Niemal w tej samej chwili, gdy pierwsze strzały spadły na dwór jarla, jeden z Illugów został przebity dzidą, rzuconą z tyłu z wielką siłą. Odziani w kolczugi wojownicy zbili się w gromadę, ale trudno było coś dostrzec w ciemności. Zdawało im się, jakby jastrzębie zaatakowały z góry za dworem.

W pewnej chwili Sigurd zobaczył, że jeden z grupy Illugów odłączył się od swoich i wspina się po zboczach. Był to potężny mężczyzna, w skórzanym kołpaku osłaniającym twarz i z ręką mocno zaciśniętą na stylisku topora.

Sigurd napiął łuk. Dzieliło go od przeciwnika tylko kilka kroków. Nigdy jeszcze nie znajdował się tak blisko żadnego z ludzi Illugów. Mężczyzna podniósł twarz, zrozumiał, że został odkryty. Sigurd wciąż trzymał napięty łuk. Strzelaj! Zabij tego nikczemnika! Pokaż, że jesteś dzielny! Ale ręka mu drżała, a w głowie rozrastał się strach, jak biała mgła.

Przeciwnik uniósł topór do ciosu. Ale nagle zastygł w ruchu, strzała przebiła mu pierś. Krzyknął rozdzierająco. Słychać było łoskot kamieni i ziemi, gdy bezwładne ciało staczało się w dół. Zaraz potem Illugowie wskoczyli na konie i wkrótce zniknęli w ciemnościach.

Sigurd powoli odwrócił głowę. To starszy brat Are wciąż jeszcze stał za nim, z łukiem w ręku. Przybiegł jarl i z uznaniem poklepał syna po plecach.

— Położyłeś jednego z ich najdzielniejszych wojowników, synu! Następnym razem przyjdzie kolej na Torda Illugessona. — Śmiał się przez zaciśnięte zęby. — Myślę, że teraz komary pochowają żądła na jakiś czas!

Ludzie jarla włożyli strzały do kołczanów i dosiedli koni. Klusem ruszyli do dworu.

Sigurd ukrył głowę w grzywie Faksego. Wciąż mu się zdawało, że między drzewami widzi twarz tamtego wojownika i słyszał jego krzyk, odbijający się echem w górach. Cieszył się, że wrócił do domu. Gdy wszedł do swojej sypialni, usłyszał, że w mroku ktoś szeptem wymawia jego imię.

To Edda.

Z radości ogarnęło go dziwne ciepło. Czekala na niego. Bała się, że mogłoby mu się przytrafić coś złego.

...Dzięgiel, przyszło mu nagle do głowy. Mógłbym jej dać resztę dzięgielu schowaną pod kurtką. Edda bardzo go lubi.

Kiedy jednak wsunął rękę pod kurtkę, stwierdził, że ze słodkiego zieleńca został tylko zwiędły strzęp.

Nadeszła zima. Śnieg padał gęsto i bezszelestnie. Jak miękka kołdra otulał dwór, zasypywał drogi i ścieżki. Prawie nie widziało się ludzi w tej białej pustyni, jedynie z dachu domu, w którym gotowano jedzenie, i z halli jarla unosiły się cienkie smużki dymu. Kobiety przez całe dni, aż do zmroku, przędły wełnę i tkwały, a mężczyźni naprawiali narzędzia i robili różne przedmioty z drewna. Życie toczyło się wolniej niż w pozostałych porach roku.

Krótko przed zimą ofiarą wielu ludzi zmarło na jakąś straszną chorobę objawiającą się bólami i wysoką gorączką. Wtedy we dworze znowu pojawiła się ona, Ravnejenta. Jak mroczny cień biegała między domami, nosząc parujące misy i garnki z mocnymi naparami ziołowymi o gorzkomdłym zapachu. Wielu starych niewolników zmarło od zarazy. Taka była widocznie wola Odyna, myślał jarl, zadowolony, że nie musi ich dłużej karmić. Ważne było, żeby uratować młodych i silnych.

Żona jarla, trzęsąc się z zimna i ze złości, siedziała przy palenisku i raz po raz spluwała w płomienie.

— Nie dotknie mnie ta straszna dziewczyna nigdy. Choćbym była tak chora, że słyszałabym zbliżanie się Odynowego rumaka śmierci! Tylko odczynianie i czary mogą przepędzić ze dworu duchy choroby i ochronić ludzi jarla.

Pewnego dnia przybył do dworu liczny orszak mężczyzn z wielkimi skrzyniami na narzędzia i mnóstwem tobołów. Długo otrząsali śnieg z butów, nim weszli do halli, gdzie czekał na nich poczęstunek z miodem, a na palenisku trząsał ogień.

— Szkutnicy przyjechali! — wołano na dziedzińcu i zaraz zrobił się ruch w całym dworze. Psy ujadły, niewolnice wyglądały przez drzwi i otwory okienne.

Sigurd także usłyszał nowinę. Wypadł jak wicher ze swojej sypialni i wsunął głowę do halli. Matka chwyciła go za rękę.

— Zachowuj się jak ludzie — syknęła. — A nie jak cielę pokąsane przez gzy!

Zawstydził się i odszedł w kąt. Stamtąd przyglądał się rzemieślnikom, którzy rozsiedli się po obu stronach honorowego miejsca. Było ich dwunastu.

— Pragnąłbym mieć piękny okręt — mówił jarl. — Najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek żeglował wzdłuż naszych wybrzeży.

— Nikt lepiej niż my nie potrafi budować okrętów — powiedział jeden z przybyłych, rosły mężczyzna z wielkim brzuchem. — Ale...

— Wahacie się — powiedział jarl, patrząc na nich po kolei. — Nikt nie wie lepiej ode mnie, że takie piękne i rzadkie morskie ptaki wiele kosztują! — I krzyknął na cały głos: — Orm Viking! — Wysoki wiking wstał, uśmiechając się przymilnie. — Przynies tę dużą skrzynię z mojej sypialni.

Orm skłonił się i pospiesznie wybiegł. Za moment był z powrotem, niosąc z jeszcze jednym wikingiem sporą skrzynię ze srebrnymi okuciami, którą postawili przed jarlem na stole.

— Gospodyni! — zawołał jarl.

Jego małżonka, jakby się trochę ociągając, podeszła do stołu i w wielkim skupieniu otworzyła szkatułkę jednym z tych pozłacanych, brązowych kluczy, które nosiła u pasa. Wieko uniosło się w górę z delikatnym trzaskiem.

— Spójrzcie na to, dobrzy ludzie — powiedział jarl i wysypał zawartość skrzynki na stół.

Szkutnicy zerwali się tak gwałtownie, że poprzewracali rogi z miodem, a jeden uderzył brodą o kant stołu.

Jarl zanurzył dłonie w migotliwym stosie złota.

— No, co powiecie?

— Powiemy — odrzekł ten, który wyrabiał kile okrętów, był pośród wszystkich najwyższy i najsilniejszy, a w jakiś sposób też i najważniejszy, bo od jego pracy wszystko się zaczynało. — Powiemy, że będzie okręt. Potężny, łatwy do prowadzenia, długi okręt. A jeśli ktoś widział piękniejszy, to gotów jestem zjeść własne spodnie i przez całą zimę nie przywdziewać nowych.

Śmiali się wszyscy, przesypywali złoto między zgrubiałymi palcami. Były tam bransolety i pierścienie, i mnóstwo monet z dalekich krajów.

Jarl uśmiechał się zadowolony:

— Okręt będzie się nazywał „Smok” — powiedział. — Mamy w naszych lasach pod dostatkiem drewna dębowego. Możecie zaraz zaczynać. — Jednym haustem opróżnił róg miodu i zmrużył oczy. — Chciałbym mieć bogato rzeźbione stewy. Miejcie to na uwadze.

— Znam jednego człowieka, który w rzeźbieniu nie ma sobie równych — powiedział ten od kila.

— Jak się nazywa?

— Torarin — odparł skutnik. — Torarin Treskjaerer.

— Odszukajcie go — powiedział jarl. — Wynagrodzę go sownie.

Torarin... Sigurd zerknął na Eddę. Zdawało mu się, że nawet z tej odległości słyszy jej oddech. Gwałtownie zbladła i upuściła misę z miodem, którą niosła. Szkutnik, ten od kila, uskoczył w bok i ubawiony bił się po udach, ale gospodyni podeszła i wymierzyła niezdarnej niewolnicy siarczasty policzek.

Śnieg tajał i na fiordzie lód zaczął pękać. W siedzibie jarla ruch panował od rana do wieczora. Kowale wykuwali broń, drużynnicy przygotowywali wojenny ekwipunek, kobiety ładowały do skrzyń jedzenie, piekły, robiły piwo i naprawiały ubrania. Sześć drakkarów, które tego roku miały wyruszyć na wyprawę, stało w zatoce; były świeżo pokryte smołą, czarne.

Młodzi chłopcy zebrali się we dworze. Synowie chłopów, którzy nie znali innego życia poza codzienną mordęgą na kamienistych polach i torfiastych łąkach. Odkąd tylko trochę odrośli od ziemi, przekopywali ciężką glebę, ścinałi trawę na halach i dźwigali ciężary na plecach. Własnych okrętów nie mieli. Co najwyżej małe łódki do połowu ryb na wodach fiordu. Broni także nie mieli. Jedyne ostre, chłopskie siekiery, używane do rąbania drewna i do szlachtowania świń, narzędzia, których starzy chłopci pilnie strzegli w swoich zagrodach. Ale kto zaciągnął się na służbę u potężnego jarla, mógł liczyć na miecz u pasa, i na tarczę, a później i na to, że pozegluje przez rozległe morza na potężnym, długim okręcie z głowami strasznych potworów na stewach.

Niektórzy z nich zastanawiali się pewnie, czy nie powinni raczej siedzieć w domu. Wiedzieli przecież, co się stało z Aslakiem i Arnem, którzy nigdy z wyprawy nie powrócili. I wiedzieli, jaki los spotkał starego Håvarda, który teraz przesiadywał w kącie halli i próbował

się pocieszać grą na kościanym flecie.

Nikt jednak nie mógłby o nich powiedzieć, że są tchórzliwymi psami. Najlepiej odpędzić od siebie wszystkie złe myśli i nosić wraz z innymi broń i skrzynie na okręty.

Dwaj starsi synowie jarla chodzili bez przerwy między zabudowaniami. Broń była naostrzona, wojenny rynsztunek gotowy. Nie mogli się doczekać, kiedy ruszą.

— W przyszłym roku — śmiali się — także mały brat pojedzie z nami! Chodź, weźmiemy go na plac i pokażemy, jak wiking włada mieczem!

W trzy dni później flota wikińska wypłynęła na morze.

Och, nareszcie się ich pozbyłem, myślał Sigurd, siedząc na koniu i odprowadzając wzrokiem sześć dumnych drakkarów. Ale jednocześnie było mu przykro, jak zawsze, gdy okręty wyruszały na wyprawę. Przelknął słone łzy i spiął konia.

— Hej, Fakse! Chcesz się przewietrzyć?

Koń skoczył z miejsca i wkrótce znaleźli się wśród okrytych jasną, wiosenną zielenią drzew. Zeszłoroczne liście szeleściły pod końskimi kopytami, światło i cienie wypełniały przestrzeń między drzewami. Sigurd uniósł głowę i śmiał się.

— Zabawimy się teraz w myśliwych, Fakse! Widzisz? Stamtąd nadchodzi, kołysząc się, wielki miś. Naprawdę! Z rozwartą szeroko paszczą. Nie bój się, Fakse! Wielki łowca niedźwiedzi, Sigurd, poradzi sobie z nim!

Zeskoczył z konia i strzelił. Wbita w pień wielkiego dębu strzała drgała z brzękiem.

I wtedy zza drzew wysunął się mroczny cień.

— O mało mnie nie trafiłeś!

Zadrżał. Przed nim stała Ravnejenta.

— Długo cię nie było — powiedziała. W jej głosie pobrzmiwała jakby przygana. — Ostatnio prawie się nie pokazujesz w lesie.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytał opryskliwie. — Co tu robisz? Żądam, żeby mnie zostawiono w spokoju.

Dziewczynka roześmiała się.

— Jesteś może tchórzem?

Odsunął się od niej.

— Ty się mnie boisz — powiedziała i podeszła bliżej. — Bo jestem straszna! Może tak nie myślisz? — podniosła głos aż do krzyku. — Że jestem straszna! — Skakała dokoła niego jak wrona z opuszczonymi skrzydłami. W końcu zawołała triumfująco: — A oczy i tak mamy tego samego koloru!

Stał przywarłszy do drzewa i wpatrywał się w nią. Patrzył jak zaczarowany. Ona należy do sił ciemności, myślał i mrowie przeszło mu po plecach. Woreczek z suszonymi ziołami i kośćmi nieboszczyka kołysał się na boki, gdy dziewczynka podskakiwała. Zdawało się, że z jej czarnych włosów sypią się skry. Oczy były nienaturalnie wielkie w wykrzywionej, bladej twarzy.

— Co tu robisz? — zapytał znowu.

Dziewczynka spoważniała.

— Patrzę na okręty. Wyruszają do dalekich krajów, ale widzę, że coś pójdzie źle. Kruki tam, w górze. Odprowadzają okręty nie tak, jak to zazwyczaj robią. To zły znak. Posłuchaj, jak wrzeszczą!

Znowu poczuł mrowienie na plecach.

— Łcesz — powiedział i splunął w jej stronę. — Łcesz, ty czarownico! — Odwrócił się i dosiadł konia.

— Twój łuk — zawołała i rzuciła za nim broń. Chwycił łuk w locie, ale już na nią nie spojrzał.

Przez całe lato trzymał się z dala od lasu i unikał cieni między drzewami. Tamto spotka-

nie powoli zaczęło się wydawać nierzeczywiste niby sen. Jak jakiś zły sen.

Ale gdy nadeszła jesień, mógł się przekonać, że jej wróżby przekształcają się w rzeczywistość.

Siedział w halli i obrabiał kawałek drewna, gdy wbiegła Edda. Dyszała ciężko i szybko, przemoczona do suchej nitki.

— Okrety przyplęły!

Sigurd odrzucił nóż i zerwał się na równe nogi. Ojciec i bracia wrócili! Tryggve na pewno ma dla niego coś ładnego. Bransoletę ze złota albo monety, albo jakąś tkaninę na nową kurtkę. Are zaś podaruje mu może piękną broń albo niewolnika, który będzie tylko jego własnością. Bardzo tego pragnął: mieć niewolnika w swoim wieku.

— Twei bracia nie żyją — powiedziała Edda.

Był tak zaskoczony, że ją uderzył. Tak jak matka biła niewolników, gdy robili coś nie po jej myśli. Tryggve nie żyje... Najstarszy z jego braci. Największy i najsilniejszy z nich wszystkich. I Are, który uczył go pływać i strzelać z łuku. Teraz są martwi...

Edda wciąż stała przy drzwiach.

— Syn jarla powinien teraz pójść do starych kurhanów, po północnej stronie dworu.

Narzucił na siebie okrycie ze skóry, pochylił głowę i poszedł za Eddą w ulewnym deszczu.

Wiedział, co się tam będzie działo. Ojciec chciał wnieść kamień z napisami runicznymi ku pamięci synów, którzy spotkali swoje przeznaczenie u wybrzeży kraju Franków. Bjørn Skald będzie recytował pieśni o życiu w domu bogów, jego błękitna opończa będzie powiewać na wietrze, a liczne złote bransolety podzwaniać, gdy wzniesie w górę ręce.

Sigurd powłóczył nogami po błotnistej ziemi. Łzy oślepiały go. Wszystko by wybaczył obu braciom, gdyby im tylko Odyn zezwolił powrócić. Nagle tuż za sobą usłyszał jakiś głos. Cichutki, prawie jak szum deszczu.

— My dwoje — szeptał głos... — Teraz musimy się trzymać razem. Bardziej niż dotychczas.

Uskoczył w bok jak oparzony. Nie mogła go dotknąć swoimi czarami.

— Idź precz! — syknął. — Bo zawołam matkę, żeby cię kazała wyszczuć psami!

Zjawa odwróciła się i przepadła między drzewami.

II

— Sigurdzie — mówił ojciec. — Ty wiesz, dlaczego nadałem ci takie imię... — Sigurd uczył mrowie na plecach. Zacisnął ręce. Ze ściany nad honorowym krzesłem jarla wykrzywił się do niego łeb białego niedźwiedzia z ostrymi kłami. — Kiedy się urodziłeś, przyniesiono cię do mnie, do halli. I gdy zobaczyłem, że jesteś zdrowym i pięknie zbudowanym dzieckiem, położyłem cię na tarczy i nadałem ci imię na cześć bohatera, który zabił straszego smoka w Gnitahai. — Ojciec patrzył mu w oczy. — Chcę, abyś był taki jak on, mój synu. Równie silny i odważny jak Sigurd, pogromca smoka. Następnego lata my obaj wyruszymy na wiking.

Sigurd czuł, że przenika go chłód. A mimo to zarumienił się z radości. Nigdy ojciec tak z nim nie rozmawiał. Nigdy z nim samym. Zawsze odgradzali ich starsi bracia. Teraz on był jedynym synem jarla.

— A teraz posłuchaj baśni — powiedział ojciec. — Żeby Sigurd mógł zabić smoka, musiał zdobyć ostry miecz. W tym celu poszedł do znającego się na czarach kowala imieniem Regin. Regin kuł, a Sigurd dał w kowalski miech. Iskry z sykiem sypały się z ogniska, a młot dudnił o kowadło. Miecz, który wykuli, był tak ostry, że można nim było ciąć żelazo. Wów-

czas Sigurd rzekł: „Teraz nic mi nie straszne. Daj miecz i powiedz, gdzie szukać smoka”. — Jarl uśmiechnął się do syna. — Mam i ja dla ciebie piękną broń, dokładnie tak jak w baśni.

Wstał i odpiął swój miecz. Potem wyjął go z pochwy i długo trzymał w dłoniach.

— Ten miecz przechodzi w naszym rodzie, od trzech pokoleń, z ojca na syna. Ma on swoją moc i wielu musiało oddać życie w zetknięciu z jego ostrzem. Kiedy ty zostaniesz jarłem, będziesz mógł go nosić i używać na dalekich wyprawach. Przypasz go, synu!

Sigurd ujął miecz i przyglądał się w zamyśleniu ostrzu, połyskującemu czerwono w odbłasku ognia.

— Ojciec — odezwał się. — Dlaczego tak bardzo chcesz, abym walczył ze smokiem?

Jarl długo wpatrywał się w syna.

— Jesteś jednak zupełnie inny niż twoi bracia — powiedział wolno. — Żaden z nich nigdy by o to nie zapytał.

Podszedł Orm i położył rękę na ramieniu jarla.

— Chciałbyś obejrzeć niewolników, panie?

— Wprowadź ich!

Orm wiedział, jak załagodzić ból jarla po stracie synów. Wszystkie kosztowności zdobyte na wyprawie zostały wniesione do halli i jarl mógł przesypywać złoto między palcami. Teraz drzwi ponownie otwarto i weszli brańcy. Tłum wychudłych, wygłodzonych ludzi, umęczonych wielodniową podróżą przez otwarte morze. Powoli wchodzili do środka, z rozdętymi nozdrzami i oczami szukającymi jedzenia. Zupełnie jak dzikie zwierzęta, pomyślał Sigurd.

Nagle podniósł głowę i uważnie popatrzył na przybyłych. Tym razem wśród brańców były także dzieci. Zwrócił zwłaszcza uwagę na dwoje z nich — chłopca i dziewczynkę. Mieli blade twarze i niezwykle bujne, rude włosy, opadające w kosmykach na oczy. Byli tak podobni do siebie, iż miał pewność, że to rodzeństwo. Może są w jego wieku? Byli niemal równi wzrostem; dziewczynka tylko nie tak bardzo chuda jak chłopiec.

Co za biedacy, myślał Sigurd. Tych dwoje nie można używać do ciężkiej pracy we dworze. Jarl podszedł do niewolników, oglądał i oceniał, ile mógłby za nich dostać, gdyby chciał ich odsprzedać bogatym chłopom w okolicy.

Sigurd wyteżył słuch, bowiem jarl stał teraz obok rudowłosych dzieci. Przez wiele lat wyprawiał się na wiking i znał mowę, którą posługiwali się ludzie na zachodzie, za morzem. Właśnie tłumaczył małżonce, co mówią niewolnicy. Chłopiec miał jednaście zim, a dziewczynka była o rok młodsza. Zostali uprowadzeni z małej wioski, gdzieś w Irlandii. Z pobliskiego klasztoru wikingowie wynieśli bajeczny majątek.

W pewnej chwili stało się coś nieoczekiwanego. Rudowłosa dziewczynka wysunęła się do przodu, mówiła coś głośno i ze złością pokazywała na żonę jarla. Oczy jej płonęły.

— Co ona mówi? — zapytała tamta zaciekawiona.

— Ta bezczelna dziewczyna powiada, że jesteśmy piracką hołotą, a broszka, którą przypięłaś pod szyją, droga małżonko, należy do jej matki.

W halli zaległa taka cisza, że Sigurd słyszał bicie własnego serca. Nigdy dotychczas nie zdarzyło się, by niewolnik podniósł głos na gospodarzy. Orm Viking chwycił za miecz. Nawet wolny człowiek zostałby ścięty za takie słowa.

Żona jarla zaczęła się jednak śmiać, a stało się to tak nagle i nieoczekiwanie, że jarl nie zdążył zmarszczyć brwi.

— Szybka w gębę i bystra ta dziewczyna — powiedziała gospodyni. — Chcę ją zatrzymać we dworze. Pomoże mi na chwilę zapomnieć o moim smutku.

— Postąpisz jak zechcesz, żono — odparł jarl. — Ale co zrobimy z jej chudym bratem?

— Jego musimy się pozbyć. Jest za mały i słaby. Żadnej pracy we dworze nie podola.

Chłopiec musiał chyba zrozumieć, co powiedziała gospodyni, bo jego przerażone oczy zabłyśły żalośnie. Schwycił siostrę za rękę. Wtedy jarl powiedział:

— Potrzebuję kogoś do wyplatania lin do nowego okrętu. Ten rudogrzywy mógłby się do takiej pracy nadać...

Na koniec jarl nadał irlandzkim dzieciom niewolnicze imiona. W tym kraju mieli się nazywać Reim i Tir. Następnie Orm wyprowadził wszystkich z halli, z powrotem do domu niewolników.

— Połowa z was ma trzymać straż przy skrzyniach ze złotem — zawołał jarl do swoich drużynników. — Jeśli któryś I zaśnie na posterunku, obetnę mu uszy, jutro, wcześniej rano!

A drużynnicy wiedzieli, że jarl nie rzuca słów na wiatr.

Następnego dnia Orm Viking zebrał nowych niewolników na dziedzińcu i przydzielił im pracę. Kobiety miały iść do młyna, który stał nad rzeką; trzeba było wielu rąk, by poruszać ciężkie żarna. Pracowała tam stara Kumba i Una, i wiele innych niewolnic. Dzień po dniu pchały żarna, aż plecy i ramiona cierpły ze zmęczenia. Irlandzka dziewczynka tupiała nogą, nie chciała, by posyłano ją do takiej pracy, zaciskała pięści prawie przed nosem Orma Vikinga, a jej oczy płonęły złością. Była wolną córką irlandzkiego chłopca, czy tego nie rozumiał? Ale Orm podniósł kij i wymierzył jej porządny cios w plecy.

Zdarzało się czasami, że Sigurd, jadąc na koniu do lasu, zbaczał na drogę koło młyna. Niewolnice pchając żarna śpiewały. Pieśń o takiej mocy i tak przejmującą, że prawie zagłuszała szum wodospadu.

Sigurd stał i nasłuchiwał, ale zawsze trzymał się z dala od niewolników.

Z wysokości swego konia widział również, jak Orm wyprowadzał mężczyzn na pole, gdzie spulchniali ziemię i zbierali kamienie. Irlandzki chłopiec miał być używany do innej pracy. Schował głowę w ramiona, gdy Orm popychał go czubkiem dzidy i prowadził do chlewu dla świń. Miał wyrzucać gnój i czyścić pomieszczenie, a w wolnych chwilach wyplatać liny ze skóry wieloryba. W chlewie było cieplej niż w wielu innych dworskich zabudowaniach.

Niewolnicy pracowali od momentu, gdy słońce ukazało się na niebie aż do chwili, kiedy siedziba jarla pogrążała się w ciemnościach. Sigurd widywał ich rzadko. Prawie każdego dnia z drużynnikami ojca ćwiczył się na placu w różnych sportach i we władaniu bronią. Niekiedy w drodze powrotnej zdarzało się, że jechali tuż przy zabudowaniach i wtedy mignęła mu czasem twarz małego niewolnika. Pewnego razu Irlandczyk z rudą grzywą stał przed drzwiami świniarni. Długo się wtedy sobie przyglądali — syn jarla i niewolnik. I Sigurd wyczytał w oczach tamtego nie tylko nienawiść, lecz także ciekawość.

Kiedyś, w porze gdy jesienne sztormy rozpętały się już na dobre, orszak konnych ludzi przeprowił się przez góry. Każdy z nich zmierzał gdzie indziej i za innym interesem, ale podróżowali grupą, dla ochrony przed dzikimi zwierzętami i napastnikami. Gdy minęli szczyty, samotny jeździec oddzielił się od gromady i podążył w stronę dworu jarla.

Co to za dziwny typ, zastanawiali się ludzie. A Edda, która właśnie wracała ze spichrza niosąc pełną dzieżę świeżo upieczonych chlebków, o mało nie została stratowana przez konia lisiorudej maści, który wbiegł kłusem na dziedziniec. Konia dosiadał rostry mężczyzna z dużym brzuchem i bujnym, kędzierzawym zarostem. Szeroki, samodzielowy kaptur opadał mu głęboko na oczy, a nad jednym uchem sterczała wpięta w materiał łozinowa gałązka.

— Niech mi piękna panna wybaczy — zawołał gromkim głosem. Mimo wielkiego brzucha szybko zeskoczył z konia i zaczął zbierać bochenki, które wysypały się z dzieży.

Twarz Eddy pokryły zmarszczki od śmiechu. Piękna panna! Dobry żart, tak się zwracać do niewolnicy, która ma prawie pół setki lat.

— Mielśmy szczęście — nie przestawał żartować. — Mielśmy szczęście, że akurat nie pada, i że przed panny nogami nie znalazł się jakiś tłusty krowi placek. Szkoda by było tych smacznych chlebków.

Zbierał je, strzepywał suchy nawóz, który się do nich przylepił i starannie układał na

powrót w dzieży.

Potem odczepił gałązkę od kaptura i włożył ją w rozpięcie bluzki Eddy.

— Teraz wiem, kogo mam szukać, kiedy zachce mi się tutaj, we dworze, dobrego chleba. A to ważne dla kogoś, kto ma zamiar tu zimować.

Edda długo patrzyła w ślad za tym dziwnym człowiekiem. Pod kamiennym ogrodzeniem stało kilku wojowników, chichocząc z tego, co zaszło.

Gdy jednak przyjezdny odłożył siekierkę i zdjął z siebie wielki brązowy płaszcz, stało się jasne, że to nie jakiś zwykły podróżny przybył do dworu. Ciemnozielona kurtka była pięknie uszyta i lamowana futrem, a ręce miał ozdobione srebrnymi pierścieniami.

— Witamy we dworze! — wołał jarl, pozdrawiając uprzejmie. — Jak droga przez góry?

— Uff! Zawierucha i grad wielkości ptasich jaj zostawiły mi na pamiątkę dziury w płaszczu, a na głowie bolesne guzy, ale poza tym było jak trzeba i oto jestem.

— I zapewne masz ochotę na odrobinę jadła — rzekł jarl.

— Jedzenie to najlepsza rzecz, jaką możesz dać głodnemu — odparł przybysz i poklepał się po brzuchu.

— Pani gospodyni — zawołał jarl. — Postaw na stół, co masz najlepszego! Rzeźbiarz przyjechał!

Edda po raz drugi upuściła dzieżę z chlebem. Teraz go poznała. To był Torarin Treskjaerer. Torarin Rzeźbiarz.

Sigurd także widział przyjazd rzeźbiarza. Był na brzegu u szkutników i przyglądał się, jak ścinali i korowali wielką sosnę, która miała służyć za maszt na nowym okręcie ojca. Na widok tamtego dziwaka, wskoczył na grzbiet Faksego i pogalopował przez las.

Torarin uniósł krzaczaste brwi i przyglądał się chłopcu, gdy ten wpadł jak wicher do halli.

— A któż to taki, ten młodzian?

Syn jarla oddychał szybko i zarumienił się z radości, że tak od razu rzeźbiarz zwrócił na niego uwagę.

— Noszę imię bohatera, który zabił smoka w Gnitahei — powiedział dumnie.

— A zatem masz na imię Sigurd — powiedział rzeźbiarz. — A baśń, o której mówisz, powinienem znać lepiej niż inni. Bo najbardziej lubię rzeźbić w drewnie smoki. Smoki z płonącymi oczyma i rozwartymi paszczami. Smoki o ciałach wijących się na wzór węży, wyginających się w posuwistym tańcu.

Rzeźbiarz wykrzywił się, naśladując straszego smoka. Wytrzeszczył oczy, ze skórek chleba zrobił sobie dwa jadowite zębiska i rozdziawił usta dysząc na całą izbę. Sigurd zaśmiewał się, ale jarl wymienił z żoną porozumiewawcze spojrzenia i nie ulegało wątpliwości, że nie pochwalają tej zabawy. Mieli poważniejsze sprawy do omówienia z rzeźbiarzem.

— A co myślisz o wyglądzie tej halli w moim dworze? — zapytał jarl.

Gdy rzeźbiarz już otwierał usta, by odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i weszły dwie młode niewolnice niosąc świeżo pieczone mięso i misę gorącego rosołu.

— Bardzo ładna — pochwalił rzeźbiarz, rzucając przeciągłe spojrzenie w stronę pachnącego jedzenia. — To znaczy... chciałem powiedzieć... — Rozejrzał się wokół, z uwagą przyglądał się ciemnym kątom. — Brak jej tego, co by ją czyniło miejscem godnym høvdinga.

Jarl ściągnął brwi.

— Wyjaśnij, co masz na myśli.

Rzeźbiarz przełknął ślinę, bo taca z jedzeniem stała tuż przy jego brodzie; chrapy rozdymały się jak u konia. Mimo to oderwał wzrok od mięsa i rzekł:

— Pięknie rzeźbione, wysokie krzesło na honorowym miejscu dla ciebie, panie, oto, czego tu brak. Pięknego krzesła, które by było godne jarla.

Gospodarz z uśmiechem uniósł róg.

— To właśnie będzie twoim zadaniem, rzeźbiarzu, gdy okręt będzie już gotów. Jeśli zrobisz mi takie krzesło na honorowe miejsce, możesz żądać zapłaty, jakiej tylko chcesz. Posilaj się teraz.

— Dwór jarla to nie najgorsze miejsce pracy dla rzemieślnika — powiedział łykając ślinę rzeźbiarz i chwycił oburącz ogromny kawał mięsa.

Następnego ranka, przełknąwszy parę kęsów żytniego chleba i miseczkę kwaśnego mleka, Sigurd pobiegł do budynku, w którym zamieszkał Torarin, i zajrzał przez drzwi.

— To ty, chłopcze? — zapytał rzeźbiarz, uśmiechając się znad kędzierzawej brody.

Sigurd pozdrowił go.

— Mogę wejść?

— Moje drzwi — odparł Torarin — są zawsze otwarte dla takiego wspaniałego chłopca jak ty. Ale w nocy uważam, bo wczoraj wieczorem coś tak szeleściło i szurało w krzakach, jakby się skradało jakieś dzikie zwierzę.

Rzeźbiarz wpuścił Sigurda do izby i wrócił do swojej pracy. W jednym kącie leżał stos ciężkich, dębowych bierwion, a podłoga zasłana była wiórkami. Torarin opierał na swoim grubym brzuchu kawałek drewna i rzeźbił w nim piękne, wijące się i splatające ze sobą linie.

Sigurd długo siedział i studiował każdy jego ruch. W końcu nabrał odwagi i zapytał:

— Jak ci się to udaje, że nie poobcinałeś sobie wszystkich palców?

Torarin westchnął.

— Jeśli dokładnie przyjrzesz się moim rękóm, to zobaczysz, że całe pokryte są bliznami. Byłem jeszcze młodym chłopcem, gdy zacząłem wycinać w drewnie. Początkowo krew lała się ze mnie bardziej niż z wojownika w walce, ale zaciskałem zęby i pracowałem dalej, dopóki palce nie nabrały giętkości. — Odłożył robotę i wyciągnął rękę. — Daj nóż, pokażę ci jak go trzymać. — Sigurd podał mu swój srebrny nóż. — O, to jest niezwykle piękne narzędzie — powiedział Torarin i przeciągnął palcem po ostrzu.

— Ojciec zabił człowieka, który był jego właścicielem — wyjaśnił Sigurd z dumą.

— Noża powinno się używać do cięcia w drewnie, a nie w ludzkim mięsie — odparł Torarin i zmarszczył brwi.

— Ty się nigdy nie wyprawiałeś na wiking, Torarin?

— Owszem. Jeden, jedyny raz. — Torarin śmiał się. — Ale nie nadawałem się do tej roboty. Kiedy inni biegali wkoło i rozłupywali ludziom czaszki, ja chodziłem sobie po opuszczonych zagrodach w poszukiwaniu motywów, które mógłbym wyrzeźbić w drewnie. Jak więc sam rozumiesz, wielki wiking to nigdy ze mnie nie był.

Torarin wyciągnął przed siebie oheblowany kawałek drewna.

— Co byś chciał z tego zrobić, chłopcze? Może okręciak? Albo drewniany miecz?

— Smoka — odparł Sigurd. — Takiego obrzydliwego, straszego smoka, o jakim opowiadałeś wczoraj w halli. Smoka z sagi o Sigurdzie!

— Ho, ho! — roześmiał się Torarin. — Jak widzę, postanowiłeś zostać prawdziwym rzeźbiarzem. Tylko mistrz wie, jak poradzić sobie ze smokiem.

Sigurd przyglądał się pilnie, jak Torarin wycina wygięte cielsko.

— Gdy trzymam w rękach kawałek drewna, czuję w sobie taką siłę, że mógłbym ujarzmić wszystkie złe duchy — powiedział Torarin ze śmiechem. — Mogę sobie z nich drwić. Wyśmiewać się z nich. Wiem, że jestem górą.

Sigurd spoglądał na niego szeroko rozwartymi oczami. Rzeźbiarz uniósł w górę na wpół obrobiony kawałek drewna, coś tam jeszcze poprawił i podał Sigurdowi.

— Weź. Resztę możesz już zrobić sam.

— Myślisz, że potrafię?

— Oczywiście! A czyż ty także nie masz dwóch sprawnych rąk? Siadaj tam na ławce, to obaj będziemy mogli pracować w spokoju.

Zadowolony Sigurd pogwizdywał cichutko i rzeźbił przygotowany kawałek drewna. Tym razem nie wolno mu było skaleczyć palca. Powinien wyrzeźbić smoka tak strasznego i pełnego życia, jakby przybył wprost z baśni.

— Patrzcie tylko — będą mówić ludzie, gdy pojedzie z ojcem na ting. — Patrzcie, tam jedzie najmłodszy syn jarla. Ten, który rzeźbi w drewnie. Nikt nie spotkał równego mu ani na wschodzie, ani na zachodzie...

Nagle usłyszał wołanie:

— Sigurd, Sigurd!

Rzucił się do otworu okiennego i wyjrzał na zewnątrz. Ku swemu wielkiemu przerażeniu zobaczył, że Orm Viking i Bjørn biegną od strony wzgórz.

— Wróg depcze mi po piętach — jęknął Sigurd i zamknął oczy. — Co najmniej dwa tysiące ludzi, z ociekającymi krwią toporami i mieczami!

— Na Odyna! — Rzeźbiarz starał się nadać swojej twarzy poważny wygląd. Przeczesał brodę. — Skoro tak, to nie widzę innej rady, jak tylko schować cię w mojej skrzyni na narzędzia.

Otworzył wieko i Sigurd wsunął się do środka. Zaraz potem obaj wikingowie wpadli do izby.

— Kim jesteście? — zapytał Torarin, przyglądając im się spod oka.

— Nie udawaj głupiego — krzyknął Orm. — Widziałeś Sigurda?

— Tak, oczywiście, że widziałem Sigurda. To przecież syn Jarla, czyż nie? Ten mały, jasnowłosey?

— Gdzie on jest? — wrzeszczał Bjørn. — Powinien iść z nami na plac i ćwiczyć.

— Skąd mam wiedzieć, gdzie skaczą zające w taki piękny dzień jak dziś? — zapytał Torarin i dalej rzeźbił w kawałku drewna, rozsiadłszy się wygodnie na skrzyni. — Wy dwaj natomiast moglibyście przeznaczyć trochę czasu na naukę obyczajnego zachowania. To niezbyt ładnie tak wpadać z krzykiem i przeszkadzać spokojnemu człowiekowi w pracy.

— Widzieliśmy, że Sigurd biegał tu koło twojego domu! — Orm warczał jak wilk. Chwycił topór i zaczął rozrzucać stos dębowych klocków, a strumień przekleństw nieprzerwanie toczył się z jego ust.

Wtedy rzeźbiarz podniósł się całą swoją olbrzymią postacią zasłaniając przejście wojownikom.

— Skoro tak, to zaraz idę do halli powiedzieć jarlowi, żeby sobie szukał kogo innego na moje miejsce. Tu człowiek nie może się czuć bezpiecznie od napadów wikingów i innej hołoty!

Orm opuścił topór i obaj wojownicy, położywszy uszy po sobie, zniknęli w drzwiach. Torarin zamknął je na skobel i pospieszył otwierać skrzynię.

— Udało nam się pięknie — chichotał. — Zwyciężyliśmy ponad dwa tysiące wojowników!

Sigurd łapał powietrze.

— Obiecay mi — dyszał gramoląc się ze skrzyni — że następnym razem także mnie ukryjesz.

Torarin śmiał się.

— Możesz na to zawsze liczyć.

Sigurd biegł przez dziedziniec, niosąc pod kurtką wyrzeźbionego przez siebie smoka. Cieszył się, że pokaże go matce.

Nieoczekiwanie ujrzał jakąś postać, zbliżającą się do domu Torarina. To musiała być Edda. Chłopiec zawrócił i wolno poszedł za nią.

Przez dłuższy czas stała, ukryta za krzewami, ale w końcu zebrała się na odwagę i ruszyła ku domowi. Nagle potknęła się na wystającym korzeniu. Drzwi gwałtownie się otworzyły i stanął w nich Torarin z dzidą w ręce. Gdy zobaczył, co się stało, pomógł jej wstać i

poprowadził do wejścia.

— Na Freję, to ty? — zawołał ze śmiechem. — Okropnie mnie przestraszyłaś. Myślałem, że to się skrada jakiś dziki zwierz. Albo, co gorsza, ci przekłęci drużynnicy jarla!

— Czy ty mnie poznajesz? — szepnęła Edda.

— Oczywiście, że poznaję. — Torarin chrząknął. — Zastanawiam się tylko, jak smakował jarlowi ten chleb utyłany w końskim nawozie.

Edda roześmiała się, ale zaraz znowu spoważniała.

— Mojej twarzy oczywiście nie pamiętasz, Torarinie Treskjaerer. Było tak ciemno tamtej nocy przed dwunastu laty, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, ale może pamiętasz zawiniątko, które wtedy niosłam na rękach i które wzięłaś ode mnie, nim ruszyłeś w dalszą drogę...

— Na Freję, po raz wtóry — powiedział Torarin, przyglądając się jej twarzy. — Czy to rzeczywiście ciebie wtedy spotkałem?

Pociągnął ją za sobą i zarygłował drzwi.

Ale Sigurd zakradł się jak cień pod ścianę. Wdrapał się na wystającą belkę i przyłożył ucho do szpary przy otworze okiennym.

— Co się stało z moją córeczką? — pytała Edda. — Żyje?

Wewnątrz było cicho jak makiem zasiał i minęło trochę czasu, nim Torarin odpowiedział:

— Niech no sobie najpierw przypomnę, co się stało tamtej nocy. Pamiętam, że zmyliłem drogę i jechałem przez las. Nagle, w świetle księżyca, ujrzałem przed sobą kobietę, z dzieckiem w ramionach.

— Tą kobietą byłam ja — powiedziała Edda.

Sigurd wbił paznokcie w drewno. Coś drżało w nim, serce biło mocno. A więc to z tym nosiła się Edda przez te wszystkie lata! To była ta tajemnica, której nikomu nie chciała powierzyć!

Wyteżył słuch jak tylko mógł, żeby usłyszeć wszystko, co mówiła, wolno i niepewnie.

— Bałam się strasznie, gdy nagle jeździec na koniu ukazał się wśród sosen. Zdawało mi się, że to przybywa sam bóg śmierci. Chodziłam całą noc, płacząc z rozpacz. Dziecko tuliło się do mnie, jakby prosiło, by pozwolić mu żyć. Na szyi maleństwa zawiesiłam krzyżyk, żeby chronił je przed niebezpieczeństwem. A pośrodku krzyża wryłam gwiazdkę, w nadziei, że ją kiedyś rozpoznam.

Torarin śmiał się cicho.

— Kiedy ci powiedziałem, jak się nazywam, zrozumiałaś, że jestem tylko nocnym jeźdźcem, który zgubił drogę. Pokazałaś mi, jak powinienem jechać dalej, ja podziękowałem i chciałem ruszać. Ale ty poprosiłaś, żebym przez chwilę potrzymał dziecko. I nagle, całkiem nieoczekiwanie, zniknęłaś.

— Biegłam przez las jak oślepią łania, nie oglądając się za siebie — łkała Edda.

W domku znowu zapadła cisza. Sigurd słyszał coś jakby szloch i zastanawiał się, czy to Edda płacze. Nigdy nie widział, żeby płakała.

W końcu Torarin powiedział:

— Gdy potem jechałem dalej przez las, myślałem, że może rzeczywiście byłoby najlepiej położyć to maleństwo gdzieś pod sosną. Rozumiałem przecież, że trzymam w ramionach dziecko niewolnicy. Może to właśnie lepiej, że te dzieci wynosi się do lasu, skoro czeka je takie okrutne i pełne cierpienia życie. Ale boginie losu chciały widać inaczej. Noc była zimna i przytulałem dziecko mocno do siebie.

Sigurd wstrzymał oddech. Nie miał odwagi nawet drgnąć w obawie, że zostanie odkryty.

— Gdy dotarłem do wsi — ciągnął Torarin — był już ranek. Spotkałem kilku krewniaków i pojechaliśmy razem. Pytali, dlaczego mam wolną tylko jedną rękę. Odparłem, że druga

jest skaleczona. Widocznie sam Odyn ubawił się tym kłamstwem, bo nie minęła chwila, a spod opończy zaczął się wydobywać donośny płacz, i moi towarzysze jęli sobie żartować, jaką to niezwykłą mam rękę, która sama potrafi powiedzieć, jak bardzo ją boli skaleczenie. Ściągnęli ze mnie okrycie i wtedy wszyscy mogli zobaczyć noworodka, który krzyczał z głodu.

Edda zapytała cicho:

— I co się stało?

— Stało się coś niezwykłego, bo jeden z moich towarzyszy powiedział, że jedzie właśnie do pewnej starej, bezdzietnej wdowy.

— Niech będzie Maria błogosławiona — szepnęła Edda. — To znaczy, że moja córka żyje!

— Ów człowiek wziął maleństwo ze sobą — odparł Torarin. — I to jest wszystko, co w tej sprawie wiem. Nigdy potem nie byłem w tamtych stronach.

Sigurd zeskoczył na ziemię. Serce mu łomotało. Dziwne myśli kłębiły się w głowie. Myśli, nad którymi nie panował. Nie chciał nic słyszeć o córce Eddy. Pragnął najszczerzej, aby już nigdy jej nie odnalazła.

Przywarł do ściany, gdy drzwi się otworzyły i Edda wymknęła się w mrok.

— Niewolnica musi się mieć na bacności — szepnęła. — Gdyby tak ktoś mnie tutaj spotkał...

— Nikt cię nie spotka — powiedział Torarin ze śmiechem. — Zawsze mam tu świetną kryjówkę, w dużej skrzyni na narzędzia. Sam syn jarla poddał mi ten pomysł.

Po deszczowej, nieurodzajnej jesieni nadeszła zima. W górach śnieg sypał ostrymi lodowatymi igłami, śnieżyce przewalały się nad ziemią. Było tak, jakby dolina zamarała w lodowatym oddechu jakiegoś potężnego boga. W halli dzień i noc płonęły trzy długie paleniska, a i tak nie udawało się powstrzymać zimna.

— Każ niewolnikom przygotować więcej opału — powiedziała gospodyni.

Edda wstała i ruszyła ku drzwiom, ale w progu odwróciła się. Mówiła niskim, drżącym głosem:

— Niewolnicy od kilku dni nie jedli, pani. Są osłabieni i chyba nie przetrzymają zimy. Proszą o jakieś ciepłe ubrania. I o coś do jedzenia.

Żona jarla z wściekłością uderzyła ją w twarz, by zmusić do milczenia.

— Nam się też nie przelewa — wrzasnęła. — Nie jemy nic innego tylko kaszę, rano i wieczorem. Niedługo stanie się chyba tak, że państwo zaczną żebrać, a niewolnicy żyć będą jak jarlowie.

Edda pochyliła się i wyszła na mróz.

Nocą wyły wilki i jak szare cienie przemykały pod sosnami. Na drogach pojawili się żebracy, a wszyscy zmierzali do dworu jarla. W połataney odzieży przebiegali między zabudowaniami i rozgorączkowanymi oczami wpatrywali się w drzwi, za którymi niewolnice gotowały jedzenie. Nic nie było w stanie odstraszyć głodnych dzieci żebraków. Ani ostre słowa gospodyni, ani kopniaki i razy drużynników jarla. Ani nawet warczące i ujadające psy. Pewnego dnia, gdy mróz był trzaskający, jarl otworzył drzwi i wpuścił do halli drżącą, przemarzniętą postać. Była to Ravnejenta. Siadła na pieńku, w najdalszym kącie, w wielkiej chustce otulającej ramiona, z odmrożonymi nogami. Ale spojrzenie, jakie jej posłała żona jarla, było zimniejsze niż lodowaty wiatr na dworze.

W miesiąc po zimowej obiacie żona jarla urodziła córkę. Było to duże, zdrowe dziecko i jedna ze służących przyniosła je nagie do halli. Ojciec uniósł noworodka w górę i nadał mu imię. Ale nie uśmiechał się.

— Powinien był mi się urodzić syn — powiedział. — A najlepiej dwóch synów. Jarl,

który ma tylko jednego syna, nie zazna bezpieczeństwa w swoim dworze.

— Jakby jarl nie miał dość synów — powiedziała jego żona, gdy to usłyszała. — Myśli tylko, jak zabrać ich ze sobą na wiking. Trzech już poległo w walkach, a to maleństwo zostanie przynajmniej ze mną.

Poleciała niewolnikom przygotować co trzeba na przyjęcie gości.

Wkrótce też zaczęły przychodzić gospodynie z bogatych dworów i zagród w okolicy, a wszystkie przynosiły drogie podarunki dla maleństwa.

— Wybrałam już dla niej mamkę — mówiła do nich żona jarla, wskazując niewolnicę o bujnych, jasnych włosach. — To jest Una, narzeczona niewolnika Digraldego. Dopiero co urodziła dziewczynkę, ale małych niewolnic jest we dworze dość i jarl rozkazał wynieść dziecko do lasu. Zamiast niego Una będzie karmić naszą córeczkę. A teraz możecie przyprowadzić tę małą irlandzką niewolnicę — powiedziała. Posłano do domu niewolników i wkrótce potem w drzwiach stanęła Tir.

— No, co o niej myślicie? — pytała żona jarla sąsiadek.

— Nie wygląda na to, że ma jakiś feler, jeśli nie zwracać uwagi na te krzywe nogi — roześmiała się jedna z przybyłych. — Ale gdyby się miała do czego nadać przy dziecku, to trzeba by jej najpierw wytępić wszy we włosach i zmyć z nóg owczy nawóz.

Sigurd z zainteresowaniem przyglądał się Tir. Spotkał ją tylko raz od czasu, gdy przybyła do Norwegii. Pewnego dnia jechał konno przez las, gdy wybiegła mu naprzeciw i zaczęła go prosić i molestować, żeby jej pomógł dostać się na statek, którym by mogła wrócić do Irlandii. Ale on wtedy zawrócił konia i odjechał jak mógł najszybciej...

Teraz widział, że dziewczynka się zmieniła. Wyniszczyła ją ta ciężka zima. Zrobiła się chuda i kanciasta, a oczy nie były już takie uparte jak przedtem. Rozglądała się onieśmielona i przestraszona po izbie, przyglądała się tym wszystkim obcym kobietom, siedzącym na ławach wokół paleniska.

— Marzysz pewnie wciąż o powrocie do ojczyzny, jak to czynią wszyscy niewolnicy? — zapytała żona jarla.

Oczy Tir rozbłysły.

— Ale spotyka cię znacznie lepszy los — ciągnęła gospodyni, uśmiechając się cierpko. — Gdy nadejdzie lato, będziesz się mogła przeprowadzić tutaj, do halli samego jarla!

Odprawiła dziewczynkę i powiedziała, zwracając się do kobiet:

— Za pół roku moja mała córeczka będzie miała pierwszy ząb. Obyczaj każe dać maleństwu w tym dniu jakiś podarunek. Umyśliłam podarować mojej córce tę niewolnicę.

— Niegłupi pomysł — odparły. — Przecież mała i tak będzie potrzebować zręcznej niewolnicy.

Gdy kobiety opuściły już dwór, matka podeszła do Sigurda.

— Tylko ty jeden nie powiedziałeś ani słowa na temat małej siostrzyczki...

— Wygląda jak stara, bezzębna niewolnica — wyznał szczerze, patrząc na wrzeszczące zawiniątko, które służąca trzymała na rękach. Ale gdy zobaczył twarz matki, dodał: — Ma, zdaje się, nie najgorsze uszy.

Myślał o czymś całkiem innym. Tego właśnie dnia stary Håvard powiedział mu, że w lecie jedna z klaczy będzie miała źrebię. — I właśnie nie wiadomo — szeptał mu Håvard do ucha — czy to nie Fakse jest ojcem.

Sigurd raz jeszcze popatrzył na swoją nowo narodzoną siostrę. Źrebięta są dużo sympatyczniejsze niż takie wrzeszczące bachory, pomyślał i zatkał sobie uszy.

Powoli nadchodziła wiosna. Chłopi wychodzili na pola i siali ziarno w mokrą glebę. Przeważnie mieli małe gospodarstwa i musieli przez cały rok bardzo ciężko pracować. W lecie uprawiali ziemię, zajmowali się myślistwem, wytapiali żelazo w górach, a zimą musieli dobrze pilnować siewnego ziarna, żeby przetrwało do następnej wiosny.

Wielu z nich marzyło o bogactwie i dużych zagrodach. Toteż często troskę o ziemię i dobytek zostawiali żonie i dzieciom, a sami wyruszali z jarlem na wiking.

W dniu gdy okręty miały wypłynąć, wielki tłum ludzi podążył w dół, nad zatokę, by życzyć synom i krewniakom szczęścia, powodzenia i zwycięstwa w walkach. W powietrzu unosił się zapach smoły, a Straszna Góra była błękitna i tak piękna, że ponura nazwa zupełnie dziś do niej nie pasowała.

Jak szum w koronach drzew niosły się słowa zachwytu od krańca do krańca tłumu zebranego nad zatoką: — Patrzcie na okręt! Patrzcie na „Smoka”! — W końcu brzmiało to jak jeden chóralny okrzyk podziwu: — Patrzcie na okręt jarla!

A on stał w wodzie jak piękny, ciemny ptak i przeglądał się w lśniącym fiordzie. Niezwykłe, powyginane zwierzęce kształty oplatały stewy: węże i smoki w morderczej walce. Mistrzem był ten, kto to wyrzeźbił! Torarin Treskjaerer stał dumny i uśmiechnięty wśród rozentuzjasmowanego tłumu. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z brzuchem wypiętym do przodu. Sigurd rzadko widywał ojca tak radosnego. Surowa zwykle twarz dzisiaj jaśniała, a oczy lśniły, błękitnozielone i dumne. Na brzegu stali chłopci, machając rękami, a z fiordów i zatok przybywali ludzie w małych łodziach. Oni także życzyli zwycięstw i pozdrawiali wikingów unosząc w górę wiosła.

— Gdy stoję na mostku długiego okrętu i czuję na twarzy bryzgi morskiej wody, mam niepowtarzalne poczucie wolności. W przyszłym roku pojedziesz ze mną, synu. Ćwicz się pilnie we władaniu bronią, kiedy mnie nie będzie.

Ostatni wszedł na pokład Digralde. Miał na sobie gruby kaftan ze skóry byka i trzymał oburącz ciężki topór o szerokim ostrzu.

— Zabierają niewolnika? — zastanawiał się głośno jakiś chłop. — A co będzie, jak przyjdzie mu ochota zemścić się za wszystkie lata spędzone w niewoli? Prawo nasze powiada, że niewolnik nigdy nie powinien nosić broni.

— Ze strony Digraldego jarl nie ma się czego obawiać — odparł ktoś. — Powiadają, że ten olbrzym jest do szaleństwa zakochany w jednej niewolnicy i myśli tylko o tym, by do niej wrócić. A jarl obiecał, że jeśli Digralde na tej wyprawie zdobędzie bogaty łup, to przedstawi jego sprawę na tingu i ogłosi go człowiekiem wolnym wobec wszystkich i każdego z osobna.

— Zmysły postradają ze strachu ci ludzie tam na zachodzie, gdy zobaczą tego berserka, jak naciera z toporem nad głową — śmiali się chłopci.

W przyszłym roku, myślał Sigurd. Patrzył na okręty żeglujące przez fiord ku morzu. Dawniej czekał na ten czas, gdy będzie dorosły i także popłynie w świat, zostanie wielkim wikingiem! Ale teraz wszystko się zmieniło. Widział kruki krążące wysoko i zastanawiał się czy to znowu zły znak, jak w tamtym roku, gdy jego bracia wyruszyli na wyprawę. Daleko na cyplu stała Ravnejenta. Wiatr szarpał jej ubraniem. Trzymała się teraz z dala od dworu. Pewnego razu żona jarla skorzystała z okazji i poszczuła ją psami. Wciąż miała na łydce paskudną ranę po tym zdarzeniu.

Odwrócił się i próbował zapomnieć o wikińskiej flocie i o Ravnejencie. Las był taki piękny i przepiękny światłem. Czuł, że piersi rozsadza mu wiosenna radość. Chwycił łuk i strzelił wysoko, wysoko w powietrze. Nagle na ścieżce pojawiła się jakaś postać.

— Mógłbyś mi pożyczyć łuk?

Sigurd, gdy zobaczył, że to Reim, ów irlandzki niewolnik, zastanowił się przez chwilę. Nie zdążył jednak odpowiedzieć, a już rudowłosa chwycił łuk i napiął cięciwę. Nie zdążył też, jak powinien, wymierzyć temu bezczelnemu niewolnikowi solidnego policzka za takie zachowanie, gdy uświadomił sobie, że ten chłopak wspaniale strzela! Grot trafił ptaka, krążącego wysoko ponad koronami drzew. Zamachał jeszcze niebiesko-czarnymi skrzydłami i spadł z łoskotem na ziemię. Niewolnik uśmiechał się zadowolony i pobiegł co tchu podnieść zdobycz.

— Nie powinienem był tego robić — powiedział onieśmielony, gdy wrócił i oddał łuk.

— Ale w domu, w Irlandii, strzelanie z łuku było zajęciem, które lubiłem najbardziej ze wszystkiego...

Sigurd, zaciekawiony, przyglądał się rudowłosemu chłopcu. Jakby nie widział jego polatanej kurtki i brudnych nóg, omotanych w gałgany.

— Chodź ze mną do lasu — powiedział nagle i pobiegł przodem wąską ścieżką. — Pokażę ci taką polankę z dużym dębem pośrodku. Tam możemy zrobić zawody w strzelaniu, jeśli chcesz!

Niewolnik bez słowa podążył za nim. Ziemia między drzewami pokryta była błękitnymi i białymi kwiatami, i młodziutką trawą, pachnącą wiosną.

— Jakie jest twoje prawdziwe imię, niewolniku? — zapytał Sigurd przez ramię.

— Patric. Zostałem nazwany na pamiątkę największego bohatera Irlandii. Najsilniejszego i najodważniejszego ze wszystkich.

— Na pewno nie bardziej odważnego niż Sigurd, po którym ja noszę imię — powiedział syn jarła z przekąsem. — Czy to prawda, że masz jedenaście zim?

Reim skinął głową.

— Prawie dwanaście. Mama mówi, że urodziłem się w tym roku, kiedy w naszej wsi w Irlandii zbudowano klasztor. Dlatego łatwo jest liczyć. A w rok później urodziła się moja siostra. Ona ma na imię Sunniva.

— A twój ojciec także jest niewolnikiem? — Sigurd przystanął, łapiąc oddech.

Oczy chłopca pociemniały.

— Ojciec? O, niech ci się nie zdaje! On jest najlepszym gospodarzem w całej Irlandii! — Zaraz jednak przygryzł wargi i spuścił głowę. — Pewnie już ich nigdy nie zobaczę. Ani mamy, ani ojca i babci Gaelion. Ani nikogo z młodszego rodzeństwa.

Sigurd słuchał w milczeniu. Właściwie nie wiedział, co mógłby na to odpowiedzieć.

— Z małego rodzeństwa nie ma chyba wielkiej pociechy. Ja też mam małą siostrę. Wygląda jak prosię i wrzeszczy tak, że uszy puchną.

— W domu też mi się zdawało, że to są marudne dzieciaki, które się wciąż za mną włączą — powiedział Reim. — Ale teraz już o tym nie pamiętam. Tęsknię do nich przez cały czas. Czasami bawiliśmy się wszyscy w dużym lesie, który zaczynał się tuż za naszym obejściem. Żebyś wiedział, jakie piękne są dębowe lasy w Irlandii! Staczaliśmy tam wielkie bitwy i chowaliśmy się za drzewami. A czasami bawiliśmy się w rozbójników i braliśmy jedni drugich do niewoli — uśmiechnął się niepewnie i pochylił głowę. — Aż dziwnie o tym teraz myśleć...

— Opowiedz coś więcej o Irlandii!

Doszli już do polanki i wczolęli się teraz do dziupli w wypróchniałym pniu dębu.

Sigurd zawsze bardzo lubił słuchać, jak wikingowie opowiadali o wyprawach do dalekich krajów. Nigdy jednak nie słyszał opowiadającego niewolnika. Teraz dowiedział się, jak wikingowie wylądowali u brzegów Irlandii, jak irlandzkie dzieci zostały uprowadzone ze spokojnej, małej wioski, w której mieszkały, jak związano im ręce i nogi i wrzucono na pokład okrętu z głową smoka na dziobie. I dowiedział się, jak płakali i cierpieli, kiedy znaleźli się w tym zimnym kraju na północy.

W końcu jednak Sigurd wstał i podniósł łuk. Matka byłaby niezadowolona, gdyby wiedziała, że zadawał się z niewolnikami i biedotą. Odwrócił się i wskoczył na konia.

— Przyjdź jutro — zawołał za nim Reim. — Po zachodzie słońca!

Od tamtego dnia z Sigurdem coś się stało.

Już wówczas, zaraz po owym spotkaniu, kiedy wracał do domu, miał wrażenie, że chyba nigdy przedtem nie było mu tak radośnie. Serce wykonywało w piersi jakieś dzikie skoki, a wszystko dlatego, że spotkał rudowłosego irlandzkiego chłopca, który był jego rówieśnikiem!

Leniwy tłum koło domu niewolników — zawsze patrzył na nich z niechęcią i obrzydze-

niem. Stanowili własność potężnego jarla i byli tu po to, by pracować dla jarla i jego rodu. Dwa razy dziennie dostawali do jedzenia wodnistą kaszę, a ich ubrania były podarte i połatane. Żyli tylko po to, by pracować dla pana.

I teraz wszystko się odmieniło dlatego, że spotkał Reima. Chłopca o bystrych oczach, które, gdy się śmiał, robiły się wąskie jak szparki. Z nogami pokąsanymi przez komary i piegami na nosie, podobnie jak Sigurd. Lekkonogiego chłopca, który lubił biegać po lesie i strzelać z łuku. Sigurd wiedział, że gdyby Reim był synem høvdinga, byłiby najlepszymi przyjaciółmi. Ale przychodziła mu do głowy także inna myśl i wtedy przenikał go zimny dreszcz: A gdyby to tak on został uprowadzony z dworu jarla i jako niewolnik wywieziony do obcego kraju... Gdyby to on, Sigurd, syn jarla, musiał tam całymi dniami ciężko pracować w polu...

Oburącz chwycił srebrny medalion, który nosił na szyi. Odyn chroni synów jarla, szeptał sam do siebie. Odyn będzie ze mną, gdziekolwiek bym się znajdował. Bogowie chcą, żeby istniała różnica między høvdingiem a niewolnikiem.

Następnego dnia pod wieczór Sigurd cicho zagwizdał koło domu niewolników. Po chwili drobna, szczupła postać wymknęła się na dwór.

Poczuł się onieśmielony, gdy nagle na skraju lasu stanął przed nim ten chłopiec. Tyle chciał mu powiedzieć, a teraz wykrztusił tylko:

— No i czym się zajmowałeś przez cały dzień, niewolniku?

Reim rysował coś stopą na piasku.

— Przecież wiesz — odparł niechętnie. — Czyściłem chlewy dla świń, nosiłem wodę i przekopywałem nagnojona ziemię. I plotłem liny z wielorybiej skóry.

Stał mały i zgarbiony w tych swoich szarych gałganach. Jakby wrósł w ziemię. Sigurd spojrzał na jego palce. Były pokaleczone i zgrubiałe. W jednym miejscu widniała duża rana.

— Masz tu trochę chleba — szepnął. — I kawałek baraniny. Tylko uważaj, żeby cie Orm nie zobaczył.

Mógł spotykać Reima jedynie w najgłębszej tajemnicy przed wszystkimi. Gdy dzień miał się ku końcowi, wymykali się do lasu i strzelali z łuku, póki coraz niżej świecące słońce dawało jeszcze trochę światła. A gdy zapadały ciemności, chowali się w dziupli dębu, siedzieli ramię przy ramieniu i opowiadali sobie różne historie i słuchali szumu wiatru.

— We dworze urodziło się źrebię — opowiadał Sigurd. — Z białą grzywą! Będzie się nazywać Grane. Będzie nosić błyszczącą uprzęż i siodło, i pozłacane strzemiona. Mama mówi, że to będzie tylko mój koń!

— A ja dostałem za ledwie nową drewnianą łyżkę — westchnął Reim. — Stary Klegge z domu niewolników mi ją zrobił. Schowałem ją za występ w ścianie, przy moim posłaniu. Starą zламаłem, kiedy się z jednym chłopakiem pobiliśmy o resztę kaszy.

Od czasu do czasu długo razem się śmiali i było im wesoło. Jak wtedy, gdy Sigurd opowiadał o drużynnikach ojca, którzy najedli się niedojrzałych jagód i musieli potem ściągać z siebie bojowy rynsztunek tak szybko, jakby ich Illugowie gonili. Albo gdy Reim opowiadał o zabawnym mnichu u nich w Irlandii, który tak bardzo lubił śliwkowe wino, że mógłby ze swoim kubkiem siedzieć przez całe lato pod drzewem czekając, aż śliwki dojrzeją.

Ale rozmawiali także o poważnych sprawach. Sigurd nie odważył się nigdy nikomu powiedzieć, że się boi. Nikomu prócz Eddy. Ale wtedy był jeszcze bardzo mały.

A Reimowi mógł to powiedzieć, kiedy siedzieli tak blisko siebie.

— Nie chcę jeździć na wikińskie wyprawy. Ale będę musiał. W przyszłym roku będę musiał jechać, a boję się.

Niewolnik popatrzył na niego, ale nie powiedział nic. Nikt nie rozumiał tego lepiej niż on, który został uprowadzony na okręt przypominający smoka, czuł zapach spalenizny świdrujący w nosie, słyszał rozzierające krzyki przerażenia i widział ludzi uciekających w

dzikim popłochu. Nikt nie rozumiał tego lepiej niż Reim.

— Gdybyś nie był synem jarla — zapytał kiedyś — to czym chciałbyś się zajmować?

Sigurd uśmiechnął się. Było nie do pomyślenia, żeby on nie był synem jarla, skoro bogowie tak postanowili. Ale mimo to odpowiedział:

— Chciałbym rzeźbić w drewnie dla krewnych i bogatych panów. Jeździć od dworu do dworu i proponować nóż i dwoje rąk, jak mawia Torarin. Prawie co dzień do niego chodzę. Bo jak tylko Orm Viking złapie mnie w swoje szpony, muszę iść na plac i ćwiczyć. Ale ja wolę rzeźbić w drewnie.

Sigurd wyjął spod kurtki i podał mu z dumą małą, drewnianą figurkę.

— Smok! — zawołał Reim.

Był jak żywy i postawiony na ziemi wyglądał strasznie. Miał zawinięty ogon, uniesioną wysoko i rozwartą paszczę, a pomiędzy ostrych kłów buchał ogień.

Reim podniósł go i z podziwem oglądał powyginane cielsko.

— Gdy byłem mały, wierzyłem, że taki smok żyje gdzieś we wnętrzu Strasznej Góry — powiedział Sigurd ze śmiechem.

— A może tak jest naprawdę? — zastanowił się Reim, spoglądając na niego poważnie.

— Taki smok może mieszkać gdzieś w pobliżu siedziby jarla.

Sigurd nie odpowiedział. Ale oczy mu pociemniały i poczuł, jakby mu zimny wiatr owionął twarz.

— Ojciec mówi, że muszę być odważny — rzekł w końcu. — Że muszę zabić smoka, by zdobyć złoto i kosztowności. Dziwne, że Edda mówi to samo. Tylko, że ona mówi to inaczej. Zabij smoka, mówi, wtedy będziesz wolny.

Reim przytakiwał, ale nie odzywał się. Sigurd spoglądał ukradkiem na szczupłą twarz pod ognistorudą grzywą. Lubił tego niewolnika bardziej niż któregoś z synów drużynników ojca. Lubił Reima chyba najbardziej ze wszystkich ludzi, jakich znał.

Matka zauważyła jednak, że nie wszystko jest jak należy.

Zabrząca wielki pęk kluczy. Ciężka wełniana bluza przeleciała nad podłogą i wylądowała tuż przy jego łóżku.

— Byłeś dzisiaj w domu niewolników!

Sigurd naciągnął okrycie ze skór na głowę i udawał, że nie słyszy.

— Czyż nie zakazaliśmy ci tam chodzić? — Głos był ostry jak miecz.

— Byłem tylko w dole, nad zatoką — wyjąkał.

— Bawiłeś się tam z kimś...

— Dlaczego zaraz z kimś...

— Nie wolno ci tam chodzić. Nie wolno, powiadam!

Przytakiwał powoli i nasłuchiwał brzęku kluczy, gdy matka wychodziła z izby.

Jutro poproszę, żeby matka posłała po któregoś z synów høvdingów w okolicy, myślał. Będziemy się ścigać konno i walczyć na miecze.

Wkrótce zaczął jednak znowu wypatrywać Reima. Z wierzchołka dębu widział pola, gdzie niewolnicy spulchniali gliniastą ziemię, i przyglądał się zabudowaniom gospodarczym, w których mali niewolnicy doglądali owiec i świń, czyścili chlewy. Gdy udało mu się zobaczyć choćby plecy Reima w szarym ubraniu, czuł w sobie dobre, radosne ciepło. Musiał uważać, czy w pobliżu nie ma Orma Vikinga. Ten miał oczy jak jastrząb i lubił znęcać się nad biedakami nie pilnującymi roboty. Minęło wiele dni, nim Sigurd znalazł możliwość ponownego spotkania Reima. Pewnego dnia, gdy Orm Viking wyjechał do któregoś z dworów na północy, przycisnął się pod kamiennym ogrodzeniem i zaczął cichutko pogwizdywać w stronę niskiego domu na skraju mokradła. Za moment zjawił się Reim. Przeskoczył przez kamienie i lekko wylądował z drugiej strony.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Chodź ze mną — odparł tamten i ruszył ku zabudowaniom gospodarczym po drugiej stronie dworu. — Ludzie ojca złapali małego niedźwiadka!

— Żywego niedźwiadka?

Przemknęli przez olszynowe zarośla. Niedaleko budynku, w którym jarl przechowywał swoje kosztowności, stała duża klatka. A wewnątrz kosmate zwierzę chodziło bezustannie tam i z powrotem, podzwaniając łańcuchem.

— To musi być jeden z tych, których ślady stara Kumba widziała w okolicach Strasznej Góry — powiedział Reim.

Sigurd przytaknął.

— Jeszcze nie udało się trafić na trop dużego niedźwiedzia, który dusi owce. W tamtym miesiącu znaleziono w górach pięć rozszarpanych owiec. Mężczyźni trzymają broń w pogotowiu. Nie spoczna, póki go nie dostaną.

Siedzieli bez ruchu w zaroślach i przyglądali się potężnemu zwierzęciu. Brązowe futro lśniło w słońcu. Zwierz warczał i szarpał kraty, a w dzikiej paszczy połyskiwały białozółte kły.

— Takie niedźwiedzie można oswajać jak psy — powiedział Sigurd. — Ojciec na pewno zabierze go ze sobą na okręt i sprzeda w południowych krajach. Za takiego pięknego zwierza można dostać dużo srebra.

— On jest niewolnikiem — powiedział Reim cicho. — Zobacz, jak rwie i szarpie klatkę. Chce wrócić do swoich w górach...

Sigurd nie słyszał ostatnich słów. Zerwał się i zaczął ściągać z siebie ubranie.

— Co ci jest? Zachowujesz się, jakby ci wielki niedźwiedź deptał po piętach! — Reim śmiał się.

— Dużo gorzej! — Sigurd jęczał i biegał. Reim musiał go drapać po plecach. Oblazły go gęsto czerwone mrówki, ponieważ usiadł pośrodku mrowiska.

— Na to tylko woda pomaga. Pospiesz się, pobiegniemy do zatoki i wskoczmy do wody!

Reim wahał się.

— Muszę wracać do moich owiec...

Ale Sigurd pociągnął go za sobą.

— Tylko raz, szybciotko zanurkujemy.

Pobiegli sapiąc. Słońce świeciło między drzewami, oślepiało ostrym blaskiem. Biegąc wzdłuż wysokiego brzegu, chłopcy zrzucili z siebie ubrania, po czym z okropnym wrzaskiem wskoczyli na głębię.

Pływali i wpychali się nawzajem do wody, aż ich ciała pokryły się siną gęsią skórką. Wtedy wyszli na brzeg i ubrali się. Już mieli wracać, gdy na wody zatoki padł jakiś cień. Po chwili zobaczyli płynący bezszelestnie okręt z głową smoka na dziobie. Wyglądało to tak, jakby potworny łeb unosił się ponad sitowiem i rozglądał się dokoła. Za pierwszym okrętem ukazał się drugi, a potem jeszcze jeden. Stały widocznie ukryte za wysokim cyplem.

Chłopcy pobiegli ku nadbrzeżnym skałom. Sigurd w lekkich trzewikach z cielecej skóry, Reim boso. Znaleźli miejsce, z którego mogli obserwować okolicę, ale ich nikt nie mógł dostrzec z pokładu. Okręty posuwały się coraz szybciej. Czternaście par wiosł pchało każdy z nich do przodu.

Tarcze lśniły złotem i czernią, a mężczyźni na pokładzie trzymali ostre topory.

— To Illugowie — szepnął Sigurd. — Widzisz tego, co stoi przy dziobie? To Ottar Illuge. On zamordował mojego najstarszego brata. Obok niego stoi Tord, dziedzic rodu. Ojciec chce, żeby nasz ród zabił Torda Illugessona. W ten sposób zemsta by się dopełniła.

— Masz go teraz na odległość strzału — powiedział Reim.

Sigurd wziął łuk i wycelował. Czerwona burka Torda falowała na wietrze. Ale nie mógł spokojnie utrzymać broni, ręce mu drżały i stał tak z wyciągniętym lukiem, dopóki okręty nie

zniknęły za cyplem.

Sigurd nie powiedział Ormowi Vikingowi o tym wydarzeniu. Zawsze się trochę bał tego zaufanego drużynnika ojca. Liczne walki i wikińskie wyprawy zostawiły piętno na jego twarzy, a oczy miał jak twarde, czarne kamienie. Sigurd wiedział, że kiedy Orm szykuje się do walki, prosi starą Kumbę, by poszła do lasu tam, gdzie najciemniej, i nazbierała białych grzybów. Gotowała je potem w kamiennym garnku i Orm sączył przez zęby cierpki napój. Twarz zmieniała mu się natychmiast, oczy rozszerzały się, a na usta występowała piana. On pierwszy chwycił za broń i on wydawał z siebie najdziksze okrzyki.

— Tym razem nie będzie się mówić, że źle pilnuję jarlowego syna — powiedział Orm, gdy szli na plac. Wprost deptał mu po piętach. — Nie zapominaj, że od syna jarla wymaga się więcej niż od innych — mówił. — Trzymaj topór oburącz, chłopcze, i ostrze ustawiaj od siebie. Chyba nie masz zamiaru obciąć sobie nogi!

Sigurd spoglądał na leżącą w oddali łąkę, gdzie wiatr kołysał miękkie źdźbła. Na skłonie wzgórza siedziała Tir z córeczką jarla na rękach. Zbierała poziomki i plotła z mleczów żółte wianki, które wkładała małej na głowę. Reima nigdzie nie było widać. Poszedł pewnie z owcami na hale. Wysoko, pod Straszną Górę.

— Dlaczego się wahasz, synu jarla? Dobywaj miecza i daj mi odczuć, iż żelazo kąsa! — Orm śmiał się cicho. — Jarl powinien nam dać paru niewolników, żebyś się na nich mógł wprawiać. Wtedy nauka szłaby łatwiej.

Sigurda dręczył jakiś niepokój.

— Zagraj mi, Håvardzie — poprosił wieczorem. — Wyjmij swój flet!

Siadł obok Håvarda i wsłuchiwał się w tony rozplywające się w cieplej, granatowej letniej nocy.

Pewnego wieczora rozeszła się wieść o strasznych wydarzeniach na halach. Grasował tam niedźwiedź-morderca. Wszędzie pełno było śladów krwi. Rozszarpał czternaście jagniąt i cztery na wpół dorosłe owce.

Sigurd wybiegł z domu. Na dziedzińcu spotkał zapłakaną Tir.

— Czy to Reim pasł te owce? — wyjąkał. Tir przytaknęła i ukryła twarz w dłoniach. — Reim — szeptał Sigurd. Czuł, że jest mu na przemian zimno i gorąco, a serce biło mocno.

Zdarzało się już wcześniej, że mali niewolnicy ginęli w górach. Słyszał wiele takich historii. Tyle było przecież różnych dzikich zwierząt w okolicach Strasznej Góry. Całkiem zrozumiałe, że co roku zdarzało się kilka śmiertelnych wypadków. Mały niewolnik wiele nie kosztuje, gorzej, kiedy ofiarą pada znakomita krowa, a czasem nawet koń...

Sigurd spoglądał z niepokojem w stronę klatki, gdzie siedział zamknięty młody niedźwiedź. Był to prawdziwie dziki niedźwiedź i nie dawał się oswoić. Rzucał się na kraty i ryczał rozdziawiając czerwoną paszczę.

Nagle chłopca przeszedł dreszcz. Zobaczył wracających ludzi, którzy wyszli w góry na poszukiwania. Ale nikt nie umiał mu powiedzieć, co się stało z Reimem. Znaleźli zakrwawioną kurtkę, która być może należała do małego pastuszka.

Zdawało mu się, że serce na chwilę stanęło.

Jak óma na oślep popędził przez las. Dopiero daleko od dworu stanął dysząc. Puls tętnił w skroniach i na szyi.

Wysoko na hali leżało kilka małych zagród. Wkrótce znikną w ciemnościach. W górze pod szczytem było Ravnegarden, gdzie mieszkała Ravnejenta. Stała tam samotna nędzna chatynka, sklecona z drewna i kamieni. Nie odważył się jednak tam pójść. Z poobcieranymi o skały rękami i kolanami ruszył ku najbliższej zagrodzie. Po drodze spotkał kilkoro dzieci, które na skraju lasu zbierały szyszki i chrust.

— Nie widziałyście tutaj małego niewolnika? — zawołał do nich. — Nie widziałyście Reima? — Płacz niby duży motek wełny dławiał go w gardle.

Ale dzieci na jego widok błyskawicznie umknęły. Tak było zawsze z dziećmi nędzarzy. Mrok między drzewami stawał się coraz gęstszy i Sigurd musiał biec, żeby jak najszybciej wrócić do domu.

Nagle stanęła przed nim Ravnejenta. Przestraszony chciał ją wyminąć, ale ona zawołała:

— Znaleźli Reima!

Odwrócił się pospiesznie i zapomniał, że się boi.

— Żywego?

Ravnejenta skinęła głową.

— Tak, żywego.

Twarz Sigurda rozbłysła radością.

— Bogom w Walhalli niech będą dzięki...

— Nie dziękuj przedwcześnie — powiedziała Ravnejenta. — Właśnie teraz zajmuje się nim Orm Viking. Zobaczmy, jaki po tym będzie z niego niewolnik.

— Reim, słyszysz mnie?

Śpiący chłopiec odwrócił się ostrożnie na posłaniu. Plecy miał opuchnięte i sine od uderzenia kija, twarz obrzmiała od płaczu. Nie odpowiadał.

Sigurd nigdy przedtem nie był w domu niewolników. On, syn jarła, nie miał tam nic do roboty. Teraz stał w kącie pogrążony w mroku izby.

— Reim — powtórzył. — To ja, Sigurd.

Chłód płynął przez na wpół otwarte drzwi. W niskim kamiennym budynku czuć było odór zgnilizny. W kącie na podłodze stały kamienne naczynia i drewniane miski. Śmierdziało pleśnią i przegniłą słomą.

Reim z trudem otworzył oczy.

— Idź stąd — szepnął.

Sigurd rozplakał się.

— Ja chcę ci pomóc, Reim. Czy ty tego nie rozumiesz? Patrz, coś tu mam dla ciebie. Biały chleb i miód. Reim, miód!

Wtedy zobaczył, że Reim wymiotował. Pochylił się nisko, aż do jego ucha i szeptał:

— Zostaniesz u mnie pierwszym drużynnikiem, Reim. Obiecuję ci to.

W tej chwili przez drzwi wpadł do izby cień. To była stara Kumba. Sigurd zerwał się i przemknął obok niej.

— Przyjrzyj się — syknęła. — Możesz sobie popatrzeć, co zrobili z tym biednym niewolnikiem.

Sigurd uciekł i pobiegł najkrótszą drogą do dworu. Tej nocy nie spał i rzucał się na posłaniu.

Pójdę do drużynników ojca, myślał. Pójdę do Orma Vikinga i tych wszystkich i będę krzyczał, że nie mają prawa karać niewolników w ten sposób...

Ale gdy wspomniał Orma Vikinga i surowe twarze wojowników, przychodziło opamiętanie. Nie odważył się, mimo wszystko. Odkąd pamięta, zawsze go uczono: Musisz być silny. Nie przejmuj się słabymi. Płaczą tylko niewolnicy i stare baby. Nic nie mógł jednak poradzić na to, że słone krople spływały mu po twarzy, gdy myślał o zalanych krwią plecach Reima. Myślał też o niewolnicy Unie. Wojownicy podejrzewali, że ukryła swoje dziecko. A gdy zakradła się do spichlerza, by zdobyć trochę jedzenia, ukarali ją strasznie.

— O czym tak dumasz. Sigurd? — zapytała następnego dnia matka. Wbiegła do jego sypialni radosna i podniecona. — Okręty wróciły! Musimy przygotować ucztę!

Pierwszy zszedł na ląd niewolnik Digralde, niosąc wielki, złoty krzyż. Zdobyli go wikingowie w jednym z zachodnich krajów. Złoto skrzyło się w jesiennym słońcu. Sigurd

przyglądał się potężnemu niewolnikowi, jak biegł do Uny, a potem uniósł ją wysoko w górę. Krzyczał i śmiał się z promiennymi oczami.

— Una! Jarl obiecał mi wolność! Jak tylko wróci! — Ale zaraz zbladł i odgarnął jej włosy. — Co oni ci zrobili, dziewczyno? — wołał ze zgrozą.

Una płakała.

— Kto chce zdobyć trochę jedzenia dla swojego dziecka, musi ponieść srogą karę — szlochała. — Tak powiada prawo. Niewolnicy przyłapanej na kradzieży obcina się ucho.

— Ale nasze dziecko? — szeptał Digralde. — Gdzie ono teraz jest?

— Mała jest bezpieczna — odparła Una. — Dla niej przetrzymam wszystko.

Wkrótce zaczęli schodzić na ląd mężczyźni dźwigający ciężkie skrzynie wyładowane srebrem i złotem.

Sigurd rozglądał się za okrętem ojca, ale „Smoka” jeszcze nie było. Trafili na złą pogodę, opowiadali przybyli, i „Smoka” widocznie zniosło z kursu. Lada dzień na pewno się pokaże.

Sigurd czekał. Co dzień dosiadał Faksego, jechał na brzeg i wpatrywał się w stalowoszary fiord. Pod kurtką chował maleńki, wyrzeźbiony przez siebie okręcik. Ojciec powinien to zobaczyć, gdy wróci.

Pewnego dnia zauważył, że ktoś stoi i czeka na niego, ukryty za drzewem.

— Reim! To naprawdę ty?

— Orm Viking wyjechał — szepnęła Reim. — Dlatego mogłem przyjść.

Sigurd zeskoczył z konia.

— Tak dawno cię nie widziałem. Myślałem, że nie chcesz się już ze mną spotkać.

Reim pochylił głowę.

— Nienawidzę drużynników twego ojca. Twojego ojca, jarla, także nienawidzę. Kiedyś byłem synem wolnego irlandzkiego chłopca. Teraz nie jestem wart więcej niż pies, któremu pan spuszcza baty.

Ruszyli przed siebie, przez łąkę ciągnącą się aż do lasu. Wiatr kołysał gałęziami i sywał na ścieżkę czerwone i żółte liście.

— Kiedy ja zostanę jarlem — powiedział Sigurd — ty będziesz wolny. I ty, i twoja siostra. Będziesz moim pierwszym drużynnikiem, Reim, tak jak ci obiecałem.

Reim wzruszył ramionami.

— Ja chcę wrócić do Irlandii — powiedział, zaciskając pięści. — Nie chcę zostawać dłużej w tym kraju.

Sigurd zarzucił swój płaszcz na ramiona niewolnika. Puścili Faksego wolno, żeby paść się na polanie, a sami wczołgali się do dziupli dębu i siedzieli przytuleni do siebie.

— Wiesz — powiedział Reim. — W Irlandii z chłopcami naszych sąsiadów niemal każdego dnia bawiliśmy się w lesie w łuczników. Powinieneś tam z nami być, Sigurd! Bo kiedy zapominam, że jesteś synem jarla, lubię cię chyba bardziej niż wszystkich innych kolegów, których znałem w Irlandii.

Cicha radość przepełniła Sigurda. Długo nie mógł nic powiedzieć. Po czym odpiął nóż od pasa i zrobił nacięcie na swoim serdecznym palcu. Dał znak, by Reim uczynił to samo. Powoli złączyli krwawiące palce.

Braterstwo krwi na śmierć i życie!

Długo patrzyli sobie w oczy.

Gdy jednak wrócił do dworu, zdjął go lęk. Co będzie, jeśli bogowie widzieli, że syn jarla zmieszał krew z niewolnikiem? Długo leżał nie śpiąc, a nacięcie na palcu piekło.

— Edda — zapytał. — Co to za dziwny szum słychać na drodze?

— To sosny — odparła. — To tylko sosny.

W kilka dni potem do zatoki wpłynął długi okręt.

Był to „Smok”.

Pierwszy zobaczył go Torarin Treskjaerer. Narobił wielkiego zamieszania, bo obie wysokie stewy okrętu, na których węże i potwory splatały się ze sobą w strasznej walce, nosiły ślady głębokich cięć toporów.

Wkrótce potem rozległ się przeraźliwy krzyk i niósł się ku siedzibie jarla, drzemiącej w bladym popołudniowym słońcu.

— Jarl nie żyje! Wielki jarl umarł!

Sigurd siedział na dziedzińcu i robił strzały do łuku. Tam dotarła do niego ta wiadomość. Zapanował chaos. Wszyscy biegali między zabudowaniami, Orm Viking zebrał w halli drużynników, a niewolnicy niepewnym krokiem wracali z pól i łąk, by usłyszeć, co się stało. Przez moment widział matkę, biegnącą z krzykiem do zatoki, z rękami wyciągniętymi ku niebu.

Sam się sobie dziwił, że może tak siedzieć. Tak spokojnie. Jakby się nic nie stało. Nadal polerował swoje strzały i patrzył na biegających ludzi, jakby go to właściwie nie dotyczyło. Zdawał sobie sprawę, że jarl nigdy nie był tym ojcem, do którego tęsknił jako mały chłopiec. Znał jarla wyłącznie jako wielkiego wikinga i nieustraszonego wojownika.

Gdy dziedziniec w końcu się wyludnił, poszedł do stajni, wyprowadził Faksego i powoli pojechał nad zatokę.

Zobaczył, że okręt został poważnie uszkodzony. Wszystkie piękne rzeźby i ozdobne licowania nosiły paskudne ślady ostrego żelaza. Zobaczył, że wielu ludzi z załogi także poważnie ucierpiało. Niektórzy byli ciężko ranni i jęczeli, gdy ich znoszono na ląd. Krzyczeli, by sprowadzić Ravnejentę. Ale Orm Viking odparł opryskliwie:

— Żona jarla zabroniła jej tu przychodzić. Teraz, gdy jarl nie żyje, nie chce więcej widzieć we dworze ani jej samej, ani jej czarodziejskich sztuczek. Baczcie, by trzymała się z daleka!

Dowiedzieli się nareszcie, co się stało ze „Smokiem”. Okręt wracał z wyprawy w bardzo dobrym stanie i wiozł mnóstwo kosztowności. Ale gdy byli jeszcze na pełnym morzu, rozszalał się sztorm i zepchnął statek ku wybrzeżu. A tam czatowała flota szwedzkich wikingów. Podpłynęli do „Smoka” i wdarli się na jego pokład...

Jarl padł jako jeden z pierwszych. Mówiono, że wypił za dużo i wrywał się zanadto do przodu, przed swoich wojowników, żeby pokazać, jaki jest odważny. Ale zdobycze obronili. A to było najważniejsze — uważało wielu chłopów, którzy brali udział w wyprawie.

— Mój małżonek nie żyje! — wołała gospodyni z rozpaczą w głosie.

— Z okrętem jest gorzej — powiedział rzeźbiarz, ale tak, by żona jarla tego nie słyszała.

Z twarzy wielu niewolników, którzy zgromadzili się nad zatoką, można było wyczytać radość. Inni byli przestraszeni. Nie byli pewni, czy śmierć jarla zmieni coś w ich życiu na lepsze, czy na gorsze. Całkiem z boku stała samotna, na czarno ubrana postać. Stała z pochyloną głową, twarz osłoniła rękawem płaszcza.

— Chodź, mój synu — powiedziała matka do Sigurda. — Wrócimy do halli.

Poszedł za nią i razem weszli do dużego pomieszczenia, ciemnego i zimnego, mimo że na dworze świeciło słońce.

— Nie płaczesz, synu? — zapytała matka i usiadła na ławie.

Sigurd podniósł głowę.

— Ojciec jest przecież u Odyna. U Odyna w Walhalli. Będzie tam mógł walczyć całe dnie, a jeśli nawet w walce padnie, to i tak następnego dnia wstanie. Czyż nie tego pragnął cały czas?

Matka popatrzyła na niego zaskoczona. I nagle jej twarz stała się zimna i zacięta.

— Ty wcale się nie smucisz z tego powodu, że jarl nie żyje — powiedziała. — I ja też

nie. Zostałam wydana za jarla, gdy miałam szesnaście zim. Ożeniono nas dlatego, że oboje pochodziliśmy z potężnych rodów, które miały się stać jeszcze potężniejsze dzięki temu, że my się połączymy. Jarl oczekiwał ode mnie wyłącznie, żebym rodziła mu synów, którzy by umieli władać bronią i bronić czci rodu. Teraz trzech moich synów nie żyje. Mam tylko ciebie, Sigurdzie. A prawo wymaga, byś i ty wyruszył w świat w poszukiwaniu bogactwa i szczęścia. Nawet ty nie możesz odłożyć broni. — Matka westchnęła i załamała ręce. Wkrótce jednak surowo ściągnęła usta. — Jednego nie możesz wszakże zapomnieć — powiedziała, stając przed nim. — Musisz pomścić twego najstarszego brata, Eirika. Jesteśmy to winni naszemu rodowi.

Sigurd westchnął. Zawsze to samo. Zawsze tylko mowa o majątku, zemście i czci. Ale wiedział, że matka ma rację. Jeśli on nie będzie nadal prowadził walki, ród jarla zostanie zmieciony z powierzchni ziemi, a oni sami zostaną może sprzedani jako niewolnicy. Muszą walczyć jak orły. Dziobami i szponami.

Już tego samego wieczora do dworu przybyło wielu krewnych, by oddać jarlowi ostatnią posługę. Należało usypać wielki kurhan. Jarl miał odpływać do królestwa zmarłych na tym samym okręcie, na którym odbył swoją ostatnią ziemską wyprawę.

Sigurd poszedł do stajni. Sześć najpiękniejszych koni miało towarzyszyć jarlowi do grobu. Jednym z nich był Fakse. Sigurd wiedział, że winien jest ojcu wszystko co najlepsze, ale długo płakał objawszy rękami szyję małego, siwego żrebaka imieniem Grane.

Trzech wikingów, którzy byli z jarlem, odniosło ciężkie rany i chorowało bardzo z upływu krwi. Stara Kumba pielęgnowała ich, opatrywała rany, ale jakoś niewiele to pomogło.

Wieczorem drzwi do halli otwarły się i kilku wojowników weszło do środka. Prowadzili przed sobą czarno ubraną dziewczynę.

— Sprowadziliśmy Ravnejentę, pani. Ma zioła i maści, które mogą uleczyć tych trzech biedaków.

Ale gospodyni wstała gwałtownie z miejsca.

— Ta dziewczyna natychmiast opuści dwór! Nie chcę jej tu więcej widzieć!

— Pani — powiedział Håvard — przekonaliśmy się niejednemu raz, że ona umie leczyć choroby jak nikt inny. Pozwól jej spróbować i teraz.

— Niech mi się ona nigdy więcej nie pokazuje we dworze! — krzyczała żona jarla.

Wtedy Ravnejenta postąpiła kilka kroków do przodu. Zrzuciła płaszcz i popatrzyła żonie jarla w oczy.

— Ci trzej ludzie umrą, jeśli nie otrzymają pomocy. Zostanę we dworze! Nikt mi nie zabroni pielęgnować drużowników jarla. Mam być wyrzucona dlatego, że go zabrakło?

Żona jarla z wściekłości pobladła.

— Nie wymieniaj imienia jarla! — Chwyciła szpikulec do opiekania mięsa i cisnęła nim w dziewczynę. Ostry przedmiot utkwiał w ścianie, tuż obok jej głowy. — Zabierzcie ją stąd! Stanowczo za długo szarogęsiła się tu we dworze. Nie chcę na nią dłużej patrzeć! Spalić Ravnegarden! A jeśli tu wróci, każe ją powiesić na najwyższym drzewie, zapamiętajcie moje słowa!

Stała przy drzwiach i patrzyła, jak mężczyźni odprowadzają dziewczynę na halę, poszturchując ją drzewcami dzid. Po jakimś czasie płomień objęły małą chatkę na górze.

W tym momencie Sigurda ogarnął strach. Serce biło mu jak młotem. Mógł być przecież temu zapobiec. Teraz on był jarlem we dworze. Ale jeśli nie będzie tej dziewczyny, znającej się na czarach, on uniknie jej spojrzeń, uniknie koszmarnych snów, które dręczyły go po nocach.

Widział twarz matki w smudze światła przy drzwiach.

— Ravnegarden płonie — powiedziała i uśmiechnęła się szeroko. — Ona już nigdy tu

nie wróci...

Nad siedzibą jarla zaległa przejmująca cisza. Na wzniesieniu na północ od dworu stał wielki kurhan, rzucając w świetle księżyca długie cienie. Morze było jak lśniąca tarcza, bez jednego załamania. W lesie i w górach za dworem także panowała cisza.

Ale wszyscy czekali, że coś się może wydarzyć. Jarl nie żył, a w jego siedzibie stały skrzynie pełne złota. Wszyscy o tym wiedzieli. Złoto nie było bezpieczne. Późną nocą zostało zakopane w tajnym miejscu, niedaleko chlewu dla świń i drużownicy trzymali tam straż dzień i noc. Wszędzie widać było połyskujące ostrza oszczepów i toporów. Z nadejściem wieczoru ryglowano drzwi, klucze zgrzytały w zamkach.

— Gdyby dwór został napadnięty, musisz jak najszybciej przybiec — powiedział Sigurd do Reima. — Tutaj ukryję cię bezpiecznie.

Ale niewolnik nic nie odpowiedział. Zdawało się, że ukrywa jakąś tajemnicę, której nie chce z nikim dzielić. Teraz Reim przestawał najwięcej z Digraldem. Sigurd nie wiedział, o czym ci dwaj rozmawiają, ale Digralde miał mroczną minę. Żona jarla po śmierci męża potrzebowała ludzi do pomocy i nie chciała wyzwolić niewolnika. Gdy się o tym dowiedział, krzychał tak, że aż się niosło ponad dziedzińcem:

— Tam siedzi młody niedźwiedź, zamknięty w klatce. Spójrzcie, jak szarpie i gryzie kraty. Tak samo jest ze mną tu, we dworze. Jestem jak zamknięty w klatce. Ale poczekajcie, wkrótce pozrywam więzy.

Wojownicy dobyli mieczy, ale gospodyni uspokoiła ich ruchem ręki. Niewolnik wykrzyczy się i uspokoi. — Digralde jest jak oswojone dzikie zwierzę — powiedziała później. — Przyszedł tutaj jako mały chłopiec.

I miała rację. Digralde się uspokoił. Ale był jakby cichszy niż przedtem i patrzył na wszystkich ponurym wzrokiem.

Była zimna noc. Przymrozki nadeszły w tym roku bardzo wcześnie. Rosa na ziemi zamarzała tworząc szron, a kałuże pokrywała cienka skorupka kruchego lodu, który migotał matowo w świetle księżyca. Na północnych stokach żółciły się splachetki pól, z których nie sprzątnięto jeszcze zboża.

Sigurd obudził się w nocy, bo zmarzył. Odwrócił się do ściany i szczerze otulił nagie ramiona skórą. Nie zasypiał jednak. Leżał i wpatrywał się w ciemność. Z zewnątrz dochodziły jakieś słabe dźwięki. Jakby tupot i szcęk broni. Zdawało mu się, że słyszy to przez sen i nie był całkiem pewien, czy naprawdę nie śpi.

Ale nagle zerwał się z drzeniem. Teraz słyszał wyraźniej i ogarnęła go trwoga. Jakby wszystkie jego zmysły zostały jednocześnie obudzone. Zrzucił z siebie okrycie i podbiegł do otworu okiennego. Sosnowy las rysował się wyraźnie na tle bladobłękitnego nieba, a wiatr szeleścił cicho w suchej trawie na kurhanach, w których spoczywali przodkowie.

Sigurd poszukał spodni i kurtki, po czym poszedł szybko do kąta i kopnął postać śpiącą tam na podłodze.

— Wstawaj szybko — zawołał, a głos mu drżał. — Wielki oddział zbrojnych stoi u wrót dworu. To muszą być Illugowie!

Edda zerwała się i narzuciła na siebie ubranie. Bez słowa wypadli oboje na dziedziniec i zaczęli biegać od domu do domu, budząc śpiących. Sigurd obudził dwóch strażników przed hallą. Zerwali się przerażeni, chwycili oszczepy i tarcze i wybiegli na ganek gotowi do walki. On zaś ruszył do domu, gdzie sypiali drużownicy. Orm pierwszy pojął, co się dzieje. Wielkim głosem wołał:

— Chcecie zostać pomordowani we śnie, wojownicy?

Wszyscy zrywali się w pośpiechu, naciągali przez głowy kaftany z byczej skóry, chwytali łuki, oszczepy i topory i wysypywali się na dziedziniec jak rój złych pszczoł.

— Torarin — wołał Sigurd, łomocąc do jego drzwi. Rzeźbiarz wysunął potarganą głowę, ale szybko się zebrał, naciągnął kurtkę i spodnie i chwycił dzidę. Wszędzie biegali ludzie, zajmowali posterunki w cieniu wszystkich budynków i w cieniu wielkiej halli. Niektórzy wdrapywali się na torfowe dachy i leżeli tam z łukami gotowymi do strzału. Tymczasem Edda obudziła żonę jarla. Ona i pozostałe kobiety uzbroiły się w noże na wypadek, gdyby któryś z napastników dostał się do domu. Edda próbowała uspokoić małą córkę jarla, która obudzona hałasem dokoła, wrzeszczała wniebogłosy.

Tir i Reim... myślał Sigurd. Pot spływał mu po twarzy. Muszę ostrzec Tir i Reima. Illugowie będą szukać młodych, zdrowych niewolników. Tir i Reim mogą zostać porwani i nigdy więcej ich nie zobaczę...

Ale dom niewolników leżał za daleko, by mógł się teraz do niego dostać.

— Musisz się uzbroić, Sigurdzie — wołał Orm Viking. — Teraz masz okazję wykorzystać wszystko, czego się nauczyłeś o władaniu bronią.

Sigurd ledwie zdążył chwycić swój łuk, gdy rozbrzmiał dźwięk rogu.

Grupa konnych wyskoczyła z ciemnego lasu. Zaświszczały strzały i kilku strażników padło na ziemię. Orm rzucił swoim ludziom krótki rozkaz i ci z krzykiem rzucili się na napastników. Sam Orm poprowadził kilku wojowników w stronę wzgórza, by zająć Illugów od tyłu. Strzały ze strony napastników trafiały przeważnie w tarcze, halla była dobrze broniona. Bjørn Skald i Torarin ustawili się w drzwiach i mieli zamiar ściąć każdego, kto chciałby się wdrzeć do środka.

Sigurdowi troiło się w oczach. Strzelał na oślep w orszak wrogów, ale udało mu się trafić jedynie wojownika z wielkim brzuchem, który biegł nie tak szybko jak inni. Dostał strzałą Sigurda w kolano i ze wściekłym rykiem bólu pokuśtykał z powrotem do lasu, by tam szukać schronienia.

Nowy oddział Illugów wpadł na dziedziniec z błyszczącymi mieczami. Orm Viking i jego ludzie ruszyli im naprzeciw wymachując bronią. Powietrze drżało od krzyków ludzi i dźwięku stali uderzającej o stal. Zażarte walki trwały, ale napastników było więcej i wkrótce uzyskali przewagę. Z wrzaskiem zwycięstwa wojownicy rodu Illugów chwycili Orma Vikinga i pociągnęli za sobą do lasu. Pełne wściekłości, straszne słowa płynęły z ust pierwszego drużynika jarla. Wzywał Odyne i wszystkie najwyższe moce, ale nie wyglądało na to, że ktoś mógłby mu jeszcze pomóc.

Teraz Sigurd poważnie zaczął się bać. Najsilniejszy wojownik w siedzibie jarla został pojmany. Dalej między zabudowaniami widział ciemne grupy walczących ludzi i słyszał stłumione krzyki i jęki rannych. Ukrył się na powrót pod osłoną ścian z grubych bierwion. Starał się bardzo, żeby go nie było widać i drżący znowu napinał łuk. Ale nie miał siły w rękach, a ramię było całkiem bezwładne. Matka siedziała skulona na ławie w halli i pojękiwała z cicha, zaklinając Odyne i Tora, by im pomogli.

Nagle Edda krzyknęła przerażona:

— Patrzcie, niebo pełne jest ognia!

Poprzez otwarte drzwi widzieli płomienie, jakby wielkie ognisko płonęło w ciemności. Napastnicy dostali się do spichlerza z żywnością i podpalili suchą trawę na dachu. Ogień pełgał i trzaskał, ale po chwili rozdmuchane wiatrem płomienie buchnęły w górę z wielką siłą. Wkrótce pożar ogarnął cały spichlerz. Wiatr wiał w stronę dworu i żar zmusił wojowników, by odstepili.

Sigurd patrzył na to wszystko przerażony. Za chwilę płomienie ogarną całą siedzibę jarla. Wojownicy biegali teraz bezładnie. Wołania, krzyki i straszny zgiełk wypełniały dziedziniec.

Raptem Sigurd zobaczył ciemną postać olbrzymiego mężczyzny, który biegł wzdłuż szeregu domów. Ledwo go było widać przez zasłonę dymu, ale Sigurd go poznał. Digralde! Olbrzymi niewolnik biegł z toporem nad głową.

Co zamierza? Sigurd mocniej przywarł do ściany. Wciąż, poprzez kłęby dymu, widział tę podobną do zjawy postać. Niewolnik mijał drużynników jarla i biegł wprost do klatki z dzikim niedźwiedziem. Płomienie już się do niej zbliżały, więc zwierzę gryzło i szarpało kraty, rycząc w dzikim przerażeniu. Digralde zamachnął się toporem i potężnym ciosem rozerwał łańcuchy. Uwolniony młody niedźwiedź wypadł z klatki i pomknął w stronę lasu, gdzie czaili się Illugowie. Rozległy się stamtąd okrzyki przerażenia, ale niedźwiedź nie widział ani broni, ani wojowników. Pędził w stronę gór i wkrótce zniknął wśród zarośli i rozpadlin skalnych.

To wydarzenie sprawiło jednak, że Illugowie na moment stracili panowanie nad sytuacją. Bjørn Skald zdołał zebrać wokół siebie wojowników i zawołał:

— Niech bogowie mają nas w opiece! Naprzód, a Odyn da nam zwycięstwo!

W tej chwili wiatr zmienił kierunek. Płomienie zwróciły się w stronę lasu. Ogień począł ogarniać pierwsze drzewa i suchą trawę. Czerwone, gorące płomienie strzelały i syczały. Illugowie musieli się pospiesznie wycofywać. Ludzie jarla deptali im po piętach. Biegli za nimi aż do okrętów ukrytych pomiędzy czarnymi skałami Trollvika.

Sigurd znowu stał na dziedzińcu sam. Miał dziwne uczucie, jakby to wszystko działo się we śnie, a on nie był w stanie zrobić nic, by temu przeciwdziałać.

Odrzucił się powoli i popatrzył w stronę wąskiej przełęczy, przez którą wiodła droga do osady handlowej. W świetle księżyca, który teraz jasno świecił nad lasem i nad zaroślami, widział pochyloną postać Digraldego, a za nim grupę ludzi przemykających jak dzikie, nocne zwierzęta pomiędzy drzewami i krzakami.

Serce zamarło mu w piersi i przypomniał sobie słowa, które kiedyś słyszał: Gdy panowie biją się i gryzą, nikt nie patrzy, dokąd biegną niewolnicy.

Syn jarla nie może płakać, pomyślał.

Ale przygniatało go uczucie samotności.

Minęło sporo czasu, nim odbudowano dwór po pożarze. Żona jarla musiała wypożyczyć od høvdinga z sąsiedniej okolicy niewolników do pomocy. Przeklinała zbiegów. Ale nie dadzą sobie długo sami rady, myślała. Zima ich wykończy.

Kiedyś jednak dowiedziała się, że być może udało im się dostać na statek płynący do Islandii, a Una i Digralde zabrali nawet ze sobą swoje dziecko, które ukryli w wielkiej tajemnicy przed wszystkimi.

Gospodyni długo wierzyła, że Orm Viking wróci. Ale i tym razem czekała na próżno. Ktoś z jej krewnych opowiedział, że Orm został sprzedany jako niewolnik jakiemuś høvdingowi z północy. Niemało srebra by trzeba, żeby go wykupić.

Zima, która nadeszła, była najsurowsza, odkąd ludzie pamiętali. Siarczasty mróz skuwał ziemię tego dnia, gdy składano zimową ofiarę. Chłopi błagali Odyna o zwycięstwo w wojnie i Freję, by znowu w tym przemarzniętym kraju nadeszła wiosna i by okręty mogły wyruszyć na wyprawę. Nocą zabili konia w ofierze, zjedli mięso i wypili krew, by mieć siły i zdrowie. Zachrypłymi głosami całą noc śpiewali powolną, ponurą pieśń. A gdy ogień wygasł, przemarznięci ludzie zbili się w gromadę.

Bogowie byli widocznie zadowoleni z ofiary, bo któregoś dnia jednak słońce zaświeciło nad zamarznąłą ziemią. Płomiennoczerwona kula na bladym, zimowym niebie.

Pewnego dnia duży orszak konnych ukazał się na drodze wiodącej do siedziby jarla. Natychmiast na dziedzińcu rozległo się wołanie: — Zamknąć wszystkie drzwi! Mężczyźni do pomieszczenia sypialnego. Topory i oszczepy niech mają w pogotowiu!

Ludzie biegali po dziedzińcu, psy ujadły, starzy niewolnicy kuśtykając opuszczali swój dom, by schronić się gdzieś w bezpiecznym miejscu. Czujni wojownicy z łukami w rękach śledzili duży orszak zbliżający się od wzgórz.

Wkrótce zobaczyli, że mężczyzna na czele orszaku nie miał na sobie wojennego rynsztunku. Nosił jedwabny, błękitny płaszcz, mnóstwo ozdób na piersiach, a na rękach bransolety.

— To jest Ottar Illuge — powiedziała żona jarla. — Ten podły nędznik!

Ottar zeskoczył z konia. Poleciał swoim ludziom czekać, a sam powoli przeszedł przez dziedziniec.

— Wpuście go! — zawołała gospodyni.

Zazgrzytały klucze, skrzypnął zamek i Ottar stanął pośrodku halli. Światło z otworu dymnego padało na masywną twarz wojownika o małych oczach i zaciśniętych ustach. Przywitał się uprzejmie, ale potem gospodyni odezwała się pierwsza:

— Cóż to, Ottar, zdjąłeś z siebie zakrwawioną odzież?

— Przychodzę z propozycją ugody — powiedział gość — nie bądź więc taka złośliwa, pani. — Rozejrzał się wokoło po halli. — Mieszkasz tu bardzo pięknie — stwierdził z uśmiechem.

— Piękniejszego dworu nie znajdziesz — odparła żona jarla, wyglądzając czepek.

— Musi ci być trudno samej zarządzać takim majątkiem. — Wziął podaną mu misę z miodem i pociągnął solidny łyk.

— Nie tak strasznie, żebym nie mogła sobie radzić — odparła żona jarla ostro. — Poza tym mam syna, który wkrótce będzie dorosły. Ma już trzynaście zim.

— To właśnie jego miałem na myśli — powiedział Ottar.

Podniósł złotą szkatułkę, która stała na stole, i obracał ją w palcach, a potem chodził i dotykał barwnych tkanin wiszących na ścianach i przyglądał się uważnie stojącym w szeregu skrzyniom.

— Przychodzę z propozycją ugody — powtórzył z lisim uśmiechem. — Mam córkę, która wkrótce skończy dwanaście lat. Gdybyśmy ożenili twego syna z nią, moglibyśmy połączyć nasze rody...

Gospodyni postąpiła kilka kroków w przód i popatrzyła mu prosto w oczy.

— Nigdy! — powiedziała. — Nigdy do czegoś takiego nie dojdzie! A teraz zabieraj się ze dworu!

Ottar złączył pięty, kąciki ust opadły mu w dół. Szybkim krokiem opuścił hallę, a wkrótce potem dał się słyszeć tętent odjeżdżających koni.

Gospodyni opadła na ławę. Jej twarz była bladoszara.

— Może teraz zapanuje pokój w naszej okolicy — powiedziała. — Ale nigdy, Sigurdzie, nie życzyłabym ci takiego losu!

— Dziś w nocy wystawić podwójne warty! — rozkazywała drużynnikom. — Nie chcę mieć więcej koszmarnych snów. — Ale do Sigurda powiedziała: — Illugowie zaatakują znowu. Będą walczyć do ostatka.

Wiosną matka Sigurda postanowiła, że pojedą na ting. Jako wdowa po wielkim jarlu miała różne sprawy do załatwienia.

Na dziedzińcu czekały konie. Poranne słońce igrało w lśniących uprzężach. Trzydziestu drużynników miało towarzyszyć pani w podróży.

— Nic się tu nie powinno stać, gdy nas nie będzie. W zatoce stoją na straży trzy długie okręty z załogami pod bronią.

Wyruszyli wcześniej. Słońce świeciło na duże i mniejsze zagrody. Po drodze mijali bose dzieci, dźwigające zbyt ciężkie na ich małe, zgięte plecy ciężary. Przerazone chowały się za kamiennymi ogrodzeniami i długo potem patrzyły w ślad za pięknym orszakiem. Tętent końskich kopyt niósł się nad doliną jak potężne dudnienie. Jechali szybkim kłusem aż do przełęczy Jutuljuvet. Wodospad rozbijał się o gładkie ściany skał, zrzucając w dół, coraz niżej i niżej masy piany i wodnego pyłu. Sigurd spojrział w górę. Zmrużył oczy i patrzył na mały

pokryty torfem domek na grani. Leżały tam jeszcze wielkie płaty śniegu. Był niemal pewien, że ktoś chodzi koło drzwi, ale było to na pewno tylko jakieś zwierzę, poszukujące jedzenia.

Ocknął się, gdy konie znowu ruszyły szybciej. Matka niecierpliwiła się, chciała jak najprędzej być już na miejscu. A gdy zbliżali się do placu tingowego, wyjechał im naprzeciw inny, równie liczny orszak. Był to høvding Skjegge i jego drużyna. Sigurd widział go przedtem tylko raz, na pogrzebie ojca.

Matka zeskoczyła z konia lżej niż zazwyczaj i pozdrawiała Skjeggego wesoło, ze śmiechem.

Na tingu zebrało się wielu różnych ludzi, chłopów i høvdingów. Matka Sigurda rozmawiała z krewniakami, dowiadując się o nowiny z południa kraju. Jeden z høvdingów opowiadał, że upowszechnia się tam szybko moda wyzwalań niewolników.

Na tę wiadomość matka wybuchnęła śmiechem.

— Wyzwolić niewolników! To tak jakby rozpuścić konie i samemu ciągnąć pług!

Skjegge śmiał się także.

— Ja też tak myślę. Niektórzy panowie tracą rozum. Ludzie mówią, że są i tacy, którzy uczą niewolników pracować na własnej ziemi, obok dworskich pól. Podobno wtedy lepiej pracują!

Skjegge pękał ze śmiechu.

Matka Sigurda potrząsała głową z niedowierzaniem.

— To są niebezpieczne pomysły. Wkrótce niewolnicy zawładną całym dworem.

— Należy ich odpowiednio karać — powiedział Skjegge. — Tak, aby rozumieli, jaka jest różnica między niewolnikiem, a wolnym człowiekiem. Ale teraz zaschło mi w gardle od tego gadania i miałbym ochotę na łyk miodu. Chodźmy do piwowarek...

Sigurd zaczął nagle myśleć o tamtej dziewczynce, którą spotkał u piwowarek, gdy poprzednim razem był na tingu, a która się urodziła w roku, gdy rzeka wylała; dokładnie tak jak on.

Nie widział jej nigdzie w pobliżu szałasów. Nie widział też tej starej piwiarki, która tamtym razem dała mu spróbować miodu.

Wyruszył więc z placu i poszedł wąską ścieżką w dół do zagrody. Słodko pachniało młodą trawą, a w sąsiednich gospodarstwach przekopano małe kawałki ziemi, które czerniły się pośród zieleni łąk. Kilka krów pasło się w zagrodzie na hali, ale w obejściu, do którego zmierzał, nie było śladu życia. Wiele razy obszedł zabudowania, a w końcu zaczął wołać dziewczynkę po imieniu. Nikt jednak nie odpowiadał. Wszystko było jak wymarłe i opuszczone. Rozczarowany ruszył w stronę tingu.

Wtedy zobaczył ją daleko przed sobą na ścieżce. Niosła na plecach ciężki tłumok i dla utrzymania równowagi podpierała się kijem. U jej nóg kręcił się mały, szary piesek.

Zawołał ją głośno po imieniu i ona natychmiast się odwróciła. Na jego widok rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

— No przecież w końcu jesteś, Sigurdzie — wołała ze śmiechem. — Czekałam na ciebie i wierzyłam, że wrócisz! — Postawiła swój tłumok na ziemi, dysząc ciężko. — Ale teraz jest właściwie za późno.

— Co masz na myśli — zapytał Sigurd. — Czy już nie sprzedajesz miodu?

— Nie mam co sprzedawać. Babcia nie żyje. Miód, który zrobiła jesienią, już sprzedałam. Krowy też sprzedałam i odchodzę. Został mi tylko Rask, mój mały piesek.

Była ciekawa, co się z nim działo przez ten czas, więc opowiadał jej o wyprawach wikingów i walkach z Illugami. A potem znowu on ją wypytywał i ona opowiadała o ciężkiej zimie, kiedy umarła babcia, i o tym jak sobie radziła, gdy została sama.

— A dokąd się teraz wybierasz?

Wzruszyła ramionami.

— Idę razem z grupą ludzi tak samo biednych jak ja. — Wyciągnęła rękę i pokazała: —

Daleko na zachód, przez góry.

— Co będziesz tam robić? — zapytał. Roześmiała się niepewnie.

— Może znajdzie się ktoś, kto będzie miał dla mnie jakieś zajęcie. Może boginie losu mi pomogą.

Chwyliła swój tłumok i próbowała zarzucić go sobie na plecy, ale nagle chwyciła się za szyję i krzyknęła cicho.

— Co się stało?

— Mój łańcuszek! Zgubiłam go! — Zrobiła się czerwona na twarzy i łzy popłynęły jej z oczu. — Miałam go, odkąd żyję!

Uklękli w trawie i zaczęli szukać. Czołgali się i szukali pod każdą trawką, w każdej szczelinie.

— Nigdzie nie ma — szeptała dziewczynka zrozpaczona.

Z drogi obok placu tingowego ktoś krzyczał i nawoływał. Stała tam gromada ludzi, większość z tłumokami na plecach.

— Oni nie mogą już dłużej czekać — powiedziała Frøydis i pobiegła w dół ze swoim zawiniątkiem na plecach. — Obiecuj mi — wołała jeszcze oglądając się. — Obiecuj, że dasz mi znać, jeśli znajdziesz łańcuszek. Będę na zachodzie, za górami!

— Na zachodzie, za górami — powtarzał, patrząc za biegnącą dziewczynką i pieskiem tańczącym przy jej spódnicy.

Na tingu ogłoszono, że wdowa po jarlu wychodzi za mąż za Skjeggego i przeprowadza się do jego dworu. Na znak ugody oboje podali sobie ręce przy świadkach.

— Na jesieni wyprawimy wesele — powiedziała matka. — Będzie na to czas, gdy już zboże zostanie zebrane i wikingowie powrócą z wypraw. Co myślisz o tym, mój Sigurdzie?

Sigurd nie odpowiedział. Zobaczył właśnie, że coś błyszczy w trawie i schylił się. Był to mały krzyżyk na poczeriałym łańcuszku. Podniósł go i długo mu się przyglądał. Na ciemnym metalu wyryta była ledwo teraz widoczna gwiazda.

Przeniknął go zimny, a potem gorący dreszcz. Pobiegł drogą wołając Frøydis, ale ludzie, z którymi odeszła, byli już daleko w górach.

III

— Sigurd — rozległo się czyjeś szeptanie. — Sigurd, pogromca smoka...

Drgnął, gdy cień przepłynął nad jego twarzą. Powoli uchylił oczy, jak wąskie niebiesko-zielone szparki. Sen wciąż go nie opuszczał.

— Pamiętasz, jak się kończy baśń o Sigurdzie?

Uczynił przeczący ruch głową. Wydało mu się, że tę baśń słyszał bardzo, bardzo dawno temu.

— Gdy Sigurd zabił groźnego smoka, kowal Regin wyciął smokowi serce. Pamiętasz teraz. — Sigurd przytaknął. — I Regin poszedł spać. Ale gdy Sigurd smażył serce, kilka gorących jak ogień kropel smoczej krwi sparzyło mu palce. Włożył więc kciuk do ust, by złagodzić ból, a wtedy stało się coś niezwykłego. Ptaki na drzewach zaczęły ćwierkać i mówić, i Sigurd rozumiał wszystko, co powiedziały.

— Tam leży Regin fałszywy — ćwierkały. — Chce zabić Sigurda i sam zabrać cały skarb.

Słyszając to Sigurd chwycił miecz Gram i przebił nim ciało Regina, a potem dosiadł konia i klusem ruszył do smoczej jamy, gdzie czekał skarb.

Nie wiedział jednak, że na tym złocie ciąży przekleństwo.

Favne musiał umrzeć, bo pilnował skarbu.

Regin musiał umrzeć, bo chciał zagarnąć złoto.

Bohater Sigurd wyruszył w świat, wioząc na końskim grzbiecie skarb. Ale złoto także na niego sprowadziło śmierć. Dlatego dam ci dobrą radą. Powinieneś zabić groźnego smoka, ale trzymaj się z daleka od złota. A wtedy zyskasz większy i dużo droższy skarb!

Głos dochodził do niego z oddali: — Czy odważysz się walczyć sam, nawet jeśli cię opuszczę?

Sigurd wstał gwałtownie. Oczy miał szeroko otwarte, a usta ułożone do krzyku. Rozglądał się zdziwiony po pokoju. Szare światło poranka sączyło się przez otwór okienny, oświetlając skrzynie i szkatuły, i jego ubranie wiszące na poręczu łóżka. Ale Eddy nie było. Chociaż, czy to nie jej głos słyszał? Był to sen czy jawa?

Zrzucił z siebie okrycie ze skór i naciągnął kurtkę. Buty zasznurował tak szybko, że o mało się nie zaplątał w rzemienie, gdy wybiegł na dziedziniec.

Przed stajnią czekał kary koń rzeźbiarza. Stał i skubał jakąś uschłą trawę, a do jego szerokich pleców była już przytroczona skrzynia z narzędziami.

W halli także nie było nikogo. Ale wykończony nowe krzesło na honorowym miejscu stało pod długą ścianą i zajmowało sporą przestrzeń. Zrobione było z jednego kawałka dębu, wyglądało potężnie i solidnie. Boki miało tak gęsto pokryte rzeźbami wysmukłych powyginanych istot, że wydawało się, jakby wypełzło tam całe węzowe gniazdo i zewsząd wysuwały się zatrute języki i rozwarłe paszcze. Po obu stronach oparcia umieszczono dwie głowy podobne do psich. Wyglądały jak żywe do tego stopnia, że Sigurd z trudem odważył się przejść przez mroczny pokój.

Stał długo i przyglądał się meblowi, po czym ostrożnie na nim usiadł. Na siedzeniu leżała duża poduszka, wypełniona mięciutkim puchem. Zapadł się w niej i długo siedział, pogrążony w myślach.

Tę hallę zbudowali jego przodkowie i żyło w niej od tamtego czasu wiele pokoleń. W tej halli siadywał jego ojciec, a przedtem ojciec ojca. Była masywna i czarna od dymu. I gdy panowała cisza, tak jak teraz, zdawało się, że może sobie wyobrazić wszystkich, których już nie ma, a którzy tu byli przed nim.

Teraz on był jarlem. To on miał gromadzić wokół siebie drużynników. To on miał wydawać rozkazy. Niewolnik czy chłop musiał na jedno skinienie jego ręki biec i spełniać to, czego on sobie życzył.

Gdy prosił o wielką srebrną tacę pieczonego mięsa, zaraz musiała się ona pojawić na stole. Gdy poprosi o biały chleb, niewolnik, który ma go przynieść, musi biec jak pies do spichlerza. I Na najmniejszy znak skald ma podejść do honorowego miejsca i recytować pochwalną pieśń. Na przykład tak:

— O, wielki jarlu, ty lubisz rzeźbić w drewnie, ale nie jesteś przecież drewnianą głową.

Powtarzał te bzdurne słowa wielokrotnie, by słyszeć jak ich dźwięk brzmi w halli. Brzmiał wspaniale. Śmiał się zadowolony.

— Co jarl powiedział?

Sigurd drgnął. Nie zauważył, że ktoś wszedł. Był to Torarin Treskjaerer, a za nim gospodyni z miską miodu.

— Jak się jarlowi podoba nowe krzesło na honorowym miejscu?

— Jest... jest fantastyczne — wyjąkał Sigurd. Gładził palcami powyginane ciała zwierząt.

— Jedno jest pewne — powiedziała gospodyni, podając rzeźbiarzowi miskę miodu, z której przedtem sama pociągnęła solidny łyk. — Tu, we dworze wszystko jest teraz jak należy, niczego już nie trzeba odnawiać.

Rzeźbiarz uklonił się zamaszycie, aż ulało się miodu z miski.

— Dziękuję, wielmożna pani. Ale czuję się tak, jakby mi mrówki chodziły pod koszulą.

Lubię podróżować. I teraz muszę jechać dalej.

— Nikt ci w tym nie może przeszkodzić — powiedziała gospodyni. — Ale mam nadzieję, że kiedyś znowu wypadnie ci droga obok naszego dworu. Na razie jednak musimy się dowiedzieć, jakiej żądasz zapłaty.

— Miałem tu dużo pracy — odparł rzeźbiarz. — Zabrało mi to cały rok życia.

— To wszyscy wiemy.

— I jest to najpiękniejsza robota, jaką kiedykolwiek wykonałem — powiedział Torarin. — Jarl obiecał mi, że mogę za moją pracę żądać zapłaty, jakiej zechcę.

Gospodyni dała znak swoim ludziom, którzy wnieśli pozłacaną szkatułkę. Pani pochyliła się i otworzyła zamek kluczem z brązu, który nosiła u pasa.

— Wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że wykonałeś mistrzowskie dzieło, Torarin. Spójrz na to. — Odwróciła szkatułkę tak, by mógł zobaczyć błyszczące srebrne monety. — Ile chcesz, rzeźbiarzu?

Torarin ledwo spojrzał na szkatułkę. Po czym przeniósł wzrok na gospodynię i powiedział:

— Chcę, abyś dała mi jedną ze swoich niewolnic, czcigodna pani. Chcę zabrać ze sobą Eddę!

Te słowa raziły Sigurda jak uderzenie w twarz. Był przygotowany na wszystko. Na bransolety i wspaniałe konie, ba, nawet cały okręt. Ale Edda to co innego...

Matka zamknęła wieko szkatuły i wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Podstarzałą niewolnicę! Nie, zaglądałeś chyba zbyt głęboko do miski z miodem, Torarin.

— Nie spróbowałem jeszcze ani kropli tego złocistego płynu, pani. Zdaję sobie sprawę z tego, co mówię.

Gospodyni zamachała rękami. Niech Sigurd decyduje. Dostał tę niewolnicę w prezencie zaraz po urodzeniu. To on jest jej właścicielem.

— Ja... ja muszę się zastanowić — jękał Sigurd i odwrócił twarz od światła, padającego z paleniska.

Torarin uklonił się, po czym opróżnił misę miodu i wyszedł z halli.

— Taką starą niewolnicę — prychnęła matka, gdy zostali sami w halli. — Tyle silnych, młodych dziewcząt jest tu we dworze, a on wybrał Eddę.

Śmiała się i biła po kolanach z uciechy. Tak, tak, miłość nie wybiera!

Sigurd oddychał ciężko. W piersiach serce dudniło boleśnie. Pod powiekami paliło. Nigdy nie myślał, że coś takiego mogłoby się stać.

Edda była tu zawsze. Pierwsze doznania to była jej ciepła skóra i bicie jej serca pod wełnianą bluzką. Oczy miała zawsze pełne tajemniczego smutku, którego nie pojmował. Usta nuciły i śpiewały dziwne, obce słowa, których nie rozumiał, ale które sprawiały, że czuł się bezpieczny. Usypiały go i przepędzały wszelkie niebezpieczeństwa.

Z czasem zaczął je rozumieć. Opowiadały o kraju, którego nigdy nie widział. O kraju, gdzie noce są ciemne, a księżyc świeci nisko nad sadami. O kraju z małymi, krytymi strzechą domkami, gdzie kobiety i dzieci zbierają się przy wiejskiej studni. Gdy zamykał oczy, kraj Eddy stawał się jego krajem. Czuł zapach kwiatów i słyszał śmiech brązowookich dzieci.

— Jak się tu dostałaś, Edda? — zapytał pewnego razu, gdy był jeszcze bardzo mały.

— Moja wieś została splądrowana i spalona — odparła krótko. — Mnie pojmano i przywieziono tutaj na okręcie.

— A gdybyś nie była niewolnicą, Edda?

— Byłabym pewnie gospodynią we własnej zagrodzie w kraju Franków i pracowałabym dla siebie. Miałabym krowę, kilka gęsi, a jesienią zbierałabym winogrona. A na pewno nie marzyłabym tak strasznie po nocach — uśmiechała się gładząc go po włosach.

Nic więcej nie powiedziała, a on nie odważył się pytać znowu. W kraju wikingów Edda

nie miała ani przeszłości, ani przyszłości. Tyle wiedział. I to on, Sigurd, mógł jej rozkazywać.

I oto przyszedł ów zdolny rzeźbiarz i chce, by mu dać tę niewolnicę za jego pracę.

Myśli mu się mąciły. Stracił już trzech braci. Stracił ojca na wikińskiej wyprawie. Tir i Reim wyruszyli do swojej ojczyzny.

Nie może utracić także Eddy.

Spotkał ją na dziedzińcu, niosącą dwa wiadra wody. Wiatr hulał między zabudowaniami.

— Edda — powiedział, patrząc jej w oczy. — Ja coś o tobie wiem. I o pewnej dziewczynce, która urodziła się trzynastcie zim temu.

Edda wyglądała na spłoszoną. Postawiła wiadra na ziemi, rozlewając wodę, chwyciła się za serce. Po raz pierwszy naprawdę się bała. Czytał to w jej oczach.

— Wiem, że ty i Torarin chcecie jej szukać!

Edda oparła się o ścianę domu i patrzyła na niego jak na niebezpieczną zjawę. Ramiona jej drżały. Sigurd mówił dalej z twarzą tuż przy jej twarzy:

— Ja wiem, gdzie jest twoja córka! Spójrz na to. — Wyciągnął srebrny łańcuszek i pomachał jej przed oczami. — Widziałaś już ten krzyżyk?

Twarz Eddy zrobiła się biała jak śnieg. Patrzyła na Sigurda z trwogą.

— Na wszystkich świętych, to jest przecież krzyżyk, który je dałam. Kiedy miałam ją wynieść do lasu...

Sigurd zacisnął dłoń na ozdobie.

— Powiem ci, gdzie ona jest, jeśli mi coś obiecasz!

Patrzyła na niego rozbieranymi oczyma, serce jej biło jak choremu zwierzęciu i drżała tak, że z trudem mogła utrzymać się na nogach. Młody jarl był jej właścicielem. Mógł zażądać od niej najstraszniejszych rzeczy, bo była niewolnicą.

— Czego żądasz? — szepnęła, zaciskając ręce na piersi.

Sigurd przełykał ślinę. Takie słowa trudno wypowiedzieć. Pamiętał wszystkie złe dni. Wymyślał jej, kopał i pluł na nią, bo była jego niewolnicą. Teraz spuścił głowę.

— Chciałbym... chciałbym tylko, żebyś mi obiecała, że wrócisz do dworu, kiedy odnajdziesz swoją córkę. Chciałbym, żebyś tutaj wróciła.

Edda osunęła się na kolana i musiała się o niego oprzeć, żeby nie upaść.

— Sigurdzie — powiedziała z płaczem, obejmując go mocno. — Zawsze czułam, że jesteś moim przybranym synem. Teraz wiem, że tak jest naprawdę.

Sigurd odwrócił twarz. Serce biło mu mocno, ale czuł się tak, jakby zwyciężył w ciężkiej bitwie.

We dworze wszystko było tak jak za życia starego jarla. Wikingowie przygotowywali się do nowej wyprawy. W kuźni kowale o twarzach zlanych potem walili z całych sił młotami w kowadła. Ponad pięćdziesiąt mieczy trzeba było wykuć i naostrzyć. Niewolnicy uginali się pod ciężarami, które trzeba było umieścić na pokładach okrętów. Wielkie namioty okrętowe, z rzeźbami końskich głów na podtrzymujących je żerdziach, wielkie kotły z żelaza, w których będzie się gotować mięso, gdy wikingowie zejdą na ląd. I wreszcie wszystkie tarcze, świeżo pomalowane na czarno i na żółto, które należało zamocować przy burtach okrętów.

W nocy przed wyjściem w morze Sigurd miał sen.

Śniło mu się, że jechał konno po rozległej równinie. Od gór wiało chłodem, a nad nim świecił wielki, błady księżyc. Był w drodze do Gnitahai.

Chciał się zatrzymać, jednak koń jechał dalej, na przełaj przez równinę. Niezbyt szybko, ale też i nie za wolno. A daleko na horyzoncie majaczyły góry, w których ukrywał się smok. Zbliżali się do nich coraz bardziej i bardziej.

Sigurd spociał się ze strachu. Bicie jego serca niosło się nad doliną jak echo.

— Zatrzymaj się! — krzyczał i ścigał uźdę. — Zatrzymaj się! Ja nie jestem Sigurdem bohaterem, jestem tylko synem jarla. Nie chcę być wielkim pogromcą smoka! Pozwól mi stąd

odjechać!

Ale koń nie słuchał. Kopyta stukwały w takt bicia jego serca. Góra przed nim stała niebieskoczarna, potężna, na kształt okrutnego smoka. Ciemna szczelina wskazywała, gdzie się znajduje smocza jama.

W końcu koń zwolnił biegu. Księżyc świecił nad szczytem. Kamień u wejścia do jamy zaczął się poruszać. Rozległo się głucho dudnienie, a potem ryk, który jak grzmot przewalił się między górami. W otworze ukazał się smok. Trujący dym wił się wokół jego cielska i przesłaniał potężny łeb. Koń rżał i wierzgał przednimi nogami.

Sigurd chciał dobyć miecza, ale broń była tak ciężka, że z trudem mógł ją podnieść. Wiedział, że teraz smok otworzy swoją potężną paszczę...

Wtedy się obudził. Był już ranek i okręty stały gotowe do drogi.

Sigurd otulił się szczelnie błękitnym płaszczem i wszedł na pokład. Znak Odyna lśnił na jego piersi. Wikingowie pozdrawiali młodego jarla i zrobił się taki krzyk i zgiełk na pokładzie, że najchętniej zatkałby sobie uszy. Wszyscy uderzali mieczami o burty okrętu i wznosili gromkie okrzyki za przyszłe zwycięstwa.

Okrzyki wznoszono także na lądzie. Zgromadziły się tam przede wszystkim kobiety i starzy ludzie z okolicznych dworów. Wysoko na ramionach Håvarda siedziała mała córeczka jarla. Ciągnęła starego za włosy i machała pulchną, zaciśniętą piąstką.

Matka Sigurda stała przed wszystkimi kobietami.

— Za naszą cześć! — wołała. — Zwyciężajcie we wszystkich krajach! I wracajcie pomyślnie do domu!

— Wrócimy w zdrowiu i chwale — odpowiadał Bjørn Viking. To on miał pomagać młodemu jarlowi w kierowaniu wyprawą. Silni, młodzi mężczyźni energicznie wzięli się do wiosel i okręty wyszły z zatoki, na niespokojne morze, gdzie grzywy fale sięgały pokładu.

Przez wiele dni nie widzieli nic, tylko niebo i morze. Sigurd siedział w okrętowym namiocie i rzeźbił smoki z kawałka drewna, które zabrał na drogę. Nikt mu tam nie przeszkadzał.

Ale po nocach, gdy fale ryczały i bulgotały za burtą, wszędzie roiło się od tych ponurych sił, które żyły w morzu i mogły wywrócić okręt za jednym podmuchem.

Żeglowali już dziesięć dni. Zaniepokojony Sigurd wezwał sternika, żeglarza imieniem Torolv.

— Czy naprawdę posuwamy się do przodu?

— Płyniemy stałym kursem, młody jarlu. Kierunek jest tak dobry, jak tylko można sobie tego życzyć. Wyjrzyj na zewnątrz! Gwiazdy świecą jak szlachetne kamienie na kawałku niebieskiego jedwabiu.

— A jeśli dopłyniemy aż do końca świata... Płynąłeś kiedyś tak daleko, Torolv?

— Tak, jeden, jedyny raz.

Sigurd pochylił się do przodu.

— Jak tam jest?

Torolv wyciągnął przed siebie dłoń: — Jeśli ziemia jest taką płaską tarczą, otoczoną ze wszystkich stron wodami, to jak myślisz, co się dzieje z wodą, która dochodzi do krawędzi tarczy świata?

Sigurd patrzył na niego szeroko rozwartymi oczami.

— Chyba spada w dół. Jak wodospad!

Sternik kiwnął potakująco głową.

— Tak właśnie jest na krańcu świata. Ale wielki wąż z Midgardu, który oplata ziemię i sam siebie gryzie w ogon, utrzymuje większość wody na miejscu.

— Spotkanie z wężem Midgardu nie jest chyba przyjemne?

— O nie, wszystkie straszne nieziemskie istoty wiedzą, że nie jest to przyjemne. Pamię-

tam, raz złapał nas sztorm na pełnym morzu. Fale były wielkie, ledwo mogliśmy się utrzymać relingu. Maszt mało się nie złamał. I nagle zobaczyliśmy dwoje błyszczących oczu, tak wielkich, że sięgały od powierzchni wody aż do nieba. „Rzuć stal!” zawołało coś tuż za mną. Dobyłem miecza i cisnąłem w kierunku, gdzie powietrze było najczarniejsze. Morze gotowało się i syczało, a po chwili rozległ się potężny ryk i wkrótce zapadła cisza. Morze uspokoiło się i pojaśniało. A rankiem spostrzeżliśmy, że płynęliśmy wzdłuż krańców świata. Przepaść, z której wypływa woda, ledwo majaczyła w oddali.

Sigurd drżał. Można się bronić przed wojownikami i napastnikami z krwi i kości, ale przed istotami nadprzyrodzonymi i złymi mocami nie. A od nich aż się roilo w morzu.

Toteż poczuł ulgę, gdy usłyszał wołanie: — Widzę ziemię! Ziemia na horyzoncie!

Był wczesny, czerwcowy ranek. Przed nim leżała zielona wyspa, która była celem ich wyprawy.

Młody jarl niechętnie zgodził się na tę wyprawę.

— Poczekajmy z rok — mówił. — Mamy co robić we dworze.

Ale wojownicy buntowali się.

— Czym się mamy zajmować w domu? Siedzieć w ciepłe, łapać wszy i ssać wędzone owcze kości? Nie, w szerokim świecie możemy naprawdę pokazać, że jesteśmy do czegoś zdolni. Pozwól nam żeglować do Irlandii, jak za czasów starego jarla. Irlandia jest niczym wielka skrzynia pełna złotych i srebrnych skarbów w najmniejszej nawet zatoce.

Do Irlandii, myślał i serce zaczynało mu bić. Widocznie same boginie losu tam mnie kierują...

I stało się. Teraz okręty powoli zbliżały się do wybrzeży Irlandii, a słońce wędrowało po niebie, zataczając łuk ku zachodowi. Pod koniec dnia podpłynęli tak bardzo do lądu, że mogli rozpoznawać małe wiejskie domki pośród zielonych i złotych pól. Zwinięto żagle i okręty dryfowały po spokojnym morzu, dopóki słońce nie zatoneło w wodzie, a na nieboskłonie pojawił się księżyc. Wtedy załoga siadła do wiosł i okręty weszły cicho w głąb zatoki. Tu ludzie wyskoczyli na ląd i wyciągnęli okręty na brzeg. Ciężko było brodzić po mokrym piasku, ale Sigurd szedł krok w krok za Bjørnem Vikingiem i zaciskał ręce na rękojeści topora. Księżyc, jak biała tarcza, świecił na niebie. Słyszał tylko cichutki szcęk broni, ocierającej się o kolczugi, gdy setka zbrojnych skradała się naprzód.

Bjørn Viking zatrzymał się przed niskim ziemnym wałem.

— Pochyl się — szepnął. — Widzisz tego wartownika tam w górze?

Sigurd odwrócił głowę i zobaczył postać na szczycie wału. Strażnik stał dokładnie pod tarczą księżycy i widzieli wyraźnie, że w rękach trzymał wielki oszczep.

— Chodź za mną — powiedział Bjørn i napiął łuk. — Zobaczysz, jak należy się rozprawić z niepożądanymi ludźmi. — Powietrze przeszył świst i mężczyzna upadł na twarz. Tak już pozostał, ze strzałą w piersi.

— Jesteśmy gotowi do ataku — szepnął Bjørn przez zęby. — Już kiedyś byłem w tej wsi. Tuż za wałem stoi duży klasztor.

Wczołgali się na wzgórze i rzeczywiście zobaczyli klasztor. Tak wielkiego budynku Sigurd nigdy jeszcze nie widział. Był zbudowany z kamieni i miał okna ze szkła, które lśniły teraz matowo w księżycowej poświacie. Wewnątrz takiego domu musi być mnóstwo wojowników, pomyślał. Będzie to straszna walka.

Bjørn zwrócił się do Torolva:

— Przedrzemy się do tyłu i tamtędy spróbujemy dostać się do środka.

Pod samym murem rosła wysoka, ostra trawa. Sigurd starał się dotrzymać kroku tamtym. Czołgał się i pełzał, trzymając oburącz broń. Raz wdepnął w jakąś bagnistą sadzawkę i woda ochlapała go do pasa. Stado kaczek zerwało się z krzykiem i łopotem.

Z napięcia kurczy mi się żołądek, myślał Sigurd. Zaciskał ręce aż do bólu. Był teraz

daleko w tyle, za tamtymi. Dyszał i sapał, stojąc wypatrywał Bjørna Vikinga i innych wojowników, którzy właśnie zbliżali się do bramy na tyłach klasztoru.

Nagle w oddali buchnęły płomienie. Wikingowie schwyтали wartownika przy wejściu i wykorzystali jego pochodnię, by podłożyć ogień pod drewnianą bramę. Kilku znalazło pod murem dębowy bal. Chwycili go i z wielkim krzykiem wyważyli nim płonąca bramę. Poprzewracali się jeden na drugiego, ale zaraz znowu zerwali się na nogi i hurmem wpadli na wybrukowany klasztorny dziedziniec. Biegali tam w popłochu ubrani na brązowo mężczyźni z pochodniami w dłoniach. Wikingowie położyli trupem kilku z nich i z wielkim wrzaskiem wdarli się do wnętrza kamiennego budynku.

Sigurd stał ukryty w mroku. Czuł się tak, jakby nogi nie chciały go dalej nieść. Oszalająco pachniały różne zioła i przyprawy w ogrodzie za kamiennym murem. A pod murem leżeli mężczyźni w brązowych płaszczach, wszyscy z ogolonymi głowami i krzyżami na piersiach. Sigurd już przedtem widział martwych ludzi, toteż ci tutaj nie budzili w nim lęku. Ale dziwiło go, że nie mieli broni. Nie wyglądało na to, by mieli w rękach cokolwiek oprócz pochodni.

Wszedł ostrożnie do wnętrza budynku i znalazł się w obszernej, kamiennej halli. Wzdłuż ścian znajdowały się długie ławy, a pośrodku stał wielki, dębowy stół. Leżały na nim naczynia przemieszane w wielkim nieporządku z niedojedzonymi kawałkami chleba. Na dużej tacy wały się resztki gotowanej ryby, a zawartość przewróconego glinianego dzbana wyciekała na podłogę.

Z dala dobiegały go wołania i krzyki. Powoli, z wahaniem, poszedł w tamtym kierunku, kryjąc się w mroku biegnących wzdłuż budynku podcieni. Natrafił na jakieś drzwi, prowadzące do innego pomieszczenia. Ogarnęła go ciekawość. Otworzył drzwi i wszedł do niewielkiej komórki. Przez otwór w dachu światło księżycy padało na kamienną podłogę i złoty krzyż, na którym wisiała ludzka postać w dziwnej koronie na głowie. Ręce i nogi miała gwoździami przybite do krzyża.

To musiał być ten bóg, o którym opowiadała Edda, ów niezwykły bóg, który nie nosi broni, ale który rozporządza taką siłą, że ludzie ku jego czci wznoszą kamienne domy.

Na stole, pod krzyżem, stała szkatułka i misa ze lśniącego srebra.

— Bierz to! — szeptał mu jakiś głos. — Bierz srebro! — Zrobił kilka kroków w kierunku stołu.

Nagle drgnął. Ukryty za drzwiami stał chłopiec. Chłopiec w jego wieku. W białym ubraniu i z krzyżem na szyi. Stał i patrzył, z na wpół otwartymi ustami i przerażeniem w oczach.

— Uciekaj stąd! — krzyknął Sigurd i zamachnął się toporem. Po czym złapał lśniące naczynia i wepchnął pod kurtkę.

W tym samym momencie wrzaski i krzyki rozległy się w podcieniach. Wikingowie byli gotowi do odwrotu. Wpadli do środka, chwycili złoty krzyż i srebrne naczynia. Chłopiec za drzwiami skulił się, a ze strachu oczy o mało nie wyszły mu z orbit.

— Ludzie we wsi nas odkryli — krzyknął Bjørn Viking. — Musimy zmykać do okrętów tak szybko, jak nogi zdołają nas unieść. — Przed małą kapliczką zatrzymał się na moment. — Jest tam coś wartościowego?

Sigurd stał w drzwiach.

— Nie — odparł. — Znalazłem tylko te srebrne naczynia.

Chłopiec za drzwiami osunął się na kamienną podłogę. To była ostatnia rzecz, jaką Sigurd zobaczył, zanim w dzikim pędzie ruszył za swoimi.

Woda zalewała pokład, gdy wikingowie wiosłowali uchodząc z zatoki. Dopiero gdy znaleźli się na pełnym morzu, rozległy się okrzyki zwycięstwa, bowiem zdobycz była bogatsza, niż ktokolwiek mógłby oczekiwać.

— W bogatych okolicach południowej Irlandii czeka nas jeszcze więcej bogactw i złota — powiedział Bjørn Viking. — Lato się dopiero zaczęło!

Torolv wyciągnął Sigurda z namiotu i kazał mu patrzeć w kierunku południowym. W stronę wielkiego skupiska domów, położonych ciasno obok siebie, bielejących w słonecznym świetle.

— Spójrz, tam leży Dublin! — A do ludzi na pokładzie zawołał: — Schować wszelki wojenny rynsztunek. Tutaj musimy przybyć jako ludzie spokojni.

W pośpiechu wszystkie kolczugi, hełmy i broń upchnięto pod pokładem. Wszyscy starannie uczesali włosy i brody i zaśmiewali się do rozpuku, patrząc na siebie nawzajem, tak odmienionych.

— Musimy też prowadzić uprzejme rozmowy — upomniął ktoś — i zachowywać się jak prawdziwi kupcy. Głowy smoków zdjąć z okrętów.

Sigurd nigdy jeszcze nie widział tak wielkiej i pięknej osady handlowej jak Dublin. Z jego małymi i dużymi domami. I z mnóstwem ludzi na ulicach i w zaułkach. A targ w Dublinie! Pełno kolorowych tkanin, i serów, i owoców, ryb i chleba, i żywych zwierząt i ptaków, chrząkających i gdaczących w swoich klatkach. Na rynku kręcili się rozmaici ludzie. Chłopi w grubym odzieniu z wełny, przybyli do miasta na zakupy; kupcy w futrzanych płaszczach i pięknie haftowanej odzieży, rzemieślnicy w roboczych ubraniach, z brudnymi od pracy rękami. Słychać było różne języki. Bjørn i Torolv wdali się w rozmowę z kilkoma kupcami, u których chcieli nabyć towary za część złota wyniesionego z klasztoru,

Wielu ludzi oglądało się za Sigurdem, który nosił niezwykle piękne ubranie i mnóstwo drogich ozdób. Kupcy biegali za nim, proponując mu swoje towary.

— Wejdz do mnie — namawiał jeden z nich, chwytając Sigurda za ramię. — Mam coś rzadko spotykanego i pięknego, co przywozłem z podróży daleko na południe świata. Gdyby tylko młody høvding chciał zapłacić...

Sigurd wszedł za kupcem do ciemnego pomieszczenia i tam dopełnili targu. Sigurd zapłacił srebrną bransoletą i dostał skrzynkę z niebieskim wieczkiem.

— To będzie niespodzianka dla moich ludzi — powiedział, śmiejąc się głośno. — Ale nikt nie zobaczy, co mam w tej skrzynce, zanim nie wrócimy do Norwegii.

Sigurd najchętniej zostałby w tym mieście na długo, ale Bjørn Viking nie mógł usiedzieć na miejscu.

— Podnieść żagle! — rozkazał. — Musimy ruszać dalej.

— Mamy już dość kosztowności — powiedział któryś z młodszych mężczyzn, próbując przekonać starego wikinga. Młodzi myśleli o żonach i dzieciach ciężko harujących w gospodarstwach, gdy ojcowie byli na wyprawie.

Ale Bjørn Viking odpowiadał jedno: — Lato się jeszcze nie skończyło.

Wyruszyli więc na nowe szlaki. Wikingowie żeglowali wzdłuż wybrzeży Irlandii na najlepszych okrętach, jakie istniały na świecie. Pływały lekko po morzu i były tak zbudowane, że mogły szybko podchodzić do brzegu, gdy wikingowie szykowali się do ataku i błyskawicznie się wycofywali po skończonym rabunku.

Głowy smoków znowu umocowano na stewach. Znowu wystawiły swoje rozwarte paszcze na morską bryzę i wiatr.

Jeszcze trzy klasztory zostały splądrowane i spalone. W pierwszym wzięli do niewoli paru młodych mnichów, którzy wyglądali na zdrowych i silnych i mogli się przydać do pracy. W ostatnim pojмали kilkoro dziewcząt i chłopców. Bjørn Viking zacierał ręce. Znowu było tak, jak za dawnych czasów, gdy brał udział w wyprawach ze starym jarlem.

Ale jeden z okrętów po ostatnim napadzie miał ciężko uszkodzony kadłub. Weszli więc do cichej zatoczki i dwóch skutników miało naprawić uszkodzenia.

— Tu niedaleko, za tym płaskim wzgórzem — powiedział Bjørn, gdy wieczorem jedli

mięso i rosół — trzy lata temu wzięliśmy niebywale bogaty łup. Pamiętasz może, Torolv? Podłożyliśmy ogień pod klasztor, a ci głupcy wewnątrz tak się przerazili, że wybiegli nam na przeciw niosąc szkatuły ze szczerego złota i srebrne naczynia. Wystarczyło tylko załadować je na statek.

— We wsi pojмалиśmy też kilku niewolników — mówił Torolv. — Wśród nich dwoje upartych dzieci o płomiennych włosach. Oj, mieliśmy się z nimi! A w końcu i tak uciekli z dworu jarla!

Sigurd nastawił uszu.

— Dostali się na statek płynący do Islandii — podjął Bjørn. — A ktoś opowiadał, że i stamtąd udało im się uciec do ojczyzny. Rozmawiałem z pewnym Islandczykiem, który twierdził, że to prawda.

Torolv prychnął.

— Ludzie dużo gadają. Osobiście uważam, że najpewniej oboje gryzą ziemię.

— A jeśli nie — parsknął Bjørn — to możemy im zaproponować przejazdkę pod żaglami z powrotem do Norwegii...

Obaj mężczyźni rechotali ubawieni, ale Torolv rzekł:

— Myślę, że najlepiej będzie trzymać się z daleka od tych okolic. Widzisz tę wysoką wieżę za drzewami? Tego tu nie było, gdyśmy ostatni raz odwiedzali to wybrzeże.

— Na oko Odyna! Ty naprawdę masz rację! Zbudowali wieżę strażniczą! Tak, będzie lepiej jeśli zostaniemy w zatoce. — Bjørn ziewnął szeroko i pogładził brodę. — I chyba nie zaszkodzi solidnie się wyspać przed drogą.

Ale Sigurd poczołgał się na skraj lasu.

Ostatnie promienie słońca padały na wieś, na kryte słomą dachy, pasące się krowy i owce. Zagrody były małe i podobne do siebie. W każdej stał dom mieszkalny i kilka mniejszych budynków dla zwierząt. Wszystko zbudowane z plecionej wikliny oblepionej gliną, otoczone niskimi płotami, przy których gęsto rosły krzewy wierzby i głogu. Na południe od wsi leżał klasztor. Białe lśnił świeżo położony dach. Sigurd nie miał już żadnych wątpliwości. Wszystko było tak, jak w opowiadaniach Reima i Tir.

Reim i Tir... Mnóstwo myśli tłoczyło mu się do głowy. Myśli pełnych tęsknoty i oczekiwania, a także napięcia i radości. Musiał ich znowu zobaczyć. Czyż nie liczył na to w tajemnicy przez cały ten czas? Czyż nie dlatego zgodził się na udział w wyprawie do Irlandii? Żeby znowu zobaczyć Reima i Tir.

Oglądał się za siebie przez ramię. Wikingowie weszli już na pokład. Lekki dym unosił się z niewygaszonego ogniska na brzegu.

A gdyby tak odważył się przejść przez las? I przedostać się na drugi skraj wsi, jak najdalej od zatoki...

Pobiegł kawałek między drzewami. Las był gęsty, kępy leszczyny rosły między starymi dębami, ciasno oplecione bluszczem. To był zaczarowany las. Las trolli. Tutaj Reim i jego siostra bawili się jako dzieci. Wśród czarodziejskich, powyginanych gałęzi bawili się w rozbójników i strzelali z łuku. Nim zabawa nie stała się rzeczywistością i oni sami nie zostali uprowadzeni z ojczyzny przez bandę wojowniczych nordyckich wikingów.

Sigurd przemyczał od pnia do pnia. Znajdował się teraz na tyłach klasztoru, bardzo już blisko wsi. Widział wyraźnie kobiety zaganiające przed wieczorem krowy do domu. I dzieci wpędzające owce do dużej zagrody. W pewnej chwili podniósł wzrok na wysoką, kamienną wieżę. Na szczycie był otwór, ale nie widział, czy wewnątrz jest strażnik. Było za ciemno.

Podczołgał się do kamiennego ogrodzenia i próbował zobaczyć, co dzieje się w zagrodzie dla bydła. Biegały tam dzieci o ciemnych i jasnych włosach, ale dwojga rudych nigdzie nie widział.

Kilka kroków od niego przeszła kobieta, zrywająca garściami trawę.

Może mógłbym kogoś zapytać, myślał Sigurd, usiłując przypomnieć sobie te trudne, irlandzkie imiona, które dzieci nosiły, zanim zostały niewolnikami w Norwegii.

Poszedł za kobietą, która weszła do zagrody położonej przy murach klasztoru. Gdybym się pospieszył, myślał, to wślizgnąłbym się do zagrody, nim ktokolwiek by mnie zobaczył. Przywarł do ściany budynku, stał bez ruchu i nasłuchiwał.

I wtedy stało się coś strasznego. Na skraju lasu rozległ się głośny krzyk. Jakiś gromki męski głos wołał go po imieniu. Sigurd odwrócił się i zobaczył pod lasem całą drużynę wikingów, na niespokojnych koniach, z bronią w rękach. Serce chłopca na chwilę przestało bić. Zapomniał, że wojownicy czuwają bez przerwy. Gdy odkryli, że młody jarl zniknął, natychmiast wyruszyli na poszukiwanie. Ukradli konie i pogalopowali na nich przez las. A teraz Bjørn Viking zobaczył go zbliżającego się do wsi.

Gdy tylko wikingowie się ukazali, w spokojnej osadzie opodal klasztoru wybuchł alarm. W górze, na wysokiej wieży zaczął bić dzwon i, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystkie dzieci i kobiety zniknęły. W centrum wsi zebrała się gromada chłopów. Mieli rosłe konie, uzbrojeni byli w łuki i bardzo ostre, chłopskie siekiery. Strzały zaświstały w powietrzu, ludzie krzyczeli, konie stawały dęba i rżały. Kilku wikingów runęło na ziemię, głowami w dół, ze strzałami w piersiach.

Pozostali odwrócili się i skoczyli do ucieczki, ale odkryli, że irlandzcy chłopcy depczą im po piętach z ostrą, śmiertelnie niebezpieczną bronią. Nie było strachu w tych ludziach. Bronili swojej rodzinnej wsi, która już raz została splądrowana i spalona. Teraz znowu znalazła się w niebezpieczeństwie. Było to tak, jakby wszyscy oni siedzieli ukryci za klasztornym murem i tylko czekali, czy nie pojawią się wikingowie.

Zrobił się wielki tumult, gdy obie grupy ludzi i koni starły się ze sobą. Wikingowie w dzikim popłochu uciekali w stronę okrętów.

A zaraz potem Sigurda otoczyła gromada rozwścieczonych mieszkańców na koniach. Jechali wprost na niego z wyciągniętymi dzidami. Wyglądało na to, że przywódcą jest wielki, rudobrody chłop imieniem Neal.

On to ustawił Sigurda przed swoim koniem i popędzał go okrytą już wieczornym mrokiem drogą do wsi. Zebrało się tam mnóstwo ludzi. Mieli groźne twarze, w rękach trzymali kamienie i otaczali chłopca coraz ciasniej, wykrzykując słowa, których nie rozumiał. Gdy w odruchu samoobrony chciał wyjąć zza pasa topór, chyba ze sto rąk wyciągnęło się błyskawicznie, by powstrzymać broń. Jeden z chłopów szarpnął jego srebrny pas, zerwał i odrzucił daleko. Ktoś inny chwycił pozłacaną szpilkę, przypiętą do płaszcza, a zaraz potem poczuł, że coś zaciska mu się na gardle. Znak Odyna... Znak Odyna, który dostał od ojca... Tego nie dostaną nędznicy. Sigurd przyciskał do siebie znak Odyna i osłaniał twarz rękami. Wtedy silne dłonie pochwyciły go i pociągnęły drogą. Wśród kopniaków i poszturchiwań został doprowadzony do niskiego budynku i wtrącony do mrocznego wnętrza. Drzwi zamknięto na wielki, żelazny zamek.

Nigdy jeszcze Sigurd nie bał się aż tak. Stał w głuchym, ciemnym pomieszczeniu, a z zewnątrz drągami, rękojeściami dzid i styliskami siekier bębniło w drzwi. Najgorsze jednak było to, że zamknęli go razem z wielkim psem, który warczał i szczyrzył wilcze kły, gdy tylko Sigurd uczynił choćby najmniejszy ruch.

Tłum za drzwiami długo krzyczał i hałasował, powoli jednak uspokajało się, aż w końcu zapadła cisza. Oczy psa lśniły w ciemności. Sigurd przywarł do drzwi i stał cichutko jak mysz. Wkrótce zauważył, że w dębowych drzwiach jest wąska szczelina. Widział przez nią jakieś domy. Nad dachami unosił się dym, koło jednego budynku bawiły się koty. Niedaleko drzwi Sigurdowego więzienia stał wartownik trzymający oburącz wielką siekiere o szerokim ostrzu.

Czas włókł się niemiłosiernie. Jakby to trwało miesiące i lata. Rozumiał, że chłopcy zdołali odpędzić wikingów, którzy musieli wrócić na swoje okręty. Ta świadomość sprawiała,

że robił się sztywny ze strachu. Może Bjørn i pozostali już dawno postawili żagle i odpłynęli. A on zostanie w tym kraju, otoczony samymi wrogami. Zaciskał dłonie na znaku Odyna. Ale było tak, jakby amulet nie miał już dawnej mocy. W tym kraju panował inny bóg.

Był tak zmęczony, że w każdej chwili mógł się osunąć na ziemię. Oczy kleiły się i musiał się mocno trzymać dębowych drzwi, by nie zasnąć. Nagle jednak wyprostował się. Serce zabiło mu gwałtownie. Teraz zobaczył jeszcze jednego człowieka. Szli, żeby go zabić, tego był pewien.

Uderzył w drzwi, a pies wyszczerzył zęby i chwycił rzemienie u jego butów.

— Sigurd!

Za drzwiami dał się słyszeć wysoki głos i drugi, trochę niższy. Głosy, które znał! Drogie, dobre głosy!

— Reim i Tir? Czy to naprawdę wy?

— Mamy teraz na imię Patric i Sunniva. Nie masz prawa nazywać nas niewolniczymi imionami. Tu w Irlandii jesteśmy wolnymi ludźmi. Święty Patryk pozwolił nam wrócić do ojczyzny.

— Jak mnie odnaleźliście — szepnął Sigurd, a serce biło mu mocno.

— Widzieliśmy, że chłopci cię pojмали. Pełniliśmy z ojcem wartę na wieży dzwonnicy. To nasz ojciec cię tutaj przyprowadził.

— Wypuście mnie, żebym mógł wrócić na okręt — szepnął Sigurd.

— Tego nie możemy zrobić. Tej nocy wszyscy we wsi mają oczy i uszy otwarte.

Sigurd czuł, że dławi go płacz.

— Jest tu straszny pies. Warczy i chce mnie ugryźć. Tak się boję...

— Kiedy byliśmy niewolnikami w Norwegii, Orm Viking okładał nas kijem gdzie popadło — odparła Sunniva. — Był groźny i okrutny, gorszy od dzikiego zwierzęcia.

— Wypuście mnie! Pomóżcie mi się stąd wydostać!

— Nie zasługujesz na to, Sigurd. Przybyłeś tu znowu, żeby nas ograbić. Żeby plądrować nasz biedny kraj. Myśleliśmy, że cię znamy, ale widać, był to błąd.

— Nie rozumiecie mnie. Syn jarla jest jak niewolnik. Muszę robić to, czego ludzie ode mnie oczekują! To boginie losu decydują. Kiedy protestuję, zmuszają mnie. Tak jakby mnie brały za kark i prowadziły. Nie mam wyboru... — Głos Sigurda się załamał.

Przez szparę w drzwiach zobaczył oko, poznał Patrica.

— Ojciec najchętniej by cię zabił — szeptał tamten w szparę. — Chce się zemścić za to, że zostaliśmy porwani i wtrąceni do niewoli. Ludzie we wsi też są pełni gniewu i myśli o zemście. Może będą chcieli cię sprzedać w Dublinie jako niewolnika. W naszym kraju także są niewolnicy.

Serce Sigurda zamarło. Słone łzy spływały z oczu do warg.

— Zawarłeś ze mną braterstwo krwi, Patric. Zapomniałeś?

Oko po drugiej stronie szczeliny drgnęło. Po chwili Patric powiedział szeptem:

— Nie odważyłeś się walczyć z wielkim smokiem.

Sigurd oddychał ciężko.

— Ze smokiem z sagi o Sigurdzie?

— Z żadnym — szeptał Patric. — Ze wszystkich sag i baśni. I z rzeczywistości.

Wartownik przy narożniku poruszył się.

— Jest tam kto? Odpowiadać!

Sigurd słyszał lekkie, oddalające się kroki. Dwie postacie jak szybkie ómy biegły między domami; wkrótce pochłonęła je nocna ciemność.

Musiał spać dość długo, bo gdy otworzył oczy, słabe promyki światła sączyły się przez szpary w dębowych drzwiach. Był zamknięty chyba w owczarni o grubych murach, ale bez otworów okiennych i dymnika w dachu.

W kącie stał pies i przyglądał mu się żółtymi ślepiami.

Nagle zazgrzytał zamek w drzwiach i do środka weszło z hałasem czterech rostrych mężczyzn. Na czele szedł Neal. Szturchnął Sigurda ostrzem dzidy i dał znak, że ma wstać i iść za nimi.

Na zewnątrz świeciło ostre słońce. Sigurd musiał przesłonić oczy. Znalazł się wśród tłumu ludzi z kosami na ramionach i kamieniami w rękach. Nie różnili się od chłopów w Norwegii, gdy szykują się do żniw. W ciągu nocy musiało się jednak coś stać, bo ich twarze nie były już tak groźne jak wczoraj, ów rudobrody chłop poszedł do domu i po chwili przyprowadził dwoje swoich najstarszych dzieci. Coś im powiedział i prosił, by przetłumaczyli jego słowa na język norweski.

Sigurd zdziwił się, gdy zobaczył ich w pełnym świetle dnia. Patric urósł. Był teraz wyższy i zmężniał. Sunnive poznałby łatwiej. Ale jej twarz się zmieniła, była jakaś taka czujna, jakby się czegoś obawiała. Oczy rzadko patrzyły spokojnie. Podeszła parę kroków i rozmawiała z ojcem. Dopiero teraz Sigurd usłyszał, co się stało.

W nocy, mimo silnych straży, wikingowie zdołali uprowadzić dwie młode dziewczyny, które trzymali na pokładzie okrętów. Gotowi byli jednak zwrócić im wolność w zamian za młodego jarla. Ludzie ze wsi zgodzili się na to, ale pod pewnym warunkiem. Żądali mianowicie, by całe złoto i wszystkie kosztowności, jakie wikingowie mieli na swoich okrętach, zostały zwrócone irlandzkim klasztorom. I powinni też natychmiast oddać konie.

Sigurd kiwał lekko głową potwierdzając, że rozumie. Wobec tego ruszyli w drogę. Najpierw Neal, potem Sigurd na niskim koniu, z dłońmi nadal mocno spętanymi rzemieniem. W bezpiecznej odległości za nimi jechali Patric i Sunniva.

Od strony wybrzeża zbliżał się ku nim orszak wikingów. Niewolnice były sznurem przywiązane do konia Bjørna Vikinga, a kilka innych koni niosło juki ze złotem. Po jednej stronie stali chłopci z motykami, drągami i ostrymi siekierami, po drugiej wikingowie, tuż za Bjørnem, ze lśniącymi mieczami i oszczepami.

Nadeszła chwila wymiany jeńców. Irlandzkie dziewczyny z płaczem rzuciły się w ramiona rodziców. Bjørn zdjął skrzynię z końskiego grzbietu i natychmiast dwóch Irlandczyków podbiegło, żeby ją odebrać.

— Teraz wasza kolej — krzyknął Bjørn ostrym głosem. — Puśćcie jarla Sigurda wolno!

Neal podjechał do Sigurda i rozciął sznury na jego rękach. Dał znak, że chłopiec może się przesiąść na siwego konia, którego Bjørn przyprowadził ze sobą. Sigurd wskoczył na konia, wyjął coś spod kurtki i wyciągnął w stronę Patrica. Tym, którzy to widzieli, zdawało się, że jest to pięknie wyrzeźbiony w drewnie smok. Patric wsunął go szybko pod pas i prawie niezauważalnie skinął głową.

Tymczasem Sigurd zawrócił konia i skoczył z miejsca. Razem z Bjørnem Vikingiem i pozostałymi wojownikami ruszyli teraz w zawrotnym pędzie ku zatoce, gdzie czekały okręty.

Już z pokładu Sigurd spoglądał na wysoki brzeg. Neal nadal siedział nieporuszony na swoim koniu, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Póki życia, będzie płonął nienawiścią do ludzi z północy, w to Sigurd nie wątpił.

Ale Patric i Sunniva? Ledwie rozpoznawał ich tam na górze. Siedzieli oboje na siwym koniu, a ich włosy lśniły w słońcu jak miedziane hełmy. Kiedyś powiedział im, że bardzo by chciał zostać rzeźbiarzem i żyć wolny jak wiatr. Tak jak Torarin. Ale czy wierzyli, że on naprawdę tak myśli? Coś dziwnego dźwięczało mu w uszach, jakby ktoś do niego mówił. Zdawało mu się, że słyszy głos Eddy:

— Musisz walczyć, Sigurd! Walczyć!

Dlaczego przypominał sobie te słowa właśnie teraz?

Ludzie założyli wiosła i byli gotowi do drogi.

Wtedy Sigurd zawołał:

— Rozwiązać wszystkich niewolników!

Wikingowie spoglądali niepewnie jeden na drugiego, ale trzymali wiosła w bezruchu.

— Robić, co mówię! — zawołał znowu Sigurd. — Uwolnić niewolników!

Björn Viking ściągnął brwi i podszedł do niego.

— Twój młody wiek, panie, sprawia, że nie rozumiesz. Ale posłuchaj człowieka, który od małego bierze udział w wyprawach. Spójrz na tych silnych mężczyzn, i na te wszystkie dzieci...

— Rozwiązać ich, powiadam!

— Zły duch opętał chłopca — zawołał Björn, chwytając się za włosy.

— Może młody jarl obawia się, że to niebezpiecznie wyprawiać się w drogę z tyloma niewolnikami na pokładzie — szepnął Torolv. — Ale przecież wielu wojowników straciliśmy w walkach... — Zaczął rozcinać sznury i kopniakami dawał niewolnikom do zrozumienia, że mają się zabierać na ląd. — Moglibyśmy chociaż zatrzymać dzieci...

Sigurd znowu popatrzył w stronę wysokiego brzegu. I poczuł, że przenika go radosne ciepło. Teraz ci tam, na górze, unieśli ręce i dali mu znak. Patric trzymał wysoko nad głową małego smoka jak symbol zwycięstwa. I Sigurd wiedział, że właśnie tę chwilę zapamięta na zawsze. Nigdy ich już nie zobaczy. Tylko w snach i w dobrych myślach.

Patrzył i patrzył w ich stronę, dopóki nie zniknęli w czerwonym, migotliwym blasku słońca.

— Mamy wiatr w żagle — wołał Björn Viking. — Wieje ku północnemu zachodowi. — Ale sam do siebie burczał: — Więcej niż trzydzieści razy byłem na wikińskiej wyprawie, ale nigdy z gorszym skutkiem niż teraz.

Dłubał drzazgą w dziurawym zębie i mówił: — Za moich młodych lat nigdy tak nie bywało. Zapamiętaj to sobie, Torolv. W czasach, kiedy zarost ledwie puszką sypał mi się na brodzie, a mięśnie jak stal napinały się pod bluzą.

— Tak, to były czasy... — Torolv drapał się po brzuchu, bo ugryzła go pchła. — Ho, ho! Wtedy ludzie zmykali jak przerażone byki, kiedy widzieli nasze okręty wchodzące do zatoki.

— Teraz wszystko jest inaczej — westchnął Björn. — Niewiele będziemy mieli do opowiadania w domu o naszej wyprawie na zachodnie szlaki. Tych parę srebrnych monet to niewiele, by rzucić na stół. Nikt się nie powstrzyma od śmiechu, słysząc o tych wszystkich kosztownościach, które przepadły.

Wciąż mieli wiatr w żagle i szybko dopłynęli do Norwegii. Wikingowie wyciągnęli okręty na ląd i splądrowali kilka dworów na wybrzeżu, ale zdobycz była marna. Ale radości dostarczył im widok płonących domów i uciekających w popłochu ludzi. Na noc schronili się w ciemnej zatoce, a następnego dnia okazało się, że boginie losu jednak im sprzyjają. Zdobyli obcy wikiński statek, który wracał z wyprawy wypełniony skarbami. Trzej ludzie jarla zginęli w walce.

— Ale wszyscy byli już starzy — powiedział Torolv — więc i tak wkrótce znaleźliby schronienie u Ody na Walhalli.

W domu matka powitała go łzami radości, a mała siostrzyczka zarzuciła mu ręce na szyję i ugryzła w policzek. Grane wyrósł na dużego i silnego konia, a w ciągu lata został znakomicie ujeżdżony. Sigurd natychmiast wskoczył na siodło, by go wypróbować. Długo jeździł po placu i po lesie.

W halli przygotowano powitalną ucztę. Nie mogą na niczym oszczędzać, myślał Sigurd, ani na jedzeniu, ani na piciu. Przyglądał się swoim ludziom, siedzącym na ławach, po obu stronach honorowego miejsca. Z rogów miód szybko znikł i równie szybko napełniono je ponownie. Wkrótce niektórzy zaczęli wspierać głowy o sąsiadów. Inni długo i starannie ogryzali wieprzowe i baranie kości.

— Zagraj na swoim flecie, Håvard — nalegali młodzi chłopcy. — Graj wesoło, byśmy

odrzućili bolesne myśli!

Większość odczuwała jednak, że czegoś brak po tej wyprawie.

To nie tak jak w czasach jarla Håkona. Wtedy, gdy wikingowie wracali z wyprawy, było tyle życia i radości. I tyle niezwykłych rzeczy do oglądania. Tym razem nie było nawet najmarniejszego niewolnika, którego mogliby ocenić i zabawić się jego kosztem.

Ale oto Sigurd klasnął w dłonie i wszyscy spojrzeli na niego zaciekawieni. W drugim końcu halli otworzyły się drzwi i weszło dwóch ludzi, niosąc między sobą klatkę. Nikt nie widział co było w środku. Wydawało się tylko, że coś się tam porusza. Jakieś niezwykle zwierzę, szeptali zgromadzeni. Niezwykle, baśniowe zwierzę, które młody jarl przywiózł z obcych krajów. Dwaj ludzie z klatką stanęli pośrodku halli i podnieśli ręce w górę.

W tej samej chwili do wnętrza wbiegł tłum niewolników z pochodniami w dłoniach. Zrobiło się jasno jak w dzień.

Ludzie wstrzymali oddech ze zdumienia: w klatce siedział ptak! Ptak o małej głowie, w której, jak paciorki błyszczało dwoje promiennych oczu. Od grzbietu w dół ptak pokryty był wielkimi, wspaniałymi piórami, które lśniły wszystkimi kolorami tęczy. Jak kamienie na morskim dnie, gdy słońce prześwieca przez lustro wody, jak zielony mech, jak błękitne niebo. Pióra były tak długie, że wysuwały się między prętami klatki i spływały aż na podłogę, mimo że wojownicy trzymali klatkę wysoko w górze.

Zebrani w sali wydali cichy okrzyk zachwyty.

— Nikt nigdy w naszym kraju takiego ptaka nie widział — powiedział Sigurd. — To najdroższy ze skarbów, jakie przywieźliśmy do domu. Kosztował mnie ciężką bransoletę ze srebra! Chcę go ofiarować mojej małej siostrze. Wypuścić go!

Drużynicy otworzyli drzwi klatki i natychmiast odskoczyli na boki. Wszyscy się cofnęli i patrzyli na ptaka, który kroczył po podłodze z ogonem rozpostartym jak wielki wachlarz. Iskrzyło się, lśniło i błyszczało niewiarygodnie. To był czarodziejski ptak. Stworzenie z baśni albo sagi.

Ptak odszedł powoli do najbardziej mrocznego kąta w halli. Wtedy wyszła ku niemu ubrana na białą dziewczynka. Gaworzyła rozradowana i chwyciła ptaka za pyszne pióra. Wszyscy zaczęli się śmiać, bo do tej pory żaden z dorosłych na nic takiego się nie poważył.

W przyszłym roku pojedę na handlową wyprawę, myślał Sigurd, patrząc na ptaka o promiennych oczach. Będę żeglował do wielkich placów handlowych na statkach wypełnionych skórą i innymi towarami. Zastanawiał się, jak nakłoni do tego wojowników. Mężczyzna jest stworzony do walki, powiedzą. Łatwiej jest ukraść złoto, niż kupić za własne towary.

Przywołał starego Håvarda.

— Bjørn Skald leży pijany i bełkocze coś pod ławką — roześmiał się. — Więc ty, Håvardzie, nie możesz teraz poprzestać na samej grze. Zaśpiewaj nam pieśń, która by została w naszej pamięci!

Håvard powoli zbliżał się do paleniska. Odwrócił się plecami do ognia. Cienie tańczyły po ścianach i Håvard zaczął deklamować:

*Wikinga, który poległ w boju,
Będą ludzie pamiętać
Jeszcze długo po śmierci.
Ale najdłużej w ludzkich myślach
Żyje nie ten, kto przewodzi wojom,
Lecz kto służył mądrym słowem.
Każdy wojownik wie,
Że dobre myśli nie umierają nigdy.*

Bogowie, którzy rządzą słońcem, deszczem i obłokami na niebie, byli tego roku w

dobrym nastroju. Na polach stały dojrzałe, złote zboża, a niewolnicy zaczynali już młockę. Rytmiczne łup-cup, łupu-cupu słyszało się po całych dniach. Ziarno należało oddzielić od plew i załadować do dużych skrzyń. W zimie zostanie zmielone na mąkę.

W halli jednak wdowa po jarlu z pomocą niewolnic pakowała swój dobytek — pościel i sprzęty domowe. Mała córeczka kręciła się przy nich i wyciągała na powrót różne rzeczy ze skrzyń.

— Nie rób tego — wzdychała matka. — Musisz być grzeczną dziewczynką. Teraz, gdy twoja matka wychodzi za mąż. — Wzięła dziecko na ręce i zawołała do niewolnic: — Wynosić skrzynie! Postawcie je tymczasem w spichlerzu. I pamiętajcie, by na jutro było gotowe świąteczne jedzenie. Wyruszam z orszakiem do dworu Skjeggego.

— Musisz jechać, matko?

Sigurd siedział na ławce. Wziął na ręce siostrzyczkę. Dotychczas traktował ją jak natrętą, dokuczliwą muchę. Teraz dostrzegł, jaka była pulchna i sympatyczna. Śmiała się i chichotała, ciągnęła go za uszy.

— Jesteś już duży, Sigurd. Prawie dorosły. I nie będziesz przecież tu we dworze sam. Wszyscy druznynicy są tutaj, i Bjørn Viking pomoże ci zarządzać majątkiem. — Sigurd mocniej objął siostrę. — I dwory nasze leżą niedaleko od siebie — mówiła dalej matka. — Dzieli nas tylko Straszna Góra. — Sigurd, przytuliwszy policzek do głowy siostry, patrzył w ogień. — Poza tym... — zaczęła znowu. — Poza tym może się przecież zdarzyć, że wkrótce ty sam weźmiesz sobie żonę, która zostanie panią tego dworu.

Chłopiec zerwał się z ławy i posadził siostrę na podłodze. Podszedł do paleniska, splunął w płomień i wyszedł z halli.

Sigurd długo gładził pień starego dębu, potem wdrapał się na niego i ukrył w zielonym gąszczu liści. Słońce chyliło się ku zachodowi, lada moment miało się schować za górami.

Coś się ze mną stało, myślał. Wszystkie te dziwne głosy umilkły. Nie ma już tych niepojętych, tajemniczych zjawisk, które dawniej zdarzały się tu, w lesie. Ravnejenta... Od czasu do czasu myślał o niej. Była częścią owej tajemniczości zaczarowanego lasu. A teraz jej nie było.

I Reim... Pamiętał, jak siedzieli tu obok siebie w dziupli dębu.

I pamiętał tamto dziwne i obce uczucie: jeden był synem jarla, drugi — niewolnikiem. Cudownie było przestawać razem. Sami w lesie, na drzewie, ukryci w zielonych liściach. Spojrzał na bliźnę na serdecznym palcu. Tam się zaciął, gdy zawierali braterstwo krwi. Ranka już dawno się zagoiła, teraz została tylko biała kreska.

Wszystko się zmieniło. Nie mógł już uciekać od świata i kryć się w gęstej koronie drzewa. Był dorosły. I to on rządził we dworze. To on podejmował wszystkie decyzje. On był jarlem.

Słońce rzuciło ostatnie promienie zza Strasznej Góry. Sigurd zsunął się z drzewa, szczerzej otulił płaszczem i ruszył wąską ścieżką, która wiodła do kamiennego domu przy moczarach.

Pochylił głowę i wszedł do niskiego pomieszczenia. Zrazu trudno było cokolwiek zobaczyć. Niewolnicy już spali, ale zerwali się zaraz na tak nieoczekiwaną wizytę.

— Zapalcie światło — powiedział Sigurd.

Teraz mogliby mnie zamordować, pomyślał. W tych ciemnościach. Ale wiedział, że to głupio tak myśleć. Niewolnicy nic mu nie mogli zrobić. Niewolnicy nie mogli nic zrobić wolnemu człowiekowi.

Usłyszał głos Kumby:

— No zapalcie jakieś światło. To młody jarl!

Sigurd oparł się o drzwi. Czuł się jakoś niepewnie. Widział przed sobą zacięte, groźne twarze. Szukał słów i starał się wyglądać godnie.

— Teraz we dworze złączą się nowe czasy. Illugowie wzięli Orma Vikinga do niewoli. Chcę znaleźć kogoś na jego miejsce, kto będzie was nadzorował i kierował pracą.

— Kto to jest? — szepnęła Kumba. — Jeszcze jeden, co będzie bił, kopał i ciął batogiem i nigdy nie powie dobrego słowa.

— Ten którego wybrałem, nie ma ręki, w której mógłby trzymać bat. Nazywa się Håvard. — W pomieszczeniu zaległa cisza. — Håvard będzie decydował — powiedział Sigurd — jak ma być uprawiana ziemia i gdzie co siał wiosną. Nim zaczął jeździć na wikingi-
skie wyprawy, był bardzo zdolnym gospodarzem.

— Bóg musiał wysłuchać naszych prośb — szeptali niewolnicy. Ale twarze pozostawały podejrzliwe i niepewne.

— Jeśli będziecie dobrze wykonywać poleconą pracę, to dam wam po kawałku ziemi, na której będziecie pracować sami dla siebie i którą z czasem otrzymacie na własność.

Wśród niewolników zaległa jeszcze głębsza cisza. Niektórzy z młodszych uchwycili się tej nadziei, ale starsi nie mieli odwagi uwierzyć w to, co mówił syn jarla.

— Młody jarl wypił za dużo miodu w halli — powiedział ktoś, gdy Sigurd był już za drzwiami. — Gdybym był pewien, że wojownicy nie czają się za rogiem, to bym mu złamał kark i spuścił go z wysokiego brzegu, głową w dół.

— Nie zapominaj — powiedziała Kumba w zamyśleniu — że to niewolnica opiekowała się Sigurdem od chwili, gdy opuścił łono matki.

Następnego dnia Sigurd dosiadł swego konia Grane. Jechał tuż za matką. Obok jedna z niewolnic trzymała przed sobą na koniu córeczkę jarla, a za nimi podążył liczny orszak ludzi i koni, wiozących ciężkie juki oraz wielkie mnóstwo skrzyń i szkatuł. Kłusem przemierzali las. Obłoki płynęły po niebie, zapowiadając deszcz, ale w końcu przedarło się przez nie słońce. Gdy jechali przez góry, oświetlało rude wrzosi i złote, drżące liście osik.

Pod wieczór dotarli do sąsiedniej wsi na północy. Leżał tam dwór Skjeggego z rozległymi, pięknymi zabudowaniami. Do przyjezdnych podbiegli niewolnicy i wzięli konie. Na dziedzińcu stali fleciści, ludzie śpiewali i tańczyli z pochodniami w dłoniach. Pośrodku pieczono na rożnie wielkiego wołu.

— Witam we dworze, małżonko — wołał Skjegge i przytulił brodę do jej policzka, a ona śmiała się radośnie. Nosiła dziś wspaniałą, czerwoną suknię z mnóstwem podzwaniających ozdób na piersi.

Odbyła się uczta, której Sigurd nie miał nigdy zapomnieć. Ponad dwieście osób zebrało się na dziedzińcu. Wiele jedli, pili jeszcze więcej, a potem spali ciężkim, pijackim snem. Wesele trwało całe trzy doby. Dopóki z tamtej strony Strasznej Góry nie przybył w panicznym pośpiechu jeździec, który na spienionym koniu przedarł się przez tłumy świętujących, rozbawionych ludzi i zawołał:

— Illugowie napadli na ludzi z dworu jarla. Nad Trollfiordem!

— Nie danym nam było długo się bawić na weselu — powiedział Skjegge do młodej żony, uśmiechając się przez zaciśnięte zęby. — Ale urządzać wesele, to to samo, co wabić nieproszonych gości. Dlatego moje okręty stoją przygotowane tuż za cyplem. Ruszamy natychmiast. Włóż kolczugi i przygotować broń!

Sigurd pożegnał się z matką. Była blada i opierała się o futrynę drzwi.

— Walcz z honorem, synu, aby bogowie mogli być z ciebie dumni. — Podeszła blisko do niego i zmrużyła oczy. — Nie zapominaj swego brata, który w tak młodym wieku został zamordowany przez Illugów. Nie zapominaj o zemście: to byłoby piękne wiedzieć, że Tord Illugesson nie żyje!

Sigurd ścisnął rękojeść miecza, który dostał od ojca, i wskoczył na koń. Była ciemna noc. Niewolnicy, niosąc pochodnie wysoko nad głowami, oświetlali drogę do wybrzeża, gdzie

stały drakkary gotowe do drogi. Skjegge wprowadził ludzi na pokład, uzbrojonych wojowników ukryto w pokładowych namiotach.

Sigurd klepnął Granego w kark.

— Wracaj do domu — szepnął. — Biegnij przez góry, może się spotkamy.

Ludzie chwycili za wiosła i okręty powoli ruszyły. Morze było tak spokojne, że przez całą drogę zdani byli tylko na wiosła. To była ciężka wachta. Całe szczęście, że było ich wielu i mogli się często wymieniać.

Zgaszono pochodnie. Teraz tylko księżyc świecił nad połyskującą wodą. Oprócz miarowych uderzeń wiosła nic nie zakłócało ciszy.

Okrążywszy cypel zobaczyli okręty Illugów i okręty z dworu jarla. Usłyszeli krzyki i odgłosy walki. Illugowie wdarli się na jeden z okrętów jarla i wycinali załogę w pień. Ranni przechylali się przez reling i wpadali do wody z głuchym pluskiem. Niektórym udawało się dopłynąć do brzegu, większość jednak przepadała w zimnych falach i tonęła. Wojownicy jarla byli w niebezpieczeństwie.

Teraz na pomoc przybywał Skjegge. Jego ludzie wiosłowali tak, że spieniona woda kłębiła się wzdłuż burt. Krzyczeli wojowniczo i udało im się staranować jeden z okrętów. Załoga została wrzucona do morza, niektórzy próbowali dostać się na inny okręt.

— Tam dalej jest drakkar høvdinga — krzyknął Skjegge. Pokazywał duży okręt z głowami smoków, który w bladym świetle księżyca wyglądał jak ciemny potwór. Ludzie znowu chwycili za wiosła i teraz Sigurd wyraźnie widział Torda Illugessona na mostku, w lśniącym, stalowym hełmie na głowie. Z okrętu Skjeggego wysłano ku tamtym deszcz strzał. Sigurd także napiął łuk i celował najlepiej, jak potrafił. Okręty sunęły ku sobie, coraz bliżej i bliżej.

Płonąca strzała z okrętów Illugów przeleciała w powietrzu. Za chwilę kolejna zapalona strzała ze świstem wbiła się w maszt nad głową Skjeggego.

Okręt w ogniu! Ludzie, którzy stali najbliżej masztu odrzucili miecze i oszczepy i wskoczyli do wody, by ratować życie. Wioślarze pracowali jak szaleni, by znaleźć się jak najbliżej ładu.

Sigurd chwilę stał bezradny. Wszystko wokół niego płonęło z trzaskiem. Potężne płomienie ogarniały już stewy, rzucały się na poszycie burt i pełgały u podnóża masztu. Wciąż jeszcze widział Torda Illugessona, stojącego na mostku. Sigurd posłał kolejną strzałę w tamtą stronę.

Gorąco od ognia ogarniało go coraz bardziej. Posłał jeszcze jedną strzałę. Wbiła się w tarczę Torda, ale jemu samemu nie uczyniła nic złego.

W tym momencie zajął się wielki żagiel. Płomienie wystrzeliły w górę oświetlając powierzchnię morza. Z krzykiem przerażenia reszta załogi skakała do wody. Wkrótce potem duży maszt runął. Padał z łoskotem, a iskry buchnęły wysoko w górę.

Upadek do lodowatej wody był jak szok. Sigurd, płynąc do brzegu, odrzucił łuk i strzały, ale ostry topór przyciskał do piersi. Miecz także miał u pasa.

Morze gotowało się, a strzały padały jak grad wokół uciekających. Sigurd wydostał się na brzeg i po ostrych kamieniach czołgał się jak najdalej od wody. Powoli na wschodzie robiło się jasno, ale niebo było niskie, szare, ciężkie od deszczu. Był tak zmęczony, że najchętniej położyłby się z twarzą w piasku. Ale musiał iść dalej. Dalej!

Z bijącym sercem zobaczył, że okręt Torda przybija do brzegu. Gromada wojowników Skjeggego natychmiast wdarła się na pokład z obnażonymi mieczami i dzidami. Tord zdołał jednak uciec. Wbił w Sigurda mordercze spojrzenie i ruszył ku niemu wzdłuż wybrzeża.

Sigurd ciężko dyszał po kąpieli w lodowatej wodzie. Ale nigdy, nigdy Tord go nie dostanie! Rzucił się w stronę lasu, klucząc między gałkami i kałużami. Z drzew ciekło i kapalo. Biegł po zboczu w górę, wydostał się z lasu i w końcu dotarł do rozległej, płaskiej

polany. Tam się zatrzymał z trudem łapiąc oddech. Po chwili odwrócił głowę.

Za nim stał Tord i napinał łuk.

Prawie w tej samej chwili strzała drasnęła Sigurda w policzek. Rana była płytka, ale piekła i krwawiła mocno. Sigurd chwycił topór. Deszcz go przejmował, gdy wyciągał go zza pasa.

Tord uczynił to samo, trzymał oburącz duży topór o szerokim ostrzu. Jak skradające się wilki podchodzili do siebie na polanie rozmięklej od deszczu. Sigurd ostrożnie badał stopami grunt. Krok po kroku. Nie wolno mu było upaść. Musiał się trzymać prosto.

Przed nim stał Tord Illugesson. Miał piętnaście lat. Jego krewniacy zamordowali najstarszego brata Sigurda i od tamtej pory Sigurd wciąż słyszał, że powinien go nienawidzić.

Zamachnął się toporem i rzucił. Tord zdołał się uchylić i topór z ostrym trzaskiem wylądował na kamieniach za jego plecami. Sigurda obezwładniło przerażenie. Miał do obrony już tylko ciężki miecz.

Tord stał co najwyżej kilka stóp od niego, i teraz on zamachnął się toporem. Ostra broń ze świstem przeleciała obok. Ale Sigurd błyskawicznie uskoczył. Po czym wyjął miecz i trzymał groźnie przed sobą.

Mój miecz ma czarodziejską siłę, myślał. Ten miecz dostałem od ojca i od trzech pokoleń przechodził w naszej rodzinie z ojca na syna. Mocno trzymał rękojeść. Tym mieczem powinien zwyciężyć!

Tord także obnażył miecz i starli się po raz pierwszy. Sigurd dzielnie odparł ciosy. Walczyli zaciekle przez jakiś czas, aż raptem poślizgnęli się obaj na błotnistej ziemi, miecze wypadły im z rąk i potoczyły się po zboczu.

Sigurd zerwał się, drząc. Podbiegł i rzucił się na Torda. Wczepieni w siebie, zaczęli się staczać w dół. Gryzli się i drapali. Wyrwali sobie włosy, ale żaden nie puszczał. Raz Tord był na górze, raz Sigurd. Sigurd miał pełno ziemi w ustach, we włosach — wszędzie. Desperacko usiłował oczyścić twarz z ziemi i brudu. Błoto zaklejało mu oczy i nic nie widział. W końcu rozluźnił uścisk i obiema rękami przecierał oczy. Teraz Tord mógł z nim zrobić, co chciał.

Sigurd skulił się ze strachu. Ale nic się nie stało. Wciąż tarł oczy pięściami, a gdy spojrział nareszcie przed siebie, zobaczył Torda siedzącego na ziemi. Wyglądał okropnie. Całą twarz miał umazaną błotem, błoto oblepiało mu uszy, a z nosa ciekła krew. Tord także się bał. Sigurdowi wydawało się, że jego własna twarz odbija się od twarzy tamtego. Illugesson spoglądał na niego ukradkiem.

Kąciki ust Sigurda poczęły drgać. Bogów w Walhalli chyba także rozśmieszył ten widok, bo nagle nad wzgórzami przetoczył się grzmot i rześisty deszcz lunął na obu wojowników siedzących na ziemi.

Obaj jednocześnie wybuchnęli śmiechem i długo nie mogli przestać. Siedzieli w ulewny deszczu i zaśmiewali się, unosząc twarze ku niebu, by deszcz zmył z nich brud i błoto. Powoli śmiech przeszedł w płacz. Ale w deszczu nie było tego widać. Daleko w zatoce płonący okręt zbliżał się do lądu, a wojownicy nadal walczyli. Nikt na razie nie zwyciężał ani nikt nie przegrywał.

Sigurd przyglądał się Tordowi. Nie był on taki silny, jak się Sigurdowi początkowo wydawało. Był raczej ciężkawy i miał dziecinną, okrągłą twarz o bladoniebieskich oczach.

Illugesson oczyścił brodę mokrym wiechetkiem trawy.

— Nigdy nie byłem za dobry w strzelaniu — powiedział wolno. — Zresztą w rzucaniu oszczepem też nie. I jestem za ciężki, żeby szybko biegać. Gdyby nie to, że najpierw musiałeś pływać w zimnej wodzie, nigdy bym cię nie dogonił.

Sigurd uśmiechnął się nieśmiało.

— Ten topór, który tam leży na zboczu, i tak nigdy by cię nie trafił. A ojciec wstydziłby się, gdyby widział, jak walczę mieczem.

I znowu zaczęli się śmiać. To było czyste szaleństwo. Siedzieli tu sobie, potomkowie dwóch wielkich rodów, i pękali ze śmiechu, podczas gdy inni walczyli na brzegu.

Nagle między drzewami przeleciała ze świstem strzała i trafiła Sigurda w ramię. Krzyknął krótko i próbował wyciągnąć grot. Tord zerwał się z miejsca.

— Najlepiej będzie, jeśli stąd znikniesz — powiedział. — Nasi ludzie tu biegną. Do zobaczenia, jarlu Sigurdzie.

Sigurd zabrał swój oszczep i topór i pobiegł. Na wprost było Jutuljuvet i tylko tą drogą mógł się stąd wydostać. W górę po tym strasznym nawisie skalnym, spod którego wypływał spieniony wodospad.

Ciężko dyszał wspinając się w górę. Ramię bolało coraz bardziej. Słone łzy spływały wzdłuż nosa, do ust. Boginie losu widocznie opiekowały się nim przez cały czas, bo w każdej chwili mogła go trafić strzała z łuku, ale żadna nie dosięgła.

Dostawał zawrotu głowy, gdy spoglądał w górę na potężne, ciemne skały. Wodospad szumiał i huczał, zimny pył niósł się od spadających mas wody. Gdy znalazł się wysoko na skalnej półce, odwrócił głowę. Daleko w dole widział ludzi Illugów. Pięciu czy sześciu mężczyzn, którzy w pogoni za nim zapędzili się w zwaliska wielkich głazów u podnóża gór.

Po chwili Sigurd podjął wspinaczkę. Piął się wyżej i wyżej, do skalnej półki, obok której, nie dalej niż na odległość dzidy, z ogłuszającym grzmotem przewalał się wodospad. Teraz ostrożnie, szeptał w nim jakiś głos. Spojrzał przez ramię i zakręciło mu się w głowie, gdy zobaczył od tej strony jak wodospad toczy się po górskiej ścianie i znika w ciemnej, bezdennej przepaści. Dotąd musieli dojść ci dwaj niewolnicy, którzy uciekli pewnego jesienno-wieczora, rok temu. Dotąd, ale dalej już nie.

W tym momencie poślizgnął się na gładkim kamieniu i zatoczył niebezpiecznie w stronę wodospadu. Chwycił się rozpaczliwie karłowatej wierzby, wczepionej w skalną rozpadlinę. Kamienie i ziemia usunęły mu się spod nóg i z łoskotem potoczyły się w dół. Sigurd zamknął oczy i kurczowo ścisnął gałęzie wierzby. Przerażliwy, lodowaty strach paraliżował go i zdawało się, że trwa to całe wieki, nim znowu znalazł oparcie dla stóp, a potem powoli zaczął się oddalać od skalnej półki w górę, ku wąskiej rozpadlinie, od której zaczynał się żleb. Tam położył się na brzuchu, dysząc ciężko. W dole widział swoich prześladowców, małych niczym mrówki. Ogarnęła go duma; żaden nie odważył się pójść za nim.

Poczuł znowu ból rany, jak cięcie mieczem wzdłuż całego ramienia. Marzył okrutnie w przemoczonym ubraniu. Powoli wstał i powłókł się w stronę małej chatki pod szczytem Jutuljuvet. I wtedy znowu pojawił się strach, tak dobrze znany z czasów, kiedy był mały, strach, że jest sam. Szczyty gór rysowały się na tle nieba jak groźne potwory, mgła unosząca się pod skalnymi nawisami przywodziła na myśl tańczące czarownice i demony. Pchnął drzwi i padł bez sił na pryczę. Pot zalewał mu oczy. Sigurd płakał z bólu. Po chwili zapadł w sen pełen odrętwiających majaków i przerażających zjaw.

Śniło mu się, że znowu stoi przed jamą smoka. Kamień zamykający wejście drga nieznacznie, a góra drży. Miecz, szepnął Sigurd. Muszę wyciągnąć przed siebie miecz! Ale ból przeszywał ciało i nie pozwalał ruszyć ręką.

Wejście do jamy stawało się coraz większe, a ze szczeliny dobywały się trujące dymy i ścieliły na ziemi. Sigurd kaszlał i pocił się, całe ciało płonęło. Jeśli chcesz walczyć, musisz podnieść miecz, krzyczało w nim. Podnieś go zaraz! Ale ramię było całkiem bezsilne i paliło jak ogniem. Szamotał się i próbował wydostać z gęstych oparów, próbował złapać trochę świeżego powietrza...

Sen powtarzał się raz po raz od początku.

W końcu otworzył oczy i pojął, że mdły zapach unosi się z kociołka zawieszonoego nad ogniem. Dość długo trwało, zanim przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Był w małym szałasie pasterskim, a bark bolał nieznośnie przy każdym ruchu. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu odkrył, że rana była mocno przewiązana gałankiem.

Nie rozbudził się jeszcze do końca, ale zdawało mu się, że zza dymiącego kociołka widzi jakąś postać. Postać w opończy i kapturze nasuniętym głęboko na czoło.

Powoli mgła przed oczami jakby rzedła. Stawało się jaśniej.

Widział teraz wyraźnie, jak drobinki kurzu wirują w słabym strumieniu światła, sączącym się przez otwór w dachu.

Ostrożnie odwrócił głowę i wtedy z jego gardła wydostał się okrzyk przerażenia. Tuż przy jego łóżku stała ona. Jak czarny kruk. Jak ranny ptak ze zwieszonymi skrzydłami.

— To ty? — wyjąkał i przywarł do ściany.

Roześmiała się. Ten śmiech zdawał się wypełniać całą jego głowę. Dźwięczał jak tysiące małych strumyków spływających z górskiej ściany.

— Chyba się nie boisz? — pytała. — Bać się mnie! Taki wojownik jak ty!

Sigurd zawstydział się. Leżał tu jak bezbronne dziecko. Nagi pod przykryciem ze skór, bo zdjęła z niego mokre ubranie.

— Myślałem, że umarłaś — szepnął. — Że zniknęłaś na zawsze.

Uśmiechnęła się i poszła zamieszać w dymiącym kociołku.

— Ze mną jest jak z kotem — powiedziała. — Będę żyć dziewięć razy. — Podeszła do łóżka i podała mu miseczkę. — Wypij to — rozkazała. — To ci przywróci siły. Chodź, podtrzymam cię.

Sigurd wypił. Napój był mocny, aż palił w gardle. A ona znowu się śmiała perlistym śmiechem i przedrzeźniała jego grymasy.

Oparł się na łokciu i rozejrzał po izbie. Na podłodze stało mnóstwo naczyń, jakieś miski z drewna i dzieże, a na pryczy leżały brązowe, owcze skóry. U sufitu wisiało kilka suszonych udźców zwierzęcych i pęczki suchych ziół.

Od jak dawna tu był? Może dobę? Może tydzień? Dziewczyna jakby zgadywała jego myśli.

— Leżałeś bez przytomności od pełni księżyca. Ale rzucałeś się we śnie. Chciałabym wiedzieć, co ci się śniło. Każdy sen coś znaczy.

Sigurd nie odpowiedział. Przysunęła pieńek do paleniska i siadła układając na podolku kilka ptaków.

— Przepiórki — uśmiechnęła się zadowolona. — Sidła były wczoraj pełne. Teraz dostaniesz smaczny i pożywny obiad. Szybko będziesz znowu zdrowy.

Oskubała ptaki, a pióra i puch zebrała na kupkę.

Sigurd przyglądał jej się spod oka. Wciąż nie był pewien, czy ona jest człowiekiem, czy należy do sił ciemności. Strach nadal go nie opuszczał.

— Gdzie mój miecz? — krzyknął nagle.

— Och, jaki jesteś strachliwy — roześmiała się. — A przecież sam przeszedłeś przez Jutuljuvet. — Przyniosła miecz i położyła go na łóżku. — Nie bój się. Tu nie przyjdzie nikt, kto mógłby ci zrobić krzywdę.

Sigurd chwycił połączoną rękojeść miecza. Starał się trzymać go przy sobie, ale mocny napój sprawił, że znowu poczuł się senny.

— Poza tym znalazłam twojego konia...

— Granego? Znalazłaś Granego?

— Zobaczyłam na hali bezpańskiego konia, w nabijanej srebrem uprzęży. To mógł być tylko twój koń. Stoi teraz w komórce za domem.

Uśmiechnął się zadowolony. Znowu zakręciło mu się w głowie.

Długo walczył z mgłą, zasnuwającą oczy, ale w końcu musiał się poddać i zapadł w głęboki sen. Tym razem był to jednak dobry sen. Sen, który przynosi zdrowie i siły.

Gdy otworzył oczy, na belkach pod sufitem skrzył się szron. Otrząsnął się zmarznięty, naciągnął na siebie ubranie i podszedł do drzwi. Na dworze panowało kąśliwe zimno. Woda

w kałużach zamarzła. Drzewa stały bez ruchu, ze sztywnymi, czarnymi gałęziami. Czuło się, że wkrótce w górach spadnie śnieg.

Na ścieżce ukazała się Ravnejenta z wiadrzem wody ze strumyka w dole. Twarz jej się rozjaśniła na jego widok.

Ta niezwykła Ravnejenta, myślał. Ona mi uratowała życie.

Zjedli mięso ugotowane w kociołku nad paleniskiem. Sigurd wciąż przyglądał się jej ukradkiem. Teraz była jakby bardziej rzeczywista.

Jadła jak głodne zwierzę, trzymając oburącz kawałek mięsa. Wdychała łąpczywie zapach jedzenia, gryzła kości i najmniejsze resztki. W końcu wytarła wierzchem dłoni tłuszcz z brody i spojrzała na niego uśmiechnięta.

— Myślałeś, że umarłam? — powiedziała z przekornym błyskiem w oczach. — Ale we mnie jest więcej siły niż w tych nędznych wojownikach ze dworu. Zdołałam utrzymać się przy życiu... — Opuściła głowę. — Dawniej miałam kogoś, kto mnie bronił. To był dla mnie ciężki cios, kiedy zginął w wikińskiej wyprawie...

Sigurd patrzył na nią z niedowierzaniem.

— Kogo masz na myśli! Ojca? Jarla?

Wolno skinęła głową.

— Po śmierci mojej matki on jeden troszczył się o mnie.

Uniosła twarz, a on nie przestawał się jej przyglądać. Jej kruczoczarnym włosom i bladej skórze, którą odziedziczyła po matce. Ale najdziwniejsze były jej oczy. Oczy, w których przeglądał się jak w czystej wodzie. Były wąskie i zielonkawobłękitne. Takie same, jak jego własne.

— Moja mama była niewolnicą — powiedziała. — Ale jarl i tak ją kochał. A kiedy urodziła mu słabą i chorowitą córeczkę, nie chciał, żeby dziecko wyniesiono do lasu. Jak to tutaj jest w zwyczaju. — Przeniknął ją dreszcz. — Ciebie, Sigurd, położono na tarczy i nadano ci imię, bo byłeś dzieckiem z prawego łoża. Ale nie mnie. Mnie trzeba było ukryć. Dopóki jarl był w domu, było mi dobrze, ale kiedy wyjeżdżał, musiałam się chować.

— W Gnieździe Kruków? — zapytał. — Wysoko w górach?

Przytaknęła. — Tam czułam się bezpieczna. Stare, opuszczone domostwo. Ale potem Ravengarden zostało spalone i musiałam uciekać jeszcze wyżej w góry. Aż do tego starego szałas. Teraz znowu jestem tutaj, gdzie się urodziłam. Mama schroniła się tu, gdy w dolinie nastąpiły ciężkie czasy, a chłopcy byli przekonani, że to ona sprowadziła nieurodzaj i ciężką zimę. Matka znała się na czarach, tak jak ja...

Sigurd siedział w milczeniu i słuchał. Ravnejenta uśmiechała się.

— Próbowalam jakoś dotrzeć do ciebie. Byłeś prawie zawsze sam w lesie. Tak bardzo się różniłeś od swoich braci. Wiedziałam, co myślisz, co czujesz. Ale nigdy nie udało mi się doprowadzić do tego, żebyś zrozumiał, że jesteśmy do siebie podobni.

Wyciągnął rękę, a ona ujęła ją w swoje dłonie. Długo tak siedzieli przy sobie, a ich puls bił w tym samym rytmie. Sigurd miał ochotę się rozplakać, ale powstrzymał się, mocniej ścisnął jej rękę i powiedział:

— Teraz pamiętam, co mi się śniło w nocy. I czuję się taki silny, że gołymi rękami mógłbym roznieść całą Straszna Górę!

Małe, białe okruszki wpadały przez otwór w dachu.

— Czas iść — powiedział. — Daj mi moją broń!

Cień przemknął po jej twarzy. Światło w oczach przygasło. Pośpiesznie przyniosła topór i miecz.

Sigurd poszedł do małej komórki i odwiązał konia. Chwilę stał przed niskim szałasem. Wiatr gwizdał w dziurawym dachu, w kociołku zostały jeszcze jakieś resztki jedzenia. Za kilka dni dom zostanie szczelnie okryty ciężką, białą pokrywą śniegu.

— Weź swój płaszcz! — Popatrzyła na niego zaskoczona, ale weszła do domu i przyniosła zniszczony, brązowy, owczy kożuszek, który narzuciła sobie na ramiona. — Zdołasz wsiąść na konia?

Uśmiechnęła się i przytaknęła. Wyciągnął do niej zdrową rękę i pomógł jej wdrapać się na koński grzbiet. Usiadła prawie na karku Granego i wsunęła palce w jego gęstą grzywę.

I ruszyli w drogę. Minęli polanę i jechali u stóp Strasznej Góry. Płatki śniegu padały na ziemię niby puch, kładły się jak małe, białe gwiazdeczki na końskiej grzywie i czarnych włosach Ravnejenty.

Jakie to dziwne, myślał Sigurd. Bo gdy ruszali, zdawało mu się, że wciąż śni. Że jest to jeszcze ten sam sen, który śnił w nocy po wypiciu mocnego napoju.

Śnił wtedy, że jedzie konno przez góry, a po drugiej stronie czeka straszny smok. Mocno ścisnął miecz w dłoniach.

— Będziesz walczył — powtarzał mu wciąż wewnętrzny głos. — Będziesz walczył z największym potworem, jaki jest w człowieku. Nikt, oprócz ciebie, nie da mu rady!

Potem jechał jeszcze doliną. Końskie kopyta stukwały rytmicznie, a on siedział wyprostowany w siodle.

I wreszcie stanął przed niezdobytą górą, gdzie w jamie siedział smok.

— Wychodź! — krzyknął Sigurd, a echo odpowiedziało w górach.

Wewnątrz płonęło dwoje oczu. Lśniły w mroku jak pochodnie. Kamień przed wejściem zaczął drzeć, po czym z hukiem i łoskotem potoczył się w bok, a przez skalne szczeliny buchnął jadowity dym.

Niezwykłej wielkości potwór stanął przed nim. Olbrzymi łeb kiwał się w tył i w przód w ślepej wściekłości, a z pyska toczyła się piana. Zwierz przewracał płonącymi ślepiami.

Sigurd cofnął się o dwa kroki.

— Teraz zdechniesz!

Potwór rozdziawił paszczę. Tę straszliwą paszczę, która jednym oddechem była zdolna spalić skórę na człowieku. Smok zmrużył ślepie.

Sigurd dobył miecza. Nigdy przedtem nie czuł takiej siły, nigdy nie miał tak pewnego ramienia. Jakby jego ciało było ze stali. Zabije tego groźnego potwora, teraz albo nigdy.

W chwili, gdy unosił miecz, przez góry przedarło się światło. Rozbłysło w stalowym ostrzu, promień przeszył powietrze jak błyskawica i z potężną siłą trafił smoka w pierś. Straszliwy jęk rozległ się nad pustkowiem. Krzyk tak potężny, że odbił się echem w górach całego, wielkiego świata. Krew smoka zalała czerwienią równinę. Sigurd zaczął uciekać w trwodze, bo z konającego cielska wydobywały się tysiące wojowników w kolczugach, z zakrwawioną bronią. Ohydny, nieprzeliczony rój wojowników, którzy znikali jak nietoperze na widok światła.

Sigurd ciężko łapał powietrze.

Teraz droga do skarbu była wolna.

Zawrócił konia i pełnym klusem wjechał do jaskini. Wewnątrz było ciemno i nieprzyjemnie. Szmerząca woda spływała po ścianach i znikwała w szczelinach, u sufitu zwisały sople lodu jak ostrza dzid. Było tak zimno, że para oddechów konia i jeźdźca unosiła się obłokiem nad ich głowami.

Nagle zobaczył dziwne światło. A gdy podjechał bliżej, stwierdził, że pochodzi ono ze lśniącego, połyskującego złotego skarbu, złożonego w głębokiej niszy. Nigdy jeszcze nie widział tylu złotych ozdób ani tylu mieniących się kamieni. Musiał podjechać jeszcze bliżej. Było tak, jakby złoto przyciągało go z jakąś niezwykłą, niewidzialną mocą. Ale całą siłą woli cofnął się.

Skarb... Nie wolno mu było go tknąć. Skarb był zaczarowany. Ciężko na nim przekleństwo.

Sigurd wciąż się cofał i obu rękami zasłaniał oczy. Skądś, z góry dochodziły jakieś

dźwięki. Co to było? Z tak daleka... Ależ tak! To był śpiew. Pieśń, zrazu cicha, stawała się coraz głośniejsza i w końcu brzmiała jak potężny, radosny chór. A gdy otworzył oczy, zobaczył ze zdziwieniem, że grota pełna jest ludzi. Starych. I młodych. Niektórzy z nich podobni byli do starego Håvarda, inni do Eddy, a jeszcze inni mieli oczy podobne do oczu dwojga małych irlandzkich niewolników. Wyciągali do niego ręce.

— Jesteśmy wolni — wołali i śpiewali radośnie. — Zrzuciliśmy okowy! Ale gdybyś dotknął skarbu, nigdy byś nie usłyszał naszych głosów. Wielki smok jest martwy.

Chwycili się wszyscy za ręce i tanecznym krokiem wyszli na zewnątrz. Szli do światła i wychodzili z jego snu.

— Dlaczego jesteś taki milczący? — zapytała Ravnejenta, spoglądając na niego przez ramię.

— Myślałem o dziwnym śnie, jaki miałem dzisiejszej nocy — odparł. — Czasami sny są prawdziwe. Prawdziwsze niż to, co nas otacza.

Jechali teraz ścieżką prowadzącą ku dolinie. Góry pokryła już cienka warstwa śniegu. Zagrody w dolinie leżały jak ciężkie kamienie pod białymi kapturami.

Kiedy pada śnieg, myślał Sigurd, wszystko zaczyna się jakby od nowa. Wszystko jest odmienione. Wydaje mi się, jakbym nigdy jeszcze w tym miejscu nie był.

Przysłonił oczy i patrzył w stronę siedziby jarla. Nie sprawiała gościnnego wrażenia. Dym unosił się nad hallą, gdzie wojownicy wkrótce będą zapewne składać ofiary za zwycięstwa i powodzenie na wojnie. Przy wejściu siedziało kilka przypominających wilki psów, poza tym wszędzie było cicho i spokojnie.

Wtedy zobaczył, że z przeciwnej strony do siedziby jarla zbliża się niewielki orszak: rosły mężczyzna w szerokim płaszczu z kapturem i kobieta w wielkiej chustce na ramionach. Obok, na gniadym koniu jechała dziewczynka, otulona płaszczem. Mały, ruchliwy piesek biegł za nimi i ujadał na padający śnieg.

Sigurd zaczął wołać, aż zadudniło w górach.

— Dlaczego tak krzyczysz? — Ravnejenta zasłoniła uszy i śmiała się, a koń puścił się galopem, żeby jak najszybciej przebyć ostatni odcinek drogi do domu.

— Nie widzisz? — wołał Sigurd radośnie. — Nie widzisz? Wrócili!

Ludzie we dworze także usłyszeli wołania. Niewolnicy i służba wybiegli na dziedziniec, a za nimi wojownicy jarla. Psy ujadały, wojownicy dosiadali koni, by wyruszyć jarlowi na spotkanie.

Ravnejentę ogarnęło przerażenie. Ciało jej zeszywniało, dłonie zaciskała kurczowo w gęstej grzywie konia.

— Boję się — szepnęła. — Boję się, co twoi druzynnicy mogą ze mną zrobić...

— Trzymaj się! — zawołał Sigurd. Zaciskał palce na rękojeści miecza i ciął powietrze. — Drużynnicy nic nie mogą ci zrobić, tego jestem pewien. Bo teraz będziemy walczyć!

— Walczyć? — zapytała zdziwiona, łapiąc powietrze, bo pędzili tak szybko. — Z kim będziemy walczyć?

— Z wielkim potworem — zawołał w odpowiedzi. — I zwyciężymy!

Gdy wjeżdżali na dziedziniec, śnieg padał coraz gęstszy i zasypywał wszystkie ślady.